

Donna Leon

Śmierć w La Fenice



Noir sur Blanc

DONNA LEON

ŚMIERĆ
W LA FENICE

Z języka angielskiego przełożyła
Maria Olejniczak-Skarsgård

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Przypisy

Inne książki Donny Leon

Tytuł oryginału: *Death at La Fenice*

Copyright © 2006 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zürich
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2024, Noir sur Blanc, Warszawa
All rights reserved

Opracowanie redakcyjne: ANNA KANDZIOR-ZUG

Korekta: JULIA MŁODZIŃSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

ISBN 978-83-7392-955-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.,
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

Zamówienia prosimy kierować:

- telefonicznie: 800 42 10 40 (linia bezpłatna)
- faksem: 12 430 00 96 (czynnym całą dobę)
- e-mailem: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
- księgarnia internetowa: www.noir.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Mojej matce

*Ah, signor, son rea di morte
E la morte io sol vi chiedo;
Il mio fallo tardi vedo;
Con quel ferro un sen ferite
Che non merita pietà.*

*Ach, na śmierć zasłużyłam
I o słuszny zgon ja błagam;
Ogrom grzechu mnie przygniata.
Tym żelazem niewierną ukarż –
Litość odrzuć precz¹.*

Così fan tutte

Rozdział 1

Trzeci dzwonek, zapowiadający rychłe rozpoczęcie ostatniego aktu spektaklu, rozbrzmiewał dyskretnie w foyer i barach teatru La Fenice. Publiczność w odpowiedzi gasiła papierosy, dopijała drinki, kończyła rozmowy, a następnie zaczęła wchodzić na widownię. Salę, jarzącą się blaskiem świateł w przerwie między aktami, wypełnił szmer rozmów prowadzonych przez widzów, którzy powracali na swoje miejsca. Tu załśniła biżuteria, tam ktoś poprawił osłaniającą nagie ramiona etolę z norek lub strząsnął ledwo widoczny pyłek z atlasowej kłapy. Najpierw wypełniły się balkony, potem parter, a na koniec trzy rzędy łóż.

Przygasły światła, mrok okrył widownię i wzrosło napięcie publiczności czekającej na dalszy ciąg spektaklu i ponowne pojawienie się dyrygenta na podium. Z wolna ucichł szmer głosów, muzycy przestali wiercić się na krzesłach, zaległa niczym niezmacona cisza, świadcząca o tym, że wszyscy są gotowi wysłuchać trzeciego, i ostatniego, aktu opery.

Cisza przedłużała się i tężała. Na pierwszym balkonie ktoś zaniósł się kaszlem, ktoś inny upuścił na podłogę program, a może torebkę, lecz drzwi prowadzące na korytarz, znajdujący się za kanałem dla orkiestry, wciąż były zamknięte.

Jako pierwsi wdali się w rozmowę muzycy. Drugi skrzypek pochylił się ku siedzącej obok niego kobiecie i spytał, czy ma już plany wakacyjne. Fagocista oznajmił obojście, że następnego dnia rozpoczyna się wyprzedaż u Benettona. Widzowie, którzy siedzieli w najniższych łóżach i mieli najlepszy widok na muzyków, zaraz wzięli z nich przykład i zaczęli prowadzić przyciszone rozmowy. W ich ślady wstąpiła widownia na balkonach, a na koniec siedzący na parterze, jakby na dowód tego, że ludzie zamożni jako ostatni pozwalają sobie na tego rodzaju zachowanie.

Toczone szeptem rozmowy przeszły w szmer. Mijały minuty. Nagle rozchyliły się fałdy grubej zielonej kurtyny z aksamitu i przez wąską szczelinę wszedł niepewnie na scenę Amadeo Fasini, dyrektor artystyczny teatru. Operatorzy światła, siedzący w kabinie nad drugim balkonem, nie wiedząc, co się dzieje, skierowali silny biały reflektor na mężczyznę stojącego pośrodku sceny. Oślepiiony blaskiem Fasini gwałtownym ruchem uniósł rękę, żeby zakryć oczy. Nie opuszczając ręki, jakby chciał osłonić się od ciosu, powiedział:

– Panie i panowie – po czym przerwał i zaczął gorączkowo wymachiwać lewą ręką w stronę techników, którzy zdali sobie sprawę z pomyłki i wyłączyli reflektor. Odzyskawszy wzrok, stojący na scenie mężczyzna rozpoczął na nowo: – Panie i panowie, z przykrością chciałbym państwa zawiadomić, że maestro Wellauer nie jest w stanie prowadzić orkiestry. – Na widowni rozległy się szepty i pytania, oraz szelest jedwabi, gdy publiczność zwróciła głowy w stronę dyrektora, którego głos przebił się ponad szum. – Jego miejsce zajmie maestro Longhi. – Nie chcąc dopuścić, by zagłuszył go narastający gwar, dodał, siłąc się na spokój: – Czy na widowni jest lekarz?

Po tym pytaniu zapadła długa cisza, a widzowie zaczęli rozglądać się wokoło, ciekawi, kto się zgłosi. Upłynęła prawie minuta. Wreszcie uniosła się ręka i z miejsca wśród pierwszych rzędów parteru wstała kobieta. Fasini kiwnął w stronę umundurowanych bileterów, którzy stali w głębi sali, i młody człowiek podbiegł do kobiety czekającej już na końcu rzędu.

– Pani doktor zechce pójść z bileterem za kulisy – powiedział Fasini takim tonem, jakby miał bóle i sam potrzebował lekarza.

Uniósł wzrok i objął spojrzeniem wciąż pogrążoną w mroku salę w kształcie podkowy. Chciał się uśmiechnąć, a gdy mu się to nie udało, zrezygnował z dalszych prób.

– Przepraszamy państwa za te trudności. Zaraz będziemy kontynuować spektakl.

Odwrócił się i przez chwilę obmacywał kurtynę, nie mogąc znaleźć szczeliny, przez którą wszedł na scenę. Czyjeś ręce rozsunęły od tyłu fałdy tkaniny i dyrektor wślizgnął się za kurtynę; znalazł się w pustej mansardzie,

gdzie wkrótce miała umrzeć Violetta. Zza kurtyny doszły go niezdecydowane oklaski, którymi publiczność witała występującego w zastępstwie dyrygenta, gdy zajmował miejsce na podium.

Ze wszystkich stron podeszli do Fasiniego śpiewacy, chórzyci i pracownicy techniczni, tak jak publiczność zaintrygowani, ale dużo bardziej wymowni. Choć zazwyczaj jego stanowisko chroniło go przed kontaktami z członkami zespołu, którzy zajmowali tak niską pozycję, to tym razem nie mógł uciec przed nimi, przed ich pytaniami i szeptami.

– To nic poważnego – powiedział, nie adresując swoich słów do konkretnej osoby, po czym machnięciem ręki dał znak wszystkim, którzy stłoczyli się na scenie, aby ją opuścili. Uwertura zbliżała się ku końcowi. Kurtyna miała się zaraz rozsunąć, ukazując heroinę wieczoru, która siedziała zdenerwowana na skraju kozetki stojącej na środku sceny. Fasini machnął ręką ze zdwojoną siłą i śpiewacy wraz z pracownikami technicznymi przesunęli się w stronę kulis, gdzie dalej wymieniali szeptem uwagi. Rozzłoszczony Fasini warknął: – Silenzio! – i czekał na efekt. Kiedy zauważył, że kurtyna zaczyna się rozchyłać, a za nią ukazuje się scena, pospiesznie dołączył do inspicjenta, który znajdował się za kulisami po prawej stronie, obok lekarki. Niska, ciemnowłosa kobieta stała tuż pod tabliczką zakazującą palenia i trzymała w ręku niezapalonego papierosa.

– Dobry wieczór, pani doktor – powitał ją Fasini, zmuszając się do uśmiechu. Wsunęła papierosa do kieszeni żakietu i podała mu rękę.

– Co się stało? – spytała po dłuższej chwili, gdy za ich plecami Violetta zaczęła czytać list od Germonta, ojca.

Fasini nerwowo zatarł ręce, jakby miało mu to pomóc w doborze słów.

– Maestro Wellauer jest... – rozpoczął, ale nie wiedział, jak dokończyć zdanie w sposób zadowalający.

– Jest chory? – spytała lekarka ze zniecierpliwieniem.

– O nie, nie jest chory – odparł i zabrakło mu słów. Znowu zaczął zacierać ręce.

– Może powinnam go zobaczyć – powiedziała pytającym tonem. – Czy jest tutaj, w teatrze?

Widząc, że Fasini wciąż nie może nic powiedzieć, spytała: – Czy zabrano go stąd?

Pod wpływem pytania Fasini oprzytomniał.

– Nie, nie – odrzekł. – Jest w garderobie.

– W takim razie chyba powinniśmy tam pójść.

– Tak, oczywiście, *dottoressa* – chętnie przystał na tę propozycję. Poprowadził ją na prawo, obok fortepianu i harfy nakrytej matowozielonym pokrowcem, i dalej w dół wąskim korytarzem. Zatrzymał się na końcu, przed zamkniętymi drzwiami, przy których stał wysoki mężczyzna.

– Mateo... – powiedział Fasini i odwrócił się w stronę lekarki. – To jest pani doktor...

– Zorzi – wtrąciła sucho. Niewątpliwie nie była to odpowiednia chwila na konwencjonalne uprzejmości.

Po nadejściu przełożonego oraz osoby, którą przedstawiono mu jako lekarkę, Mateo, asystent inspicjenta, był nad wyraz chętny, żeby odejść od drzwi. Fasini minął go, uchylił drzwi, spojrział przez ramię i puścił lekarkę przodem, by weszła do małego pokoju.

Śmierć zniekształciła rysy mężczyzny, który wpiął się w klubowym fotelu ustawionym na środku pokoju. Oczy wpatrywały się w pustkę, a usta rozciągnęły się w bolesnym grymasie. Ciało było mocno przechylone na jedną stronę; głowa opadła do tyłu na oparcie fotela. Strużka ciemnego płynu zaplamiła wykrochmalony, lśniący gors koszuli. Lekarka początkowo sądziła, że to krew, ale gdy podeszła krok bliżej, raczej po zapachu niż po widoku poznała, że to kawa. Zapach kawy mieszał się z inną, równie wyraźną wonią, ostrą, przypominającą zapach gorzkich migdałów, którą знаła jedynie z książek.

Dla osoby tak obytej ze śmiercią szukanie pulsów było zbyteczną czynnością, mimo to lekarka przyłożyła palce prawej ręki pod spód uniesionej brody. Nic nie wyczuła, jedynie to, że skóra jest jeszcze ciepła. Odsunęła

się od ciała i rozejrzała po pomieszczeniu. Przed mężczyzną, na podłodze, leżał spodeczek i filiżanka po kawie, której ślady było widać na gorsie koszuli. Lekarka uklękła i wierzchem palców dotknęła boku filiżanki – naczynie było zimne.

Wstała i zwróciła się do stojących przy drzwiach mężczyzn, radych, że sprawy związane ze śmiercią mogą pozostawić jej.

– Czy panowie zawiadomili policję? – spytała.

– Tak, tak – wymamrotał Fasini, właściwie nie słysząc pytania.

– Proszę pana – powiedziała wyraźnym, donośnym głosem, aby mieć pewność, że jej słowa dotarły do niego. – Nie jestem tu potrzebna. To sprawa dla policji. Wezwaliście ją?

– Tak – powtórzył takim tonem, że nie wiadomo było, czy usłyszał i zrozumiał, co powiedziała. Stał, patrząc w dół na zmarłego i starając się ogarnąć ogrom okropności, a także skandalu, związanych z tym, co widział.

Lekarka przeszła obok niego szybkim krokiem i wyszła na korytarz. Asystent inspicjenta ruszył za nią.

– Proszę wezwać policję – poleciła mu.

Gdy kiwnął głową i odszedł, żeby wykonać polecenie, wsunęła rękę do kieszeni, szukając włożonego tam papierosa, wyprostowała go w palcach i zapaliła. Głęboko zaciągnęła się dymem i spojrzała na zegarek. Lewa ręka Myszki Miki znajdowała się między dziesiątą a jedenastą, a prawa wskazywała dokładnie siódmą. Oparła się o ścianę i czekała na przyjazd policji.

Rozdział 2

Ponieważ zdarzenie to miało miejsce w Wenecji, policjanci przypłynęli motorówką, rozbłyskującą niebieskim światłem umieszczonym na przedniej kabinie. Motorówka przybiła do krawędzi wąskiego kanału na tyłach teatru i wysiadło z niej czterech mężczyzn – trzech w granatowych mundurach i jeden ubrany po cywilnemu. Szybkim krokiem poszli w górę zaułka – zwanego tu *calle* – do którego przylegał budynek teatru, i doszli do wejścia dla aktorów, gdzie czekał uprzedzony o ich przybyciu portier. Nacisnąwszy guzik, odblokował kołowrót i wpuścił ich na zaplecze teatru, bez słowa wskazując dalszą drogę schodami.

Na szczycie pierwszej kondygnacji oczekiwał ich wciąż oszołomiony dyrektor. Wykonał ruch, jakby chciał wyciągnąć rękę do mężczyzny w cywilnym ubraniu, którego uznał za szefa, ale zapomniał, co zamierzał zrobić, i odwrócił się na pięcie, mówiąc przez ramię:

– Proszę tędy. – Poszedł wąskim korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami do garderoby dyrygenta. Skazany na gesty, nie ruszając się z miejsca, ruchem ręki zaprosił policjantów do środka.

Guido Brunetti, komisarz weneckiej policji, wszedł pierwszy. Kiedy zobaczył mężczyznę w fotelu, uniósł rękę, dając znak, by umundurowani policjanci nie wchodzili dalej. Mężczyzna niewątpliwie już nie żył: ciało było wygięte w tył, twarz potwornie wykrzywiona – szukanie oznak życia nie miało sensu.

Zmarły był znany Brunettiemu, podobnie jak większości mieszkańców Zachodu, którzy, o ile nie widzieli go na podium, to przez ponad czterdzieści lat oglądali na okładkach czasopism i pierwszych stronach gazet tę twarz o mocno zarysowanej, germańskiej szczęce i nazbyt długich włosach,

kruczo czarnych, nawet gdy był już dobrze po sześćdziesiątce. Brunetti dwukrotnie widział jego występ, wiele lat temu, i za każdym razem przyłapywał się na tym, że obserwuje dyrygenta, a nie orkiestrę. Ciało Wellauera wyginało się w przód i w tył, jakby mocowało się z demonem czy jakimś bóstwem, lewa ręka była na wpół zaciśnięta, jakby miała wyrwać dźwięki z wnętrza skrzypiec. Trzymana w prawej ręce pałeczka, niczym broń pobłyskiwała raz tu, raz tam, i jak grom ściągała fale muzyki. Ale śmierć rozproszyła wszelkie oznaki boskości, pozostawiając jedynie demoniczną poządlliwość na stężałej jak maska twarzy.

Brunetti odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju. Zobaczył leżącą na podłodze filizankę, a opodał niej spodeczek. To wyjaśniało ciemne plamy na koszuli i – co do tego nie miał wątpliwości – potwornie zniekształcone rysy twarzy.

Zrobił za ledwie kilka kroków w głąb pokoju i stanął w miejscu, wędrując wzrokiem po pomieszczeniu i rejestrując spostrzeżenia, niepewny ich ostatecznego znaczenia, ale pełen ciekawości. Był zadziwiająco schludnym człowiekiem: starannie zawiązany krawat, włosy obcięte krócej, niż nakazywała moda, nawet uszy przylegały do głowy, tak jakby nie chciały zwracać na siebie uwagi. Jego ubiór świadczył o tym, że jest Włochem. Sposób mówienia wskazywał na weneccjanina. Oczywiście nie pozostawiała wątpliwości, że jest policjantem.

Wyciągnął rękę i wierzchem dotknął nadgarstka zmarłego – ciało było zimne, skóra sucha. Obrzucił ostatnim spojrzeniem pokój i odwrócił się do jednego ze stojących za nim policjantów. Kazał mu wezwać lekarza sądowego i fotografa. Drugiemu polecił zejść na dół i porozmawiać z portierem – spytać, kto tego wieczoru był za kulisami, czy portier ma listę wchodzących. Trzeciemu kazał zebrać nazwiska osób, które rozmawiały z maestrem przed rozpoczęciem spektaklu lub podczas przerw. Odwrócił się w lewo i otworzył drzwi do małej łazienki. Jedyne tam okno było zamknięte, podobnie jak okno w garderobie. W szafie wisiał ciemny płaszcz i trzy białe wykrochmalone koszule.

Wrócił do garderoby i podszedł do zmarłego. Wierzchem palców rozchylił poły marynarki, a następnie wewnętrzną kieszeń, w której znalazł chusteczkę do nosa. Powoli wyciągnął ją, trzymając za róg. W kieszeni nie było nic więcej. W ten sam sposób przejrzał boczne kieszenie, w których znajdowały się zwykłe przedmioty: kilka tysięcy lirów w drobnych banknotach, klucz z plastikowym breloczkiem, prawdopodobnie otwierający drzwi do tego pokoju, grzebień, jeszcze jedna chusteczka do nosa. Wolał nie ruszać ciała, dopóki nie zostanie sfotografowane, i przeszukanie kieszeni spodni zostawił sobie na później.

Trzej policjanci, zadowoleni, że bez wątpienia mają ofiarę, poszli wypełnić polecenia Brunettiego. Dyrektor teatru zniknął. Brunetti wyszedł na korytarz, gdzie spodziewał się go znaleźć i uzyskać informację, jak dawno znaleziono ciało. Zamiast na dyrektora natknął się na niską, ciemnowłosą kobietę, która stała oparta o ścianę i paliła papierosa. Za ich plecami przewały się fale muzyki.

– A to co? – spytał Brunetti.

– *Traviata* – odparła krótko kobieta.

– To wiem. Czyżby kontynuowali spektakl?

– „Choćby cały świat przepadł” – powiedziała z naciskiem i emfazą, które zazwyczaj stosuje się przy przytaczaniu cytatów.

– Czy to z *Traviaty*? – zapytał.

– Nie, z *Turandota* – odparła ze spokojem.

– Niemniej jednak – zaoponował – chociażby przez wzgląd na tego człowieka...

Wzruszyła ramionami i rzuciła niedopałek na wybetonowaną podłogę, przydeptując go pantoflem.

– Kim pani jest? – spytał wreszcie.

– Nazywam się Barbara Zorzi – powiedziała i po chwili poprawiła się, choć nie padły dalsze pytania. – Doktor Barbara Zorzi. Byłam na widowni, kiedy ogłoszono, że jest potrzebny lekarz. Przyszłam tu i tak go zastałam, dokładnie trzydzieści pięć minut po dziesiątej. Ciało było jeszcze ciepłe,

więc przypuszczam, że zmarł mniej niż pół godziny wcześniej. Stojąca na podłodze filiżanka była zimna.

– Dotknęła jej pani?

– Jedynie wierzchem palców. Sądziłam, że to ważne, czy jest jeszcze ciepła. Nie była. – Wyjęła z torebki paczkę papierosów, poczęstowała go, ale nie zdziwiła się, gdy komisarz odmówił, i zapaliła następnego.

– Coś jeszcze, *dottor*essa?

– Pachnie mi to cyjankiem – oznajmiła. – Czytałam trochę na ten temat i raz miałam z nim do czynienia, podczas zajęć z farmakologii. Profesor nie pozwolił nam go wąchać. Twierdził, że sam zapach jest niebezpieczny.

– Czyżby był tak silnie trujący? – zdziwił się Brunetti.

– O tak. Nie pamiętam, jaka odrobina zabija człowieka – dużo mniej niż gram. Śmierć jest natychmiastowa. Wszystkie funkcje – płuc, serca – po prostu ustają. Zmarł, a przynajmniej stracił przytomność, zanim filiżanka upadła na podłogę.

– Znała go pani? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie lepiej niż każdy wielbiciel opery. Albo czytelnik „Gente” – dodała, wymieniając nazwę czasopisma zawierającego plotki z życia towarzyskiego, o którego czytanie raczej by jej nie posądzał.

Podniosła na niego wzrok i spytała: – To wszystko?

– Tak mi się wydaje, *dottor*essa. Proszę podać swoje nazwisko jednemu z moich ludzi, żebyśmy w razie potrzeby mogli się z panią skontaktować.

– Zorzi, Barbara – powtórzyła jeszcze raz, wcale nie będąc pod wrażeniem urzędowego tonu i sposobu bycia Brunettiego. – W książce telefonicznej figuruje tylko jedna osoba o tym nazwisku.

Rzuciła na podłogę niedopałek, przydeptała go, a potem wyciągnęła rękę do Brunettiego, mówiąc:

– A zatem, do widzenia. Mam nadzieję, że nie wyniknie z tego zbyt wiele nieprzyjemności.

Nie wiedział, czy chodziło jej o nieprzyjemności dla maestra, dla teatru, dla miasta czy dla niego samego, skinął więc tylko głową, wyrażając podziękowanie, i uściśnął jej dłoń. Gdy odeszła, Brunettiego uderzyło dziwne podobieństwo między jego pracą i pracą lekarza. Spotykali się nad ciałem umarłego i obaj zadawali to samo pytanie: dlaczego? Ale gdy znaleźli na nie odpowiedź, ich drogi się rozchodziły – lekarz cofał się w czasie, by odkryć fizyczną przyczynę śmierci, a policjant szedł do przodu, by znaleźć jej sprawcę.

Piętnaście minut później przyjechał medico legale, a wraz z nim fotograf i dwóch sanitariuszy w białych kitlach, którzy mieli zabrać denata do miejskiego szpitala. Brunetti serdecznie przywitał się z doktorem Rizzardim i podał mu uzyskane informacje na temat prawdopodobnego czasu zgonu. Razem poszli do garderoby. Rizzardi, ubrany z wyszukany gustem, włożył lateksowe rękawiczki, automatycznie spojrzął na zegarek i uklęknął przy ciele. Brunetti uważnie przyglądał się, gdy tamten badał ofiarę, i poczuł dziwne wzruszenie, zauważywszy, że lekarz traktuje denata z takim samym szacunkiem, z jakim odnosi się do żyjącego pacjenta – delikatnie go dotyka i, gdy zachodzi potrzeba, łagodnie odwraca, wprawnymi rękami dając sobie radę ze sztywniejącym ciałem.

– Czy mógłbyś opróżnić jego kieszenie? – poprosił Brunetti, jako że sam nie miał rękawiczek i nie chciał, by odciski jego palców powiększyły liczbę tych, które być może zostaną znalezione. Lekarz spełnił jego prośbę, ale znalazł jedynie cienki portfel, prawdopodobnie z krokodylej skóry, który wyjął, trzymając za róg, i położył na stojącym obok stole.

Wyprostował się i ściągnął rękawiczki.

– Otrucie. To oczywiste – oświadczył. – Przypuszczam, że cyjankiem, a właściwie jestem tego pewny, ale jest to informacja nieoficjalna, dopóki nie zrobię sekcji zwłok. Sądząc jednak po wygięciu ciała do tyłu, to nie może być nic innego.

Brunetti zauważył, że lekarz zamknął oczy zmarłemu i próbował rozluźnić kąciki wykrzywionych ust.

– To Wellauer, prawda? – zapytał Rizzardi, choć pytanie tak naprawdę było zbyteczne.

Gdy Brunetti kiwnął głową, wykrzyknął:

– *Maria Vergine*, to się na pewno nie spodoba burmistrzowi!

– To niech burmistrz sam znajdzie sprawcę – odpalił Brunetti.

– Oczywiście, głupiec ze mnie. Przepraszam, Guido. Powinniśmy pomyśleć o rodzinie.

Jakby na zawołanie, w drzwiach zjawił się jeden z umundurowanych policjantów i dał znak komisarzowi. Znalazłszy się na korytarzu, Brunetti zobaczył Fasiniego, a u jego boku kobietę, którą wziął za córkę maestra. Była wysoka – wyższa od dyrektora i nawet od komisarza – a do tego nosiła wysoko upięte blond włosy. Podobnie jak maestro, miała coś słowiańskiego w zarysie kości policzkowych i niebieskie oczy tak przejrzyste, że wyglądały prawie jak z lodu.

Na widok wychodzącego z garderoby komisarza odsunęła się od dyrektora, robiąc dwa szybkie kroki, i zapytała po włosku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem:

– Co się stało? Coś nie w porządku?

– Pani wybaczy... – zaczął Brunetti.

Nie słysząc jego słów, przerwała mu i zapytała kategorycznym tonem:

– Co się stało mojemu mężowi?

Zaskoczony Brunetti miał dość przytomności umysłu, żeby przesunąć się w prawo i skutecznie zatarasować wejście do pokoju.

– Przepraszam panią, ale byłoby lepiej, żeby pani tam nie wchodziła – powiedział, a w duchu zadał sobie pytanie: Skąd oni zawsze wiedzą, co mamy im do powiedzenia? Czy w brzmieniu słów, czy też jakimś zwierzęcym instynktem ludzie wyczuwają wiadomość o śmierci w głosie zwiastuna tych wieści?

Kobieta zachwiała się jakby pod ciosem. Biodrem uderzyła w klawiaturę fortepianu i korytarz wypełnił się dysharmonijnymi dźwiękami. Chcąc utrzymać równowagę, sztywno wyciągniętą ręką uderzyła w klawisze, które

ponownie wydały dysonansowe dźwięki. Powiedziała coś w języku, którego Brunetti nie rozumiał, i przyłożyła rękę do ust w tak melodramatycznym geście, że musiał być autentyczny.

W tym momencie Brunetti miał wrażenie, że przez całe życie właśnie tak postępował wobec ludzi – mówił im, że ktoś, kogo kochali, umarł albo, co gorsza, został zabity. Jego brat Sergio wykonywał badania rentgenowskie i musiał nosić w klapie małą metaliczną plakietkę, która przybierała dziwny kolor pod działaniem nadmiernego napromieniowania. Gdyby i on miał przy sobie podobne urządzenie, reagujące na smutek, ból czy śmierć, już dawno temu zmieniłoby trwale swój kolor.

Kobieta otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Chcę go zobaczyć – oznajmiła.

– Radziłbym tego nie robić – odparł, przekonany o słuszności tej rady.

– Co się stało? – spytała, usiłując z dosyć dużym powodzeniem zachować spokój.

– Przypuszczam, że była to trucizna – powiedział, w rzeczywistości już o tym przekonany.

– Ktoś go zabił?! – wykrzyknęła. Ton jej głosu wyrażał zaskoczenie, które zabrzmiało prawdziwie, a może było wyćwiczone.

– Przykro mi, *signora*. Jeszcze nie mogę odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytania. Czy jest tu ktoś, kto mógłby zawieźć panią do domu?

Za ich plecami nagle zahuczał grzmot oklasków, a po chwili przetoczyła się kolejna fala. Pani Wellauer zdawała się nie słyszeć braw ani pytania, tylko wpatrywała się w komisarza, niemo poruszając ustami.

– Czy w teatrze jest ktoś, kto mógłby zawieźć panią do domu? – powtórzył.

Wreszcie zrozumiała go i kiwnęła głową.

– Tak, tak – powiedziała, dodając ciszej: – Muszę usiąść.

Komisarz był na to przygotowany, wiedział, że po pierwszym szoku rzeczywistość uderza w ludzi z podwójną siłą i wtedy się załamują.

Wziął ją pod ramię i wyprowadził na zaplecze. Była wysoka, ale przy tym tak wiotka, że bez wysiłku ją podtrzymywał. Jedynym pomieszczeniem w polu widzenia był mały składzik po lewej stronie, zawalony tablicami świetlnymi i sprzętem o nieznanym mu zastosowaniu. Pomógł jej usiąść na krześle stojącym przed tablicą i kiwnął na jednego z umundurowanych policjantów, który pojawił się w skrzydle sceny wypełnionej teraz tłumem ludzi w kostiumach, kłaniających się widowni i łączących się w grupy, gdy tylko opadła kurtyna.

– Idź do baru i przynieś kieliszek brandy i szklanę wody – polecił mu Brunetti.

Pani Wellauer siedziała na drewnianym krześle z prostym oparciem, kurczowo trzymając się boków siedzenia, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Kręciła głową na znak odmowy lub w odpowiedzi na jakiś wewnętrzny dialog.

– *Signora*, czy w teatrze są jacyś pani znajomi?

Nie zwróciła na niego uwagi i dalej prowadziła niemą rozmowę.

– *Signora* – powtórzył, tym razem dotykając jej ramienia. – Czy są tu pani znajomi?

– Państwo Welti – odparła, nie podnosząc głowy. – Mieliśmy spotkać się za kulisami.

Policjant wrócił z kieliszkiem i ze szklanką. Brunetti wziął kieliszek i podał go pani Wellauer.

– Proszę to wypić – powiedział.

Wzięła kieliszek, z roztargnieniem wypijała do dna brandy i po chwili w ten sam sposób opróżniła podaną jej szklanę wody, tak jakby nie dostrzegła różnicy między jednym płynem a drugim. Brunetti odstawił szkło na bok.

– Kiedy go pani widziała?

– Słucham?

– Kiedy go pani widziała?

– Helmuta?

– Tak. Kiedy go pani widziała?

– Przyjechaliśmy razem. Dziś wieczorem. Potem wróciłam, gdy... – Jej głos ucichł.

– Gdy co? – dopytywał się.

Przypatrywała się przez chwilę jego twarzy, zanim odpowiedziała na pytanie.

– Gdy skończył się drugi akt. Ale nie rozmawialiśmy. Przyszłam za późno. On tylko powiedział... nie, nic nie powiedział.

Brunetti nie wiedział, czy jej pomieszenie jest wynikiem szoku, czy niedostatecznej znajomości języka, był natomiast przekonany, że kobieta nie jest w stanie odpowiadać na pytania.

Za ich plecami wybuchła kolejna nawałnica oklasków, która narastała i opadała, gdy wywoływano śpiewaków przed kurtynę. Pani Wellauer odwróciła wzrok od komisarza i spuściła głowę, lecz chyba przestała już prowadzić wewnętrzny dialog.

Brunetti kazał policjantowi zostać przy niej, informując go, że przyjdą tu po nią jej znajomi i wtedy będzie mogła z nimi odejść.

Zostawiwszy ją, poszedł z powrotem do garderoby, gdzie zastał szykujących się do wyjścia lekarza sądowego i fotografa, który nadszedł podczas jego rozmowy z panią Wellauer.

– Coś jeszcze? – spytał Brunetti Rizzardi.

– Nie. Kiedy będzie sekcja?

– Jutro.

– Sam ją przeprowadzisz?

Rizzardi zastanowił się przez chwilę.

– Jutro mam wolne, ale komendant prawdopodobnie każe mi to zrobić, ponieważ badałem ciało.

– O której to będzie?

– Koło jedenastej. Skończę pewno wczesnym popołudniem.

– Przyjadę tam – powiedział Brunetti.

– To zbyt uczynne, Guido. Nie musisz przejeżdżać na San Michele. Zadzwo-
nię do ciebie albo do biura.

– Dzięki, Ettore, ale chciałbym tam przyjechać. Już dawno nie byłem na
San Michele. Chciałbym pójść na grób ojca.

– Jak sobie życzysz.

Uścisnęli sobie dłonie i Rizzardi skierował się w stronę drzwi.

Zatrzymał się na chwilę i powiedział:

– On był ostatnim z gigantów. Nie zasłużył na taką śmierć. Bardzo ża-
łuję, że tak się stało.

– Ja też, Ettore. Ja też.

Lekarz opuścił pokój, a za nim fotograf. Po ich wyjściu jeden z sanitariu-
szy, którzy stali przy oknie, paląc papierosy i spoglądając w dół na ludzi
przechadzających się po małym *campo*, odwrócił się i podszedł do ciała le-
żącego na noszach, na podłodze.

– Możemy go zabrać? – spytał obojętnym tonem.

– Nie – odparł Brunetti. – Poczekajcie, aż wszyscy wyjdą z teatru.

Drugi sanitariusz, który dalej stał przy oknie, wyrzucił na zewnątrz nie-
dopałek i podszedł do drugiego końca noszy.

– To pewnie trochę potrwa – stwierdził, nie kryjąc niezadowolenia. Był
niski, krępy i mówił z wyraźnym neapolitańskim akcentem.

– Nie wiem, jak długo, ale macie poczekać, aż teatr opustoszeje.

Neapolitańczyk podciągnął rękaw białego kitla i znacząco spojrział na ze-
garek.

– Kończymy zmianę o północy – oświadczył. – Jeśli to się przeciągnie,
wrócimy do szpitala po dwunastej.

Drugi sanitariusz dorzucił:

– Przepisy związkowe mówią, że nie powinniśmy pracować po godzi-
nach, o ile nie zostaniemy uprzedzeni dwadzieścia cztery godziny wcze-
śniej. Sam nie wiem, co mamy robić w tej sytuacji. – Czubkiem buta wska-
zał na nosze, jakby były przedmiotem znalezionym na ulicy.

Przez chwilę Brunetti chciał wdać się z nimi w dyskusję, ale szybko przeszła mu ochota.

– Macie tu zostać i nikomu nie otwierać drzwi, dopóki was nie zawiadomię. – Widząc brak reakcji z ich strony, spytał: – Zrozumieliście? Jeden i drugi? – Dalej milczeli. – Zrozumieliście? – powtórzył.

– Ale przepisy związkowe...

– Do diabła z waszym związkiem i jego przepisami! – wybuchnął Brunetti. – Jeśli go zabierzecie, zanim wam na to pozwolę, znajdziecie się w więzieniu, gdy tylko spluniecie na chodnik albo zaklniecie w miejscu publicznym. Nie chcę, żeby zrobił się tu cyrk, kiedy będziecie go wynosić. Macie czekać, dopóki nie powiem wam, że możecie odejść. – Nie pytając, czy go zrozumieli, odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Na końcu korytarza, gdzie było dużo więcej miejsca, panowało kompletne zamieszanie. Wszędzie kręcili się ludzie, niektórzy jeszcze w kostiumach, inni już w normalnych ubraniach. Ich zaciekawione spojrzenia, rzucając w stronę zamkniętych drzwi garderoby, powiedziały mu, że wiadomość o śmierci dyrygenta już się rozniosła. Patrzył, jak wiadomość rozchodzi się coraz dalej: zobaczył dwie głowy, które zetknęły się i zaraz gwałtownie odwróciły; spojrzenia pobiegły korytarzem w stronę drzwi, za którymi kryło się coś, co wywoływało jedynie domysły. Czy chcieli na własne oczy zobaczyć ciało? Czy tylko mieć temat do jutrzejszych rozmów w barze?

Gdy wrócił do składziku, gdzie zostawił panią Wellauer, zastał przy niej dwoje znacznie od niej starszych ludzi. Kobieta klęczała u boku zapłakanej wdowy i obejmowała ją ramieniem. Umundurowany policjant podszedł do Brunettiego.

– Mówiłem ci, że mogą iść do domu – powiedział Brunetti.

– Czy mam ich odprowadzić, *commissario*?

– Tak. Dowiedziałeś się, gdzie ona mieszka?

– Przy San Moisè, *commissario*.

– Świetnie, to niedaleko – odparł Brunetti i po chwili dodał: – Niech z nikim nie rozmawiają – mając na myśli reporterów, do których niewątpliwie dotarła już wiadomość. – Nie wyprowadzaj jej wyjściem dla aktorów. Dowiedz się, czy można się wydostać z teatru jakąś inną drogą.

– Tak jest, *commissario* – odrzekł policjant, salutując z takim wigorem, że Brunetti żałował, że nie widzą tego sanitariusze.

– Panie komisarzu? – usłyszał za plecami. Odwrócił się i zobaczył kaprala Miottiego, najmłodszego z trzech policjantów, którzy z nim przyjechali.

– O co chodzi, Miotti?

– Mam listę ludzi, którzy byli tu dziś wieczorem: członków chóru i orkiestry, pracowników technicznych i śpiewaków.

– Ilu ich jest?

– Ponad setka, *commissario* – odparł kapral i westchnął, tak jakby chciał przeprosić za przysporzenie setek godzin pracy.

– Trudno – rzekł Brunetti i przestał się tym przejmować. – Idź do portiera i spytaj go, jak można przedostać się przez ten kołowrót na dole. Czy wymagają tu jakiejś legitymacji? – Kapral notował pytania, a Brunetti mówił dalej: – Czy można wejść tu inną drogą? Czy można dostać się z widowni? Z kim Wellauer przyjechał dziś wieczorem? O której godzinie? Czy ktoś wchodził do jego garderoby podczas spektaklu? No i ta kawa, czy przyniesiono ją z baru, czy z zewnątrz? – Przerwał na chwilę, zastanawiając się nad dalszymi pytaniami. – Sprawdź, czy były do niego jakieś wiadomości, listy, telefony.

– To wszystko, *commissario*? – zapytał Miotti.

– Zadzwoń na komendę i poproś, żeby ktoś skontaktował się z niemiecką policją. – Zanim Miotti zdążył zaproponować, dodał: – Niech wezwą tę tłumaczkę z niemieckiego... jak ona się nazywała?

– Boldacci.

– Racja. Powiedz im, żeby ją ściągnęli i polecili jej skontaktować się z niemiecką policją. Nieważne, która to będzie godzina. Ma poprosić

o pełne akta Wellauera. Na jutro rano, o ile to możliwe.

– Tak jest, *commissario*.

Brunetti kiwnął głową. Policjant zasalutował i z notesem w ręce poszedł w stronę schodów, które prowadziły do wejścia dla aktorów.

– Aha, kapralu! – zawołał za nim Brunetti.

– Słucham, *commissario*? – odparł policjant, zatrzymując się na szczycie schodów.

– Bądź uprzejmy.

Miotti kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i zniknął. Możliwość powiedzenia tego policjantowi bez urażenia jego uczuć na nowo wzbudziła w Brunettim wdzięczność za to, że został przeniesiony z powrotem do Wenecji po pięciu latach służby w Neapolu.

Choć ostatnie oklaski ucichły ponad dwadzieścia minut temu, aktorzy nie przejawiali zamiaru zejścia ze sceny. Ludzie, którzy mieli większe poczucie celowości działania, chodzili między pozostałymi, zabierając od nich części kostiumów, pasy, laski i peruki. Jakiś mężczyzna przeszedł przed Brunettim, trzymając coś, co przypominało martwe zwierzę. Komisarz jeszcze raz przyjrzał się mu i stwierdził, że człowiek niesie naręczne damskich peruk. Po drugiej stronie wolnej przestrzeni za kurtyną Brunetti zobaczył Follina, policjanta, któremu kazał wezwać lekarza sądowego.

Follin podszedł do Brunettiego i powiedział:

– Przyszło mi na myśl, że pan komisarz będzie chciał porozmawiać ze śpiewakami, więc poprosiłem ich, żeby poczekać na górze. Reżysera też. Najwyraźniej nie mieli na to ochoty, ale wyjaśniłem, co się stało, i się zgodzili. Choć dalej nie mieli na to ochoty.

Ach, ci śpiewacy operowi, przeleciało Brunettiemu przez myśl i po chwili powtórzył w duchu: śpiewacy operowi.

– Dobra robota – powiedział. – Gdzie oni są?

– Na górze, *commissario* – odparł Follin i wskazał na krótkie schody prowadzące na górne piętra teatru. Wręczył Brunettiemu program przedstawienia, które odbyło się tego wieczoru.

Komisarz spojrział na spis nazwisk, z których kilka było mu znanych, i razem z policjantem wszedł na schody.

– Kto okazywał największe zniecierpliwienie? – spytał, gdy doszli na piętro.

– *Signora Petrelli*, sopran – odrzekł policjant, wskazując drzwi na końcu korytarza biegnącego w prawo.

– Dobrze – powiedział Brunetti i skręcił w lewo. – W takim razie zostawimy signorę Petrelli na koniec. – Widząc uśmiech na twarzy Follina, pomyślał z ciekawością, jak też wyglądało spotkanie gorliwego policjanta z oporną primadonną.

„Francesco Dardi – Giorgio Germont” – taki napis widniał na tekturowej tabliczce wiszącej na drzwiach pierwszej garderoby po lewej ręce komisarza. Zapukał dwa razy i natychmiast rozległ się okrzyk:

– *Avanti!*

Przy małej toaletce siedział zajęty zmywaniem makijażu baryton, którego nazwisko należało do kilku znanych Brunettiemu w spisie wykonawców. Francesco Dardi był niskim mężczyzną o tak wydatnym brzuchu, że kant toaletki wżynał się w niego, gdy śpiewak pochylał się w przód, by lepiej widzieć, co robi.

– Panowie wybaczą, że nie wstaję, by ich powitać – powiedział, ostrożnie ścierając czarny makijaż wokół lewego oka.

W odpowiedzi Brunetti skinął w milczeniu głową.

Po chwili Dardi odwrócił się od lustra i spojrział w górę na dwóch mężczyzn.

– Słucham – powiedział i kontynuował zmywanie makijażu.

– Czy pan słyszał o tym, co się wydarzyło dziś wieczorem? – zapytał komisarz.

– Ma pan na myśli Wellauera?

– Tak.

Gdy na swoje pytanie uzyskał jedynie jednosylabową odpowiedź, odłożył ręcznik i odwrócił się w stronę policjantów.

– Czy mogę panom w czymś pomóc? – zapytał, zwracając się do Brunettiego.

Ponieważ takie zachowanie bardziej przypadło mu do gustu, Brunetti uśmiechnął się i odparł miłym tonem:

– Być może. – Zerknął na trzymany w ręce program, jakby chciał przypomnieć sobie nazwisko rozmówcy. – *Signor Dardi*, jak pan już słyszał, maestro Wellauer zmarł dzisiejszego wieczoru.

Śpiewak potwierdził to jedynie lekkim skinieniem głowy.

Brunetti ciągnął:

– Chciałbym usłyszeć wszystko, co może mi pan powiedzieć o dzisiejszym spektaklu, o tym, co się wydarzyło podczas pierwszego i drugiego aktu.

Przerwał na chwilę, a Dardi znowu kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział.

– Czy rozmawiał pan dziś wieczorem z maestrem?

– Widziałem go w przelocie – odparł śpiewak, obracając się na krześle i powracając do zmywania makijażu. – Kiedy przyszedłem, rozmawiał z operatorem światła, chodziło o coś w pierwszym akcie. Powiedziałem mu Buonasera, a potem poszedłem na górę, żeby zrobić sobie makijaż. Jak pan widzi – dodał, wskazując na swoje odbicie w lustrze – zabiera to sporo czasu.

– O której godzinie pan go widział? – zapytał Brunetti.

– Chyba koło siódmej. Może trochę później, kwadrans po siódmej, na pewno nie później.

– Widział pan go potem?

– Tu na górze czy za kulisami?

– Albo tu, albo tu.

– Potem widziałem go tylko na podium.

– Czy maestro był w towarzystwie, gdy widział go pan dziś wieczorem?

– Już panu mówiłem, że rozmawiał z operatorem światła.

– Tak, wiem. Widział go pan z kimś jeszcze?

– Z Frankiem Santorem. W barze. Zamienili kilka słów, akurat gdy wychodziłem.

Choć nazwisko było znane Brunettiemu, zapytał:

– A kim jest *signor Santore*?

Dardi nie okazał najmniejszego zdziwienia ignorancją komisarza. Ostatecznie skąd policjant miałby znać nazwisko jednego z najsłynniejszych reżyserów teatralnych we Włoszech?

– Reżyserem – odparł śpiewak. Skończył wycierać się ręcznikiem i rzucił go na blat toaletki. – Wystawił tę operę. – Wziął jedwabny krawat leżący po prawej stronie na blacie, wsunął go pod kołnierzyk koszuli i starannie zawiązał. – Czy coś jeszcze pana interesuje? – zapytał obojętnym tonem.

– Nie. To byłoby chyba wszystko. Dziękuję za pomoc. Gdybyśmy chcieli znowu z panem porozmawiać, gdzie możemy pana zastać?

– W Gritti – odrzekł i obrzucił komisarza szybkim, badawczym spojrzeniem, jakby chciał wiedzieć, choć bał się zapytać, czy w Wenecji w ogóle są jeszcze inne hotele.

Brunetti podziękował mu i wyszedł z Follinem na korytarz.

– Może porozmawiamy teraz z tenorem? – zapytał, spoglądając na program.

Kiwnąwszy głową, Follin poprowadził go korytarzem do drzwi po przeciwnej stronie.

Brunetti zapukał, odczekał chwilę, ale nikt nie odpowiedział. Znowu zapukał i usłyszał dochodzące ze środka odgłosy, które uznał za zaproszenie do wejścia. Zobaczył niskiego, szczupłego mężczyznę, całkowicie ubranego, który siedział na fotelu, z płaszczem przewieszonym przez poręcz, w pozie wyćwiczonej na zajęciach w szkole teatralnej i wyrażającej „zniescierpliwienie połączone z irytacją”.

– Ach, *signor Echeveste* – zawołał z zachwytem komisarz i z wyciągniętą ręką podszedł do śpiewaka szybkim krokiem, aby ten nie musiał wstawać z fotela. – To wielki zaszczyt poznać pana. – Gdyby komisarz

uczestniczył w tych samych zajęciach, jego zadanie polegałoby na wyrażeniu „pełnej szacunku bojaźni na widok oszałamiającego talentu”.

Pod wpływem pochlebstwa złość Echevestego stopniała niczym wiosenne lody. Młody tenor uniósł się z fotela z pewną ociężałością i lekko pochylił się w ceremonialnym ukłonie.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał z nieznacznym lokalnym akcentem.

– Komisarz Brunetti. Z ramienia policji prowadzę tę godną ubolewania sprawę.

– A, tak – odparł Echeveste takim tonem, jakby dawno, dawno temu słyszał o istnieniu policji, ale zupełnie zapomniał, czym się zajmuje. – A zatem pana obecność tutaj jest spowodowana tym... – przerwał, machając wiotką w nadgarstku ręką i czekając, by podsunęto mu właściwe słowo. Słowo pojawiło się, zgodnie z życzeniem: – ...godnym ubolewania wydarzeniem związanym z osobą maestra.

– W rzeczy samej. Tragiczna historia, godna ubolewania – trajkotał Brunetti, cały czas patrząc tenorowi w oczy. – Czy byłby pan uprzejmy odpowiedzieć na kilka pytań?

– Ależ oczywiście – odparł Echeveste i osunął się z gracją na fotel, nie omieszkawszy podciągnąć w kolanach nogawek spodni, by nie pognieść ostrych jak brzytwa kantów. – Chętnie służę pomocą. Muzyczny świat poniósł ogromną stratę.

Słyszając tak niezwykle frazes, Brunettiemu nie pozostało nic innego, jak pochylić z szacunkiem głowę. Po chwili uniósł ją i zapytał:

– O której godzinie przybył pan do teatru?

Echeveste zastanowił się i odparł:

– Sądzę, że około siódmej trzydzieści. Spóźniłem się, zatrzymany pewnymi okolicznościami, pan rozumie – tymi słowami dając niedwuznacznie do zrozumienia, że choć nierad, zmuszony był wyrwać się z objęć powabnej kobiety i opuścić zmięte łoże.

– A dlaczego pan się spóźnił? – zainteresował się Brunetti, wiedząc, że nie powinien zadawać tego pytania, i chcąc zobaczyć, jak pobudzi ono wyobraźnię rozmówcy.

– Byłem u fryzjera – oświadczył tenor.

– U kogo pan się strzyże? – spytał komisarz z całą uprzejmością.

Śpiewak podał nazwę zakładu mieszczącego się kilka przecznic od teatru. Brunetti rzucił spojrzenie Follinowi, który zrobił notatkę. Jutro to sprawdzi.

– Czy po przyjeździe do teatru widział pan maestra?

– Nie. Nikogo nie widziałem.

– I była wtedy mniej więcej siódma trzydzieści?

– Tak. O ile dobrze pamiętam.

– Czy po wejściu do teatru widział pan kogoś albo z kimś rozmawiał?

– Nie. Nikogo nie spotkałem.

Zanim Brunetti zdążył wyrazić swoje zdziwienie tym faktem, Echeveste dodał:

– Nie wszedłem na zaplecze wejściem dla aktorów, lecz z parteru widowni.

– Nie wiedziałem, że to możliwe – powiedział komisarz, zaintrygowany tym, że tą drogą jest dostęp na zaplecze.

– Cóż, zazwyczaj nie jest ono używane – przyznał śpiewak, przyglądając się swoim dłoniom – ale jeden z bileterów jest moim znajomym. Wpuścił mnie do teatru i nie musiałem korzystać z wejścia dla aktorów.

– Czy można spytać, dlaczego wolał pan tak zrobić?

Tenor uniósł rękę i z wolna zamachał nią, jakby z nadzieją, że pytanie rozplynie się w powietrzu albo sam gest wystarczy za odpowiedź. Gdy tak się nie stało, położył jedną rękę na drugiej i powiedział tylko:

– Bałem się.

– Nie rozumiem.

– Bałem się maestra. Poprzednio spóźniłem się na dwie próby. Maestro rozzłościł się i zaczął krzyczeć. Kiedy wpadał w złość, potrafił być bardzo niemiły. Wołałem uniknąć takiej sytuacji.

Brunetti przypuszczał, że jedynie przez wzgląd na zmarłego nie padło mocniejsze słowo niż „niemiły”.

– A zatem wszedł pan tamtędy, chcąc uniknąć spotkania z nim – upewnił się.

– Tak.

– Czy widział go pan albo rozmawiał z nim dziś wieczorem? Poza tym, gdy byliście na scenie.

– Nie.

Brunetti wstał i ponownie obdarzył tenora swym teatralnym uśmiechem.

– Jestem wdzięczny, że zechciał pan poświęcić nam swój czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł śpiewak, unosząc się z fotela. Spojrzał na Follina, potem na Brunettiego i zapytał: – Czy jestem już wolny?

– Tak, oczywiście. Proszę tylko zostawić nam swój adres.

– Gritti – oznajmił Echeveste, obrzucając komisarza, jak wcześniej Dardi, badawczym spojrzeniem, na tyle czytelnym, że można było się zastanawiać, czy w Wenecji rzeczywiście są inne hotele.

Rozdział 3

Kiedy Brunetti wyszedł z garderoby, zobaczył czekającego przy drzwiach Miottiego. Młody policjant powiedział mu, że Franco Santore, reżyser, nie chciał dłużej czekać, twierdząc, że jeśli ktoś chce z nim porozmawiać, może go zastać w hotelu Fenice, przylegającym do teatru. Komisarz kiwnął głową, niemal ucieszony, że w mieście są jeszcze inne hotele.

– Została nam sopranistka – stwierdził, kierując się na prawo w głąb korytarza. Na drzwiach wisiała charakterystyczna tekturka z napisem: „Flavia Petrelli – Violetta Valery”, a poniżej biegł rząd znaków przypominających chińskie ideogramy, wyrysowanych cienkim czarnym pędzelkiem.

Brunetti zapukał do drzwi, dając znak policjantom, by zostali na zewnątrz.

– *Avanti!* – usłyszał i otworzył drzwi.

W pokoju czekały na niego dwie kobiety. Zaskoczony komisarz nie potrafił powiedzieć, która z nich jest sopranistką. Jak każdy Włoch, słyszał o Petrelli, ale tylko raz, kilka lat temu, oglądał jej występ i ledwo pamiętał ją ze zdjęć w gazetach.

Kobieta o ciemniejszych włosach stała przy toalecie, odwrócona do niej plecami, a druga siedziała na prostym drewnianym krześle pod przeciwległą ścianą. Żadna nie odezwała się, gdy wszedł, więc wykorzystał tę chwilę milczenia, by im się przyjrzeć.

Przypuszczał, że stojąca kobieta ma koło trzydziestu lat. Była ubrana w fioletowy sweter i długą czarną spódnicę, która ocierała się o czarne skórzane boty na płaskim obcasie, zrobione z cienkiej, delikatnej skóry. Brunettiemu mgliście przypomniało się, jak to pewnego dnia przechodził z żoną obok witryny sklepu Braci Rossettich, a ona wykrzyknęła, że to sza-

leństwo wydawać pół miliona lirów na parę botów. Niewątpliwie tych właśnie. Kobieta miała sięgające ramion, naturalne kręjące się krucze włosy, które można by obciąć tępym narzędziem i też wyglądałyby doskonale. Oczy nie pasowały do oliwkowej karnacji, miały przejrzysty, zielony kolor i skojarzyły mu się ze szkłem, ale gdy przypomniał sobie o butach, nasu-nęło mu się skojarzenie ze szmaragdami.

Siedząca na krześle kobieta wyglądała na starszą o kilka lat. Miała lekko przyprószone siwizną włosy, krótko obcięte przy skórze, w stylu rzymskich cesarzy w schyłkowych wiekach. Surowa fryzura uwydatniała delikatne kości policzkowe i kształtny nos.

Brunetti zrobił kilka kroków w stronę siedzącej kobiety i wykonał ruch, który można było uznać za ukłon.

– *Signora* Petrelli? – zapytał. Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. – To zaszczyt poznać panią. Żałuję tylko, że mam tę przyjemność w tak godnych ubolewania okolicznościach. – Ponieważ była jedną z czołowych śpiewaczek operowych tych czasów, nie zdołał oprzeć się pokusie, by zwracać się do niej przesadnym językiem opery, tak jakby odgrywał swoją rolę.

Ponownie skinęła głową, nie czyniąc nic, by uwolnić go od ciężaru prowadzema rozmowy.

– Chciałbym porozmawiać z panią o śmierci maestra Wellauera. – Przeniósł wzrok na drugą kobietę i dodał: – A także z panią – pozostawiając któregoś z nich podanie jej nazwiska.

– To Brett Lynch – przedstawiła ją śpiewaczka – moja przyjaciółka i sekretarka.

– Czy to amerykańskie nazwisko? – spytał Brunetti przedstawioną mu kobietę.

– Tak – odpowiedziała za nią *signora* Petrelli.

– W takim razie może będzie lepiej posłużyć się w tej rozmowie angielskim? – spytał, nie kryjąc dumy z łatwości, z jaką przechodził z jednego języka na drugi.

– Będzie prościej, jeśli pozostaniemy przy włoskim – odparła Amerykanka, odzywając się po raz pierwszy i mówiąc po włosku bez najmniejszego śladu obcego akcentu. Jego reakcja była całkowicie bezwiedna i została zauważona przez obie kobiety. – Chyba że woli pan posłużyć się dialektem weneckim – dodała, w naturalny sposób przechodząc na miejscowy dialekt, który zabrzmiał bezbłędnie. – Ale wówczas Flavia może mieć trudności ze zrozumieniem, o czym mówimy. – To wszystko było powiedziane z największą powagą, a Brunetti poprzysiągł sobie, że upłynie wiele czasu, zanim znowu będzie popisywał się swoją angielszczyzną.

– A zatem po włosku – odparł, zwracając się do *signory* Petrelli. – Czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań?

– Naturalnie – odrzekła. – Może pan spocznie, *signor*...

– Brunetti – wpadł jej w słowo. – Komisarz policji.

Tytuł nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

– Może pan spocznie, panie komisarzu.

– Nie, dziękuję. – Wyjął z kieszeni notes, potem pióro zatknięte między kartki, chcąc stworzyć pozory, że szykuje się do sporządzania notatek, co robił rzadko, gdyż wolał, żeby podczas pierwszego przesłuchania oczy i umysł dokonywały swobodnych obserwacji.

Signora Petrelli poczekała, aż zdejmie nasadkę pióra, i spytała:

– Co chciałby pan wiedzieć?

– Czy dziś wieczorem widziała pani maestra lub rozmawiała z nim? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Oczywiście poza tym, gdy byliście na scenie.

– Kiedy przyszłam, powiedzieliśmy sobie *Buonasera* i życzyliśmy *In bocca al lupo*. Tylko tyle.

– I był to jedyny raz, gdy rozmawiała pani z maestrem?

Nim odpowiedziała, rzuciła spojrzenie drugiej kobiecie.

Brunetti nie odrywał wzroku od śpiewaczki i nie widział wyrazu twarzy jej przyjaciółki. Cisza przedłużała się, ale zanim zdążył powtórzyć pytanie, śpiewaczka odpowiedziała:

– Nie, więcej go nie widziałam. Jak pan wspomniał, widziałam go oczywiście ze sceny, ale więcej nie rozmawialiśmy ze sobą.

– Jest pani pewna?

– Najzupełniej – padła natychmiastowa odpowiedź.

– A w czasie przerw? Gdzie pani wtedy była?

– Tutaj. Razem z panną Lynch.

– A pani, panno Lynch? – spytał, wymawiając jej nazwisko z angielskim akcentem, choć wymagało to od niego sporej koncentracji. – Gdzie pani była podczas spektaklu?

– Prawie przez cały pierwszy akt – tutaj, w garderobie. Zeszłam na dół, żeby usłyszeć „Sempre libera”, a potem wróciłam na górę. I siedziałam tu przez resztę spektaklu – odpowiedziała spokojnym głosem.

Rozejrzał się po pustym pokoju, szukając czegoś, czym mogła się zajmować przez tyle czasu. Wychwycił jego spojrzenie i z kieszeni spódnicy wyjęła ciekawą książkę. Na okładce zobaczył chińskie ideogramy, takie same jak na tabliczce na drzwiach.

– Czytałam – wyjaśniła, pokazując mu książkę. Obdarzyła go najzupełniej przyjaznym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć, że jest gotowa porozmawiać o książce, jeśli takie jest jego życzenie.

– A pani rozmawiała z maestrem Wellauerem dziś wieczorem?

– Jak pan już wie od *signory* Petrelli, rozmawialiśmy z nim, gdy przyszliśmy do teatru, ale potem już go nie widziałam. – Brunetti zdusił w sobie ochotę, by sprostować, że *signora* Petrelli nie mówiła o ich wspólnym przyjeździe do teatru, i nie przerwał jej. – Z miejsca, gdzie stałam za kulisami, nie mogłam go widzieć, a podczas obu przerw siedziałam tutaj.

– Razem z *signorą* Petrelli?

Tym razem to Amerykanka rzuciła spojrzenie śpiewaczce, nim odpowiedziała:

– Tak, razem z *signorą* Petrelli, jak pan już słyszał.

Brunetti zamknął notes, w którym zapisał jedynie nazwisko Amerykanki, tak jakby chciał uzmysłwić sobie okropności zawarte w tym krótkim sło-

wie.

– Gdybym miał dalsze pytania, gdzie mogę panią zastać? – spytał śpiewaczkę.

– Mieszkam przy Cannaregio 6134 – odparła, zaskakując komisarza podaniem adresu w wyłącznie mieszkaniowej części miasta.

– To pani mieszkanie?

– Nie, moje – wtrąciła Amerykanka. – Ja też tam będę.

Ponownie otworzył notes i zapisał adres. Nie tracąc kontenansu, dorzucił:

– Jaki jest numer telefonu?

Podawała mu także numer telefonu, dodając, że jest zastrzeżony, i wyjaśniając, że mieszkają opodal bazyliki S.S. Giovanni e Paolo.

Przyjmując swój urzędowy sposób bycia, skłonił się i powiedział:

– Bardzo paniom dziękuję i przepraszam, że kłopotalem panie o tej porze.

Jeśli któraś z nich była zaskoczona jego słowami, nie okazała tego po sobie. Po dalszej wymianie uprzejmości wyszedł z garderoby i zabrawszy ze sobą czekających przy drzwiach policjantów, poszedł przodem w dół po schodach prowadzących na zaplecze teatru.

Trzeci policjant czekał u stóp schodów.

– No i co tam? – spytał go Brunetti.

Policjant uśmiechnął się, zadowolony, że ma coś do zakomunikowania.

– Zarówno Santore, reżyser, jak i Petrelli rozmawiali z nim w jego garderobie. Santore poszedł do niego przed spektaklem, a ona w przerwie po pierwszym akcie.

– Skąd to wiesz?

– Od jednego z pracowników technicznych. Powiedział mi, że Santore był rozgniewany, gdy wyszedł. Takie miał wrażenie, choć nie słyszał żadnych krzyków ani niczego w tym rodzaju.

– A *signora* Petrelli?

– Ten człowiek nie był pewny, czy to była Petrelli, natomiast twierdził, że kobieta miała na sobie niebieski kostium.

Miotti wtrącił się:

– W pierwszym akcie ona występuje w niebieskiej sukni.

Brunetti spojrzał na niego z rozbawieniem. Czyżby Miotti dopiero teraz ujawnił swoje zainteresowania? – pomyślał.

– W zeszłym tygodniu byłem na próbie, *commissario*. Ona występuje w niebieskiej sukni podczas pierwszego aktu – ciągnął policjant.

– Dziękuję, Miotti – odparł Brunetti normalnym tonem.

– Moja dziewczyna to załatwiła, *commissario*. Jej kuzyn śpiewa w chórze i dał nam bilety.

Brunetti kiwnął głową z uśmiechem, ale uprzytomnił sobie, że wolałby nie słyszeć tych wyjaśnień.

Policjant, który składał raport, odsunął rękaw i spojrzał na zegarek.

– Mów dalej – powiedział Brunetti.

– Ten człowiek twierdzi, że widział, jak wychodziła z garderoby dyrygenta pod koniec przerwy i była ogromnie zła.

– Pod koniec pierwszej przerwy?

– Tak, *commissario*. Tego był pewny.

Odpowiadając na gest policjanta, Brunetti powiedział:

– Zrobiło się późno. Chyba więcej nic tu teraz nie zdziałamy. – Pozostali rozejrzeli się po opustoszałym teatrze. – Spróbujcie jutro się dowiedzieć, czy jeszcze ktoś widział ją albo kogoś innego, jak wchodzi do garderoby. – Nastroje policjantów poprawiły się, gdy wspomnieli o następnym dniu. – Koniec na dzisiaj. Możecie iść. – Kiedy zaczęli się rozchodzić, zawołał: – Miotti, czy zabrano już ciało do szpitala?!

– Nie wiem, *commissario* – odparł Miotti, prawie zmieszany, tak jakby obawiał się, że przekreśliło to pochwałę, którą dopiero co otrzymał.

– Pójdę zobaczyć, a ty zaczekaj tu.

Brunetti poszedł z powrotem do garderoby i bez pukania otworzył drzwi. Dwaj sanitariusze siedzieli w fotelach, opierając nogi na stoliku, który stał między nimi. Obok nich, na podłodze, leżało ciało największego muzyka tego wieku, przykryte prześcieradłem i zupełnie zapomniane.

Gdy Brunetti wszedł do pokoju, unieśli głowy, ale potraktowali go z całkowitą obojętnością.

– Teraz możecie zabrać go do szpitala – powiedział komisarz, odwrócił się i wyszedł z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Miotti czekał tam, gdzie się rozstali, przeglądając notes, niemal taki sam jak komisarza.

– Chodźmy na drinka – zaproponował Brunetti. – O tej porze chyba tylko bar w hotelu będzie czynny. – Westchnął, odczuwając zmęczenie. – Trochę trunku dobrze mi zrobi. – Skierował się w lewo, ale stwierdził, że idzie w stronę sceny. Schody gdzieś zniknęły. Już tyle czasu był w teatrze, chodził w górę i w dół po schodach, w tę i z powrotem korytarzami, że całkowicie stracił orientację i nie miał pojęcia, gdzie jest wyjście.

Miotti lekko dotknął jego ramienia i powiedział:

– Tędy, *commissario*. – Poprowadził go na lewo i potem w dół schodami, którymi wchodzili do teatru ponad dwie godziny wcześniej.

Widząc umundurowanego Miottiego, siedzący na dole portier nacisnął guzik pod ladą i otworzył kołowrót, który blokował wyjście z teatru. Gestem ręki pokazał, że mają go jedynie popchnąć. Wiedząc, że Miotti już pytał portiera, kto wchodził i wychodził z teatru tego wieczoru, Brunetti nie zwracał sobie głowy zadawaniem mu pytań, tylko od razu opuścił budynek i wyszedł na pusty plac.

Zanim poszli w górę wąską uliczką prowadzącą do hotelu, Miotti zapytał:

– Czy potrzebne panu moje towarzystwo?

– Nie musisz się martwić, że idziesz na drinka, będąc w mundurze – zapewnił go Brunetti.

– Nie o to chodzi – odpowiedział policjant.

Może chłopak jest po prostu zmęczony – pomyślał komisarz i zapytał:

– A o co?

– Ten portier, panie komisarzu, jest znajomym mojego ojca. Pomyślałem sobie, że gdybym teraz wrócił do niego i zaprosił go na drinka, być może powiedziałby mi więcej niż poprzednio. – Ponieważ Brunetti milczał, dodał pospiesznie: – Tak mi przyszło do głowy, *commissario*. Nie chciałem...

– W porządku. To dobry pomysł, bardzo dobry. Idź i pogadaj z nim. Zobaczymy się jutro rano. Nie ma potrzeby, żebyś przychodził przed dziewiątą.

– Dziękuję, *commissario* – odparł Miotti z dziarskim uśmiechem, energicznie zsalutował – na co Brunetti odpowiedział zdawkowym kiwnięciem ręką – i wrócił do teatru i do swoich policyjnych obowiązków.

Rozdział 4

Brunetti poszedł w stronę hotelu, oświetlonego nawet w porze, gdy reszta miasta była pogrążona w ciemnościach i we śnie. Wenecja – niegdyś europejska stolica rozrywki – stała się sennym, prowincjonalnym miastem, które praktycznie zamierało po dziewiątej czy dziesiątej wieczorem. W letnich miesiącach przypominała sobie swą rozpustną przeszłość i swój blask – pod warunkiem że turyści płacili i utrzymywała się dobra pogoda – ale zimą przemieniała się w zmęczoną starowinę, która wolała wcześniej wleźć do łóżka, oddając opustoszałe ulice we władanie kotom i wspomnieniom z przeszłości.

Ale właśnie o tej porze miasto było dla Brunettiego najpiękniejsze, gdyż wtedy on – weneccjanin z krwi i kości – miał poczucie jego minionej chwały. Ciemność nocy kryła mchy porastające stopnie palazzi ciągnących się wzdłuż Canale Grande, zasłaniała pęknięcia w murach kościołów i tuszowała wyrwy w tynku na fasadach budynków publicznych. Jak wiele kobiet, które osiągnęły pewien wiek, miasto musiało uciec się do pomocy zwodniczego światła, by odzyskać utraconą piękność. Łódź, która za dnia przewoziła płatki mydlane czy kapustę, w nocy przybierała nadprzyrodzoną formę i zmierzała ku tajemniczemu miejscu przeznaczenia. Mgły, które często pojawiały się w zimowe dni, przemieniały ludzi i przedmioty – nawet długowłosi nastolatki, wystający na rogach ulic i palący jednego papierosa na spółkę, przypominali tajemnicze zjawy z przeszłości.

Brunetti spojrział na gwiazdy, wyraźnie widoczne ponad ciemnościami spowijającymi nieoświetlone ulice, i dostrzegł ich piękno. Zachowując w pamięci ten obraz, poszedł dalej w stronę hotelu.

W holu nie było nikogo i panował tam nastrój opuszczenia, charakterystyczny dla miejsc publicznych w nocnej porze. Za ladą recepcji siedział

nocny portier, przechylony w tył na krześle opierającym się o ścianę, ze świeżą gazetą na kolanach, otwartą na różowych stronach z wiadomościami sportowymi. Jakiś starzec w fartuchu w zielono-czarne pasy rozrzucał trociny po marmurowej podłodze holu i potem zmiatał ją do czysta. Kiedy Brunetti zauważył, że przeszedł po drobnych wiórkach z drewna i idąc dalej przez hol, pozostawił ślady na wysprzątanej części podłogi, spojrzał na starca i powiedział:

– *Scusi.*

– Nic nie szkodzi – odparł mężczyzna i przejechał szczotką po zostawionych śladach. Czytającemu gazetę portierowi nawet nie chciało się unieść głowy.

Brunetti poszedł w głąb holu. Wokół niskich stolików stało z sześć czy siedem dużych, wyściełanych foteli. Przepchnął się między nimi i podszedł do jedynej osoby znajdującej się w tym pomieszczeniu. Jeśli wierzyć prasie, siedzący tam człowiek był najlepszym reżyserem teatralnym pracującym obecnie we Włoszech. Dwa lata wcześniej Brunetti widział sztukę Pirandella w jego reżyserii, wystawioną w teatrze Goldoniego, która zrobiła na nim ogromne wrażenie, dużo większe niż dość przeciętna gra aktorów. Choć Santore był znany ze swoich homoseksualnych skłonności, w świecie teatru, gdzie za mieszane małżeństwo uznawano związek kobiety i mężczyzny, jego życie osobiste nigdy nie było przeszkodą na drodze do sukcesu. Ale teraz okazało się, że widziano go, jak rozzłoszczony wychodził z garderoby człowieka, który zmarł gwałtowną śmiercią wkrótce potem.

Santore wstał z fotela, widząc zbliżającego się komisarza. Uścisnęli sobie dłonie i przedstawili się. Santore był człowiekiem średniego wzrostu i przeciętnej budowy, ale miał twarz boksera, którego nieudana kariera dobiega kresu, a do tego spłaszczony nos z głębokimi porami, szerokie usta i wydatne, wilgotne wargi. Kiedy zaproponował Brunettiemu drinka, z jego ust popłynęły słowa w najczystszej dialekcie florenckim, wymawiane z wdziękiem i aktorską dykcją. Brunettiemu przyszło na myśl, że zapewne tak mówił Dante.

Brunetti przystał na kieliszek brandy i Santore poszedł do baru. Komisarz, pozostawiony sam sobie, spojrział na otwartą książkę, leżącą na stole, i przysunął ją do siebie.

Santore wrócił, niosąc dwa pękate, zwężające się u góry kieliszki, wypełnione szczerze brandy.

– Dziękuję – powiedział komisarz, biorąc kieliszek. Upił duży łyk i wskazał na książkę, uważając, że lepiej od tego zacząć rozmowę niż od rutynowych pytań: gdzie pan był, co robił.

– Ajschylos?

Santore przyjął to pytanie z uśmiechem, ukrywając zdziwienie, że policjant potrafi przeczytać napisany greką tytuł książki.

– Pan go czyta dla przyjemności czy w związku z pracą?

– Chyba można to nazwać pracą – odparł reżyser, wypijając mały łyk brandy. – Za trzy tygodnie rozpoczynam prace nad nową inscenizacją *Agamemnona* w Rzymie.

– Po grecku? – zapytał Brunetti, dając do zrozumienia, że nie mówi tego poważnie.

– Nie, w tłumaczeniu. – Santore umilkł, ale po chwili dał upust swej ciekawości. – Skąd policjant zna grekę?

Brunetti zakołysał płynem w kieliszku.

– Cztery lata nauki – przyznał. – Choć było to dawno temu. Zapomniałem prawie wszystko.

– Ale wciąż rozpoznaje pan tekst Ajschylosa?

– Pamiętam alfabet. I chyba nic więcej. – Pociągnął jeszcze jeden łyk i dodał: – U Greków zawsze podobało mi się to, że nie pokazywali na scenie gwałtu.

– W przeciwieństwie do nas? – zapytał Santore i dorzucił kolejne pytanie: – W przeciwieństwie do tego?

– Tak, w przeciwieństwie do tego – zgodził się Brunetti, nawet nie zastanawiając się, skąd Santore wie, że śmierć była gwałtowna. Teatr był mały

i prawdopodobnie wiadomość dotarła do reżysera, zanim dowiedziała się o tym policja albo nawet zanim ją wezwano.

– Rozmawiał pan z nim tego wieczoru? – Wymienienie nazwiska było zbyteczne.

– Tak. Posprzecaliśmy się jeszcze przed rozpoczęciem spektaklu. Spokalkaliśmy się w barze i potem poszliśmy do jego garderoby. Tam to się zaczęło. – Santore mówił bez wahania. – Nie pamiętam, czy zaczęliśmy krzyczeć, ale rozmawialiśmy podniesionymi głosami.

– O co poszło? – zapytał Brunetti z takim spokojem, jakby rozmawiał ze starym przyjacielem i nie miał wątpliwości, że usłyszy prawdę.

– Swego czasu zawarliśmy ustne porozumienie, mające związek z wystawieniem tej opery. Ja dotrzymałem słowa, Helmut – nie.

Santore przyłożył dłonie do dolnej części kieliszka i wolno kołysał nim na boki.

– Zgodziłem się reżyserować tę operę, ponieważ on obiecał załatwić mojemu przyjacielowi angaż na lato, podczas festiwalu w Halle. To nie jest ważny festiwal i rola też nie jest znacząca. Helmut zgodził się porozmawiać z organizatorami festiwalu i poprosić ich, aby dali tę rolę mojemu przyjacielowi. Helmut miał dyrygować tylko w tym jednym przedstawieniu. – Przyłożył kieliszek do ust i wypił łyk. – Tego dotyczyła nasza sprzeczka.

– Co pan mu powiedział w czasie tej rozmowy?

– Chyba nie pamiętam wszystkiego, co powiedziałem ani co on powiedział. Natomiast dobrze pamiętam, że wyraziłem opinię, iż to, co zrobił, jest, moim zdaniem, nieuczciwe i niemoralne. – Westchnął. – Rozmowa z Helmutem zawsze kończyła się tym, że człowiek mówił jego językiem.

– Jak na to zareagował?

– Roześmiał się.

– Dlaczego?

Przed udzieleniem odpowiedzi Santore zaproponował:

– Miałby pan ochotę na jeszcze jednego drinka? Bo ja tak.

Brunetti kiwnął z wdzięcznością głową. Tym razem, gdy został sam, oparł głowę o tył fotela i zamknął oczy.

Otworzył je, gdy usłyszał kroki Santorego. Wziął podany mu kieliszek i spytał takim tonem, jakby nie przerwali rozmowy:

– Dlaczego się roześmiał?

Santore usiadł w fotelu i tym razem objął dół kieliszka jedną dłonią.

– Częściowo dlatego, że, jak przypuszczam, Helmut uważał się za człowieka będącego ponad zwykłą moralnością. A może sądził, że zdołał stworzyć własną, inną od naszej, lepszą. – Brunetti milczał, więc reżyser ciągnął: – To było tak, jakby on jeden miał prawo określać, co jest moralne, jakby uważał, że nikt inny nie ma prawa używać tego słowa. Z pewnością uważał, że ja nie mam takiego prawa. – Wzruszył ramionami i wypił trochę brandy.

– Dlaczego miałyby tak uważać?

– Ponieważ jestem homoseksualistą – odparł krótko Santore, dając do zrozumienia, że ta sprawa ma taką samą wagę jak na przykład wybór gazety, którą się czyta.

– Czy dlatego nie zgodził się pomóc pana przyjacielowi?

– W końcu to było przyczyną. Początkowo twierdził, że Saverio nie jest dość dobry, ma za mało doświadczenia scenicznego. Ale prawdziwy powód wyszedł na jaw później, kiedy zarzucił mi, że proszę go o przysługę dla mojego kochanka. – Santore pochylił się w przód i postawił kieliszek na stole. – Helmut zawsze uważał się strażnikiem moralności publicznej – rzekł i zaraz się poprawił: – Uważał się za strażnika.

– I rzeczywiście nim jest? – zapytał Brunetti.

– Kim kto? – Zmieszany Santore nie mógł sobie poradzić z wymogami języka.

– Czy on jest pana kochankiem – ten śpiewak?

– Nie, nie jest. Tym większa szkoda.

– Czy jest homoseksualistą?

– Też nie.

– Więc dlaczego Wellauer nie chciał się zgodzić?

Santore spojrzał w twarz komisarzowi i spytał:

– Ile pan o nim wie?

– Bardzo niewiele. Tyle, co wiadomo o jego karierze muzycznej i co pisały przez te wszystkie lata gazety i czasopisma. Natomiast nic nie wiem o nim samym, jakim był człowiekiem. – Uzmysłowił sobie, że to właśnie ogromnie go interesuje, gdyż niewątpliwie w osobowości człowieka – jak mówiło mu dotychczasowe doświadczenie – należy szukać rozwiązania zagadki jego śmierci.

Santore milczał, więc Brunetti pomógł mu wybrnąć z sytuacji.

– O zmarłych nie mówi się źle, prawda? – wtrącił.

– A także nie mówi się źle o ludziach, z którymi być może przyjdzie nam znowu pracować – dodał reżyser.

Brunetti zaskoczył go słowami:

– W tym wypadku jest to niemożliwe. Co złego można o nim powiedzieć?

Santore spojrzał na policjanta i zatrzymał wzrok na jego twarzy, patrząc na niego z namysłem, tak jakby przyglądał się aktorowi czy śpiewakowi i zastanawiał się, jaką rolę przydzielić mu w przedstawieniu.

– To głównie plotki – powiedział wreszcie.

– Jakie plotki?

– Ze był nazistą. Nikt nie wie tego na pewno. Nawet jeśli ktoś coś wie, nic o tym nie mówi. A jeśli coś zostało kiedyś powiedziane, to puszczono to w niepamięć, schowano tam, gdzie pamięć nie sięga. Kiedy byli u władzy, Wellauer koncertował dla nich. Podobno nawet dla samego führera. Tłumaczył się, że musiał to robić, żeby ocalić życie członkom swojej orkiestry, którzy byli Żydami. Ci Żydzi rzeczywiście przeżyli i udało się im zostać w jego orkiestrze przez całą wojnę. Podobnie jak i on – grał i przeżył. I tak się jakoś stało, że jego reputacja nie ucierpiała ani z powodu wojny, ani z powodu tych prywatnych koncertów dla führera. Po wojnie – ciągnął Santore dziwnie spokojnym tonem – twierdził, że „stawiał moralny opór” i dy-

rygował wbrew swojej woli. – Reżyser wypił łyk brandy. – Nie mam pojęcia, czy jest prawdą, że należał do partii i był w to wmieszany. I chyba mało mnie to obchodzi.

– Dlaczego więc wspomniał pan o tym? – zapytał komisarz.

Śmiech Santorego wypełnił puste pomieszczenie.

– Chyba dlatego, że wierzę, iż tak było.

Brunetti uśmiechnął się.

– Ten powód jest prawdopodobny.

– I może jednak mnie to obchodzi?

– Ten również – przytaknął.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie przerywał milczenia, aż wreszcie Brunetti zapytał:

– A co pan naprawdę wie?

– Wiem, że podczas wojny dawał te koncerty. I wiem o takim przypadku, gdy córka jednego z jego muzyków spotkała się z nim prywatnie i błagała go o pomoc dla ojca. Wiem też, że ten muzyk przeżył wojnę.

– A córka?

– Również.

– I co z tego wynika?

– Chyba nic – odparł reżyser, wzruszając ramionami. – Zawsze łatwo jest puścić w niepamięć przeszłość człowieka i mieć na uwadze jedynie jego geniusz. Wellauer nie miał sobie równych i niestety nie ma już takiego dyrygenta jak on.

– Czy dlatego zgodził się pan wyreżyserować dla niego ten spektakl? Ponieważ wygodniej było zapomnieć o jego przeszłości? – Było to zwykłe pytanie, niezawierające cienia obrazy, i Santore tak je zrozumiał.

– Tak – odparł cicho. – Postanowiłem wyreżyserować ten spektakl, żeby mój przyjaciel miał okazję zaśpiewać pod jego batutą. I dlatego wygodniej było zapomnieć o wszystkim, co wiem lub podejrzewam, a przynajmniej nie zważać na to. Nie wiem, czy to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Przyglądając się twarzy reżysera, Brunetti zauważył, że przyszło mu coś na myśl.

– Ale teraz mój przyjaciel już nigdy nie zaśpiewa pod batutą Helmuta – dodał Santore, dając komisarzowi do zrozumienia, że przez cały czas pamiętał o celu tej rozmowy – co wskazywałoby na to, że nie miałem powodu go zabijać.

– Można wyciągnąć taki wniosek – przytaknął Brunetti dość obojętnym tonem, po czym zapytał: – Czy pracował pan z nim wcześniej?

– Tak. Sześć lat temu. W Berlinie.

– I wówczas pana homoseksualne skłonności nie były powodem konfliktu?

– Nie. Gdy stałem się na tyle sławny w jego oczach, że chciał ze mną współpracować, ta sprawa nigdy nie była powodem zasadniczych konfliktów. Zapatrywania Helmuta, wyrażające się przyjęciem roli anioła stróża zachodniej moralności czy biblijnych norm, były ogólnie znane. Ale człowiek nie przetrwa zbyt długo w tym świecie, jeśli nie będzie chciał współpracować z homoseksualistami. Helmut zawarł z nami moralny rozejm w formie, którą mógł zaakceptować.

– A pan przyjął swoją formę rozejmu?

– Oczywiście. Jako muzyk sięgał wyżyn doskonałości. Warto było tolerować go jako człowieka, jeśli chciało się pracować z nim jako muzykiem.

– Czy jako człowiek miał w sobie coś jeszcze, co budziło pana sprzeciw?

Po chwili zastanowienia Santore odparł:

– Nie. Nie wiem na jego temat nic więcej, co budziłoby moją antypatię. Nie żywię sympatii do Niemców, a on był Niemcem w każdym calu. Ale nie mam tu na myśli tego rodzaju sympatii czy antypatii. Chodzi mi o poczucie moralnej wyższości, które go nie opuszczało, tak jakby było ono... tak jakby uważał się... za źródło światłości w mrocznych czasach. – Santore skrzywił się, wymawiając ostatnie słowa. – Nie, to nie jest tak. Chyba zrobiło się już zbyt późno albo wypłem za dużo brandy. Poza tym był starym człowiekiem, a teraz już go nie ma wśród nas.

Wracając do wcześniejszego tematu, Brunetti zapytał:

– Co pan mu powiedział podczas tej sprzeczki?

– To, co się zwykle mówi w takich sytuacjach – odparł Santore znużonym głosem. – Nazwałem go kłamcą, a on nazwał mnie pedałem. Potem rzuciłem parę przykrych uwag na temat muzyki i jego sposobu dyrygowania, a on odpowiedział mi tym samym, krytykując mój sposób wyreżyserowania spektaklu. Nic szczególnego. – Umilkł i opadł na oparcie fotela.

– Czy pan mu groził?

Santore rzucił Brunettiemu ostre spojrzenie, nie kryjąc zdumienia tym pytaniem.

– On był starcem.

– Czy zmartwił się pan wiadomością o jego śmierci?

Również i to pytanie zaskoczyło reżysera. Zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

– Tak, ale nie ze względu na niego samego, lecz jego żonę. Dla niej będzie to... – Nie dokończył zdania. – Oczywiście, bardzo zmartwiłem się jego śmiercią jako muzyka. Był stary i jego kariera już się kończyła. Sądzę, że wiedział o tym.

– Co pan ma na myśli?

– Jego sposób dyrygowania. Nie czuło się dawnej wspaniałości, dawnego ognia. Nie jestem muzykiem, więc trudno mi wyrazić się precyzyjnie. Ale czegoś tam brakowało. – Przerwał i potrząsnął głową. – Sam nie wiem. Może mówię tak, powodowany gniewem.

– Rozmawiał pan z kimś na ten temat?

– Nie. Nie wnosi się skarg na Boga. – Po chwili milczenia powiedział: – Rozmawiałem o tym z Flavią.

– Z signorą Petrelli?

– Tak.

– I co odpowiedziała?

– Pracowała z nim przedtem; dość często, jak sędzę. Martwiła się zmianą, jaka w nim zaszła, i raz poruszyła ten temat w rozmowie ze mną.

– Co powiedziała?

– Nic konkretnego. Tyle tylko, że ma poczucie, jakby pracowała z młodym dyrygentem, kimś o małym doświadczeniu.

– Czy ktoś jeszcze zwrócił na to uwagę?

– Nie, przynajmniej nie w rozmowie ze mną.

– Czy pana przyjaciel Saverio był na dzisiejszym spektaklu?

– Saverio jest w Neapolu – odparł zimno Santore.

– Ach tak. – To pytanie było niewłaściwe. Nastrój bliskości i bezpośredniości prysł. – Jak długo pozostanie pan w Wenecji?

– Zwykle wyjeżdżam po udanej premierze. Ale śmierć Helmuta skomplikowała sytuację. Pewno zostanę tu przez kilka dni do chwili, gdy nowy dyrygent w pełni zaznajomi się z tą inscenizacją. – Kiedy Brunetti nic na to nie odpowiedział, zapytał: – Czy będę mógł wkrótce wrócić do Florencji?

– Kiedy?

– Za trzy, cztery dni. Muszę zobaczyć przynajmniej jeden spektakl pod batutą nowego dyrygenta. Potem chciałbym pojechać do domu.

– Nie ma powodu zatrzymywać tu pana. – Brunetti wstał. – Proszę tylko zostawić nam adres, pod którym możemy pana zastać. Może pan podać go któremuś z moich ludzi jutro w teatrze. – Wyciągnął rękę. Santore wstał i uścisnęli sobie dłonie. – Dziękuję za brandy i życzę powodzenia z *Agamemnonem*.

Santore przyjął podziękowanie z uśmiechem. Brunetti wyszedł, nic więcej nie mówiąc.

Rozdział 5

Brunetti postanowił wrócić do domu na piechotę, by nacieszyć się rozgwieżdżonym niebem i pustymi ulicami. Zatrzymał się na chwilę przed hotelem, aby w myślach zmierzyć różne drogi do domu. Na mapie miasta, zakodowanej w pamięci każdego weneccjanina, zobaczył, że najkrótsza droga wiedzie przez most Rialto. Przeszedł na drugą stronę Campo San Fantin i znalazł się w labiryncie wąskich uliczek, które wiły się aż do mostu. Ponieważ nikogo nie spotkał, miał niezwykle wrażenie, że śpiące miasto należy całkowicie do niego. Przy San Luca minął aptekę, jedno z nielicznych miejsc otwartych całą noc, nie licząc dworca kolejowego, gdzie spali bezdomni i umysłowo chorzy.

I tak doszedł nad brzeg kanału, mając po prawej stronie most Rialto. Z oddali widać było jego typowo wenecką architekturę, wyniosłą i lekką, ale z bliska okazywało się, że jest mocno osadzona w mule.

Na moście minął opustoszałe sklepiki tworzące targowisko. Zwykle człowiek cierpiał krzyżowe męki, przeciskając się przez zatłoczoną uliczkę i tłumy turystów ściśniętych między straganami z warzywami po jednej stronie i sklepikami pełnymi tandetnych pamiątek po drugiej. Owej nocy miał cały most dla siebie i mógł swobodnie nim przejść. W pewnej odległości przed nim, na środku uliczki, stała para kochanków, przyklejonych do siebie biodro w biodro, ślepych na otaczające ich piękno, choć kto wie, czy nie będących jednak pod jego wpływem.

Przy zegarze skręcił w lewo, zadowolony, że jest już prawie pod domem. Po pięciu minutach znalazł się przy swoim ulubionym sklepie, kwiaciarni Biancat, której witryny codziennie tryskały pięknem. Tej nocy za zawilgocnymi szybami pyszniły się herbaciane róże, stojące w cebrzykach, na tle pęków bladego jaśminu. Szybkim krokiem przeszedł obok drugiej wystawy,

zastawionej wampirowatymi orchideami, które zawsze mgliście kojarzyły się mu z kanibalizmem.

Otworzył drzwi *palazzo*, w którym mieszkał, zbierając w sobie siły – jak zawsze gdy był zmęczony – do pokonania dziewięćdziesięciu czterech stopni prowadzących do mieszkania na czwartym piętrze. Poprzedni właściciel wybudował to mieszkanie nielegalnie ponad trzydzieści lat temu, zwykle dodając jeszcze jedną kondygnację do stojącego budynku i nie przejmując się załatwianiem żadnych oficjalnych pozwoleń. Ten fakt został jakoś ukryty, gdy Brunetti kupował to mieszkanie dziesięć lat temu. Od tego czasu komisarz żył niemal w ciągłym strachu, że dostanie formalny nakaz zalegalizowania stanu faktycznego. Drżał na myśl, że może go czekać herkulesowa praca, jakiej wymaga zdobycie pozwoleń potwierdzających istnienie mieszkania i jego prawo do przebywania w nim. To, że stoją ściany, a on ma w nich swój dom, było bez znaczenia. Łapówki na pewno by go zrujnowały.

Otworzył drzwi, ciesząc się ciepłem i zapachami, które kojarzyły mu się z tym mieszkaniem: wonią lawendy, wosku i jedzenia gotowanego w kuchni, w głębi. Ta mieszanka zapachów stanowiła dla niego – choć nie potrafił wytłumaczyć sobie powodów takiego odczucia – dowód istnienia normalności w morzu obłądu, z jakim codziennie miał do czynienia w pracy.

– To ty, Guido?! – zawołała Paola z salonu.

Kogóż to może oczekiwać o drugiej nad ranem – przyszło mu na myśl, ale nie powiedział tego głośno.

– Tak! – odkrzyknął. Dopiero gdy zrzucił buty i zdjął płaszcz, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony.

– Masz ochotę na herbatę? – Paola wyszła do korytarza i lekko pocałowała go w policzek.

Kiwnął głową, nie starając się ukryć przed nią zmęczenia. Poszedł za nią do kuchni i przysunął sobie krzesło, a ona napełniła czajnik i postawiła go na kuchence. Z szafki nad głową wzięła torebkę z suszonymi liśćmi, otworzyła ją, powąchała i spytała:

– Może być z werbeny?

– Świetnie – odparł, choć był zbyt zmęczony, żeby przejmować się tym, co pije.

Wrzuciła garść suszonych liści do imbryczka z terakoty, odziedziczonego po jego babce, i stanęła za plecami męża. Pocałowała go w tył głowy, dokładnie w miejsce, gdzie zaczynały mu rzednąć włosy.

– Co się wydarzyło?

– Otruto dyrygenta. W La Fenice.

– Wellauera?

– Tak.

Położyła mu ręce na ramionach i delikatnie go uściśnęła. Ten gest podniósł go na duchu. Wydarzenie nie wymagało komentarzy – oboje dobrze wiedzieli, że prasa zrobi z tego sensację i będzie się głośno domagać, by sprawca został ujęty jak najszybciej. Każde z nich było w stanie napisać artykuły wstępne, podobne do tych, które ukazały się w gazetach następnego dnia i prawdopodobnie już są gotowe.

Z czajnika buchnęła para i Paola wlała wodę do wyszczerbionego imbryczka. Tak jak zawsze, sama jej fizyczna obecność działała na niego kojąco i z zadowoleniem przyglądał się, z jaką swobodą i sprawnością porusza się i wykonuje różne czynności. Jak wiele weneccjanek, Paola miała jasną karnację i kasztanowozłociste włosy, tak często uwieczniane na portretach dam w malarstwie siedemnastego wieku. Jej uroda odbiegała od uznawanych wzorców piękności: miała odrobinę za długi nos i nazbyt stanowczy podbródek – ale jemu podobało się i jedno, i drugie.

– Masz jakieś podejrzenia? – spytała, stawiając na stole imbryczek z herbatą i dwa kubki. Usiadła naprzeciw niego, nalała pachnącą herbatę, a po chwili podeszła z powrotem do szafki i przyniosła ogromny słoje miodu.

– Jeszcze za wcześnie – odparł, wkładając łyżeczką miód do kubka. Zamieszał herbatę, dzwoniąc łyżeczką, a potem powiedział w rytm uderzeń o ścianki kubka: – Jest młoda żona, następnie śpiewaczka, która skłamała mówiąc, że nie rozmawiała z dyrygentem przed jego śmiercią, oraz reżyser

o skłonnościach homoseksualnych, który miał z dyrygentem sprzeczkę, z nim ten został zabity.

– Może powinieneś sprzedać komuś tę historię. Przypomina serial telewizyjny.

– No i martwy geniusz – dodał.

– Tak, moglibyśmy z tego coś mieć. – Wypiła łyk herbaty i podmuchała, żeby ją ostudzić. – O ile lat młodsza jest jego żona?

– Chyba ze trzydzieści. Mogłaby być jego córką.

– Okej – powiedziała Paola, stosując jeden z wielu amerykańizmów, które często pojawiały się w jej słownictwie. – Według mnie, zabiła żona.

Na początku każdego śledztwa, które prowadził, Paola obstawała przy własnym wyborze osoby podejrzaney, choć wielokrotnie prosił ją, żeby tego nie robiła. W większości wypadków myliła się, gdyż jej wybór zawsze padał na osobę, która budziła oczywiste podejrzenia. Pewnego razu, gdy jego poirytowanie przekroczyło granice wytrzymałości, zapytał ją, dlaczego wciąż tak się zachowuje. Wy tłumaczyła mu, że skoro napisała pracę doktorską na temat powieści Henry’ego Jamesa, w których nic nie jest oczywiste, to ma prawo robić sobie przyjemność i wskazywać na rzeczy oczywiste w prawdziwym życiu. Brunetti w żaden sposób nie mógł powstrzymać jej przed wyrażaniem własnych sądów, a ona w żaden sposób nie potrafiła formułować ich z większą przenikliwością.

– Wobec tego okaże się – powiedział, wciąż mieszając herbatę – że sprawcą jest chórzysta.

– Albo lokaj.

– Właśnie – przytaknął i wypił łyk herbaty. Siedzieli swobodnie w milczeniu, aż skończyła się herbata. Potem Brunetti wstawił kubki do zlewu, a na blacie kuchennym postawił imbryczek – żeby się przypadkiem nie stłukł.

Rozdział 6

Następnego dnia Brunetti przyszedł do biura przed dziesiątą i stwierdził, że nastąpiła rzecz równie niepojęta jak wydarzenie z zeszłego wieczoru – jego bezpośredni zwierzchnik, zastępca komendanta Giuseppe Patta, już siedział w swoim gabinecie i niemal od pół godziny czekał na Brunettiego. O tym fakcie powiadomił go najpierw wartownik, który stał przy wejściu do budynku, potem spotkany na schodach policjant, a potem sekretarka *vice-questore* i dwóch pozostałych komisarzy. Nie spiesząc się, Brunetti przejrzał pocztę, która nadeszła tego dnia, zadzwonił do centrali, żeby sprawdzić, czy były do niego jakieś telefony, i wreszcie poszedł na dół, do gabinetu zwierzchnika.

Cavaliere Giuseppe Patta został oddelegowany do Wenecji trzy lata temu z zamiarem, by tamtejsze organa ścigania otrzymały zastrzyk świeżej krwi. Krew była jednak sycylijska i nie połączyła się z wenecką. Patta używał onyksowej cygarniczki do papierosów i znany był z tego, że czasami chodził z laską, która miała srebrną gałkę. Choć ten pierwszy zwyczaj budził zdumienie Brunettiego, a ten drugi – śmiech, komisarz powstrzymał się od ferowania ocen, dopóki nie nabrał dostatecznego doświadczenia w pracy z tym człowiekiem, by mieć pewność, czy te dziwactwa są na miarę zasług. Nim upłynął miesiąc, przekonał się, że choć dziwactwa szefa odpowiadają jego charakterowi, nie dają się jednak zrównoważyć jego zasługami. Rozkład zajęć zastępcy komendanta obejmował poranną kawę celebrowaną na tarasie hotelu Gritti w letni dzień, natomiast w kawiarni Floriana w dzień zimowy. Lunch odbywał się zazwyczaj w restauracji hotelu Cipriani lub w barze Harry’ego. Koło czwartej Patta uważał, że „dość się dzisiaj napracował” – choć tylko nieliczni podzieliliby jego zdanie. Brunetti szybko nauczył się również, że niezależnie od okoliczności należy zwracać się do

przełożonego per *comandante*, a nawet używać jeszcze dumniej brzmiącego tytułu *cavaliere*, którego pochodzenie pozostawało nieznane. Patta nie tylko wymagał, by go tytułowano, ale także by w rozmowie z nim używano formalnego zwrotu *lei*, a potoczne *tu* pozostawiano dla plebsu.

Patta nie lubił, gdy zakłócano mu spokój i informowano ze wszystkimi przykrymi szczegółami o popełnionych przestępstwach i temu podobnych obrzydlistwach. Jedną z nielicznych spraw, które mogły spowodować, że przeczesałby dłonią loki wdzięcznie opadające na skronie, była wzmianka w gazecie o zaniedbaniach policji. Nie miało znaczenia, czy notatka prasowa mówiła o dziecku, któremu udało się przedrzeć przez kordon policjantów i wręczyć kwiaty goszczącej w mieście osobistości, czy też o jawnej sprzedaży narkotyków przez ulicznych handlarzy z Afryki. Każda uwaga, która mogłaby sugerować, że policja nie trzyma w ryzach mieszkańców miasta, powodowała wybuch złości i stek oskarżeń rzucanych pod adresem wszystkich trzech komisarzy. Jego gniew zwykle przybierał formę długich notatek służbowych, w których wykroczenia zaniedbujących swe obowiązki policjantów były przedstawione jako nieskończenie bardziej haniebne niż działania kryminalistów.

Pod wpływem sugestii dziennikarzy Patta zarządzał co pewien czas „stan pogotowia”, kiedy to spośród wszystkich przestępstw wybierał jedno – tak jakby wybierał szczególnie smakowity deser z nakrytego sukna stolika ze słodkościami w restauracji – i oznajmiał w prasie, że w danym tygodniu określonej kategorii przestępczość zostanie zlikwidowana, a przynajmniej zahamowana. Brunetti, czytając doniesienia o zarządzonym ostatnio „stanie pogotowia”, zazwyczaj dowiadywał się o tych akcjach jedynie z gazet – przypominał sobie mimo woli scenę z filmu *Casablanca*, w której pada rozkaz, by „otoczyć zwyczajowo podejrzewanych”. Akcję przeprowadzano, kilku nastolatków wsadzano na miesiąc do więzienia i wszystko wracało do normy, do czasu aż wypowiedzi dziennikarzy dały impuls do ogłoszenia kolejnego „pogotowia”.

Brunetti często z zadumą myślał o tym, że w Wenecji wskaźnik przestępczości jest niski – należał do najniższych w Europie i niewątpliwie był naj-

niższy we Włoszech – ponieważ przestępcy, zazwyczaj złodzieje, po prostu nie wiedzieli, którędy uciekać. Jedynie mieszkańcy miasta umieli poruszać się w sieci wąskich uliczek, wiedzieli, która kończy się ślepyim zaułkiem albo prowadzi do kanału. Wenecjanie, ludzie tu urodzeni, są raczej prawomyślni, choćby z tego powodu, że tradycja i historia nauczyła ich ogromnego poszanowania dla prywatnej własności i bezwarunkowej potrzeby jej ochrony. Tak więc w mieście dokonywano niewielu przestępstw, a gdy dochodziło już do aktów gwałtu czy, z rzadka, morderstwa, to sprawca – mąż, sąsiad czy współnik w interesach – zostawał szybko i łatwo ujęty. Zazwyczaj policja nie musiała robić nic więcej, jak otoczyć zwyczajowo podejrzanym.

Brunetti zdawał sobie jednak sprawę, że śmierć Wellauera ma inny charakter. Ofiarą był słynny człowiek, niewątpliwie najślynniejszy dyrygent naszych czasów, który został zabity w operze, będącej perłą Wenecji. Ponieważ to Brunetti prowadził śledztwo, *vice-questore* zapewne obciąży go bezpośrednią odpowiedzialnością za każde słowo krytyki pod adresem policji.

Komisarz zapukał do drzwi i poczekał na pozwolenie, by wejść. Gdy usłyszał okrzyk, otworzył drzwi i zobaczył Pattę siedzącego tam, gdzie się spodziewał, w pozie, w jakiej spodziewał się go zobaczyć – za ogromnym biurkiem, pochylonego nad jakimś niezwykle ważnym, sądząc po badawczej minie, dokumentem. W kraju, gdzie przystojni mężczyźni stanowią normę, należało uznać Pattę za niesłychanie przystojnego – miał kształtny rzymski profil, szeroko rozstawione i przenikliwe oczy oraz figurę sportowca, mimo że był już po pięćdziesiątce. Gdy robiono mu zdjęcie do gazety, odwracał się lewym profilem.

– Wreszcie pan jest – powitał go Patta, dając do zrozumienia, że Brunetti spóźnił się kilka godzin do pracy, choć w rzeczywistości był na czas. – Obawiałem się, że będę musiał czekać na pana przez cały ranek – dodał, co Brunetti uznał za przesadne wczucie się w rolę. Nie słysząc odpowiedzi na żadną z tych uwag, Patta spytał surowym tonem: – Co pan tam ma?

Brunetti wyjął z kieszeni poranne wydanie „Il Gazzettino” i odparł:

– Gazetę, *comandante*. Wszystko jest tutaj, na pierwszej stronie. – Zanim Patta zdążył go powstrzymać, zaczął czytać: „Słynny dyrygent nie żyje. Podejrzenia się morderstwo”, po czym podał gazetę przełożonemu.

Patta tylko machnął lekceważąco ręką i powiedział obojętnym głosem:

– Już to czytałem. Pytam, co pan znalazł?

Brunetti sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął notes. Zapisał w nim jedynie nazwisko, adres i numer telefonu Amerykanki, ale gdy stał naprzeciw siedzącego Patta, ten nie mógł zobaczyć, że strony są w rzeczywistości prawie niezapisane. Z rozmysłem polizał palec i zaczął powoli przewracać kartki.

– Pokój nie był zamknięty na klucz, a w drzwiach nie było klucza. Z tego wynika, że każdy mógł wejść do garderoby i wyjść stamtąd podczas spektaklu.

– W czym podano truciznę?

– Chyba w kawie. Nie mogę mieć pewności, dopóki nie dostanę wyników sekcji zwłok i badań laboratoryjnych.

– Kiedy będzie sekcja?

– Dziś rano, jak sądzę. O jedenastej.

– Dobrze. Co jeszcze?

Brunetti przewrócił kartkę i spojrzał na następną pustą stronę.

– Rozmawiałem w teatrze ze śpiewakami. Baryton widział go, ale tylko się przywitali. Tenor twierdzi, że się z nim nie widział, a sopranistka powiedziała, że widziała go jedynie po wejściu do teatru. – Przeniósł wzrok na Patta, który czekał na dalsze informacje. – Tenor mówi prawdę. Sopranistka kłamie.

– Skąd pan to wie? – rzucił oschle Patta.

– Tak mi się wydaje, *comandante*.

Wykazując anielską cierpliwość, tak jakby rozmawiał z wyjątkowo wolno myślącym dzieckiem, Patta zapytał:

– A dlaczego tak się panu komisarzowi wydaje?

– Ponieważ widziano, jak wchodziła do jego garderoby po pierwszym akcie. – Brunettiemu nie chciało się wyjaśniać, że była to niepotwierdzona opinia świadka. Z przeprowadzonej rozmowy wynikało, że kłamała, może w tej kwestii, a może w innej. – Rozmawiałem także z reżyserem – ciągnął. – Posprzeczał się z dyrygentem przed spektaklem, ale potem już się z nim nie widział. Sądzę, że to prawda.

Patta wolał nie pytać, co przemawia za takim przypuszczeniem.

– Coś jeszcze?

– Kontaktowałem się wczoraj z policją w Berlinie. – Zaczął starannie przewracać kartki notesu. – Było to o godzinie...

– Nieważne – przerwał mu Patta. – Co powiedzieli?

– Że dzisiaj wyślą faksem pełny raport. Akta Wellauera i jego żony.

– A co z żoną? Rozmawiał pan z nią?

– Zamieniliśmy tylko parę słów. Była przybita. Nie sądzą, by ktokolwiek zdołał z nią wtedy porozmawiać.

– Gdzie była?

– Gdy z nią rozmawiałem?

– Nie, podczas spektaklu.

– Siedziała na widowni, na parterze. Mówiła, że poszła do niego w przerwie po drugim akcie, ale dotarła tam zbyt późno i nie zdążyła z nim porozmawiać.

– Czy to znaczy, że była za kulisami, gdy on umarł? – W głosie Patty dało się wyczuć tak silne ożywienie, że Brunetti był niemal pewny, że niewiele więcej potrzeba, by kazał aresztować tę kobietę pod zarzutem popełnienia morderstwa.

– Tak, ale nie wiem, czy widziała się z nim i czy wchodziła do garderoby.

– No to niech się pan dowie. – Nawet Patta uprzytomnił sobie, że używa zbyt surowego tonu. – Siadaj, Brunetti – powiedział.

– Dziękuję, *comandante*. – Zamknął notes i włożył go do kieszeni, a następnie usiadł naprzeciw przełożonego. Krzesło Patty – jak wiedział – było

o kilka centymetrów wyższe od tego, na którym usiadł, a to bez wątpienia dawało zastępcy komendanta lekką psychologiczną przewagę.

– Jak długo była za kulisami?

– Nie wiem, *comandante*. Była bardzo przygnębiona, gdy z nią rozmawiałem, i nie wyrażała się jasno.

– Czy mogła wejść do garderoby?

– Chyba tak. Nie wiem.

– Mam wrażenie, że chce pan obronić ją przed zarzutami – stwierdził Patta i dodał: – Czy to ładna kobieta?

Brunetti uświadomił sobie, że *vice-questore* na pewno już wie o różnicy wieku między zmarłym i wdową po nim.

– Dla kogoś, kto gustuje w wysokich blondynkach – odparł.

– A pan gustuje?

– Żona mi na to nie pozwala, *comandante*.

Patta poprawił się na krześle, jakby szukał sposobu, by powrócić do głównego wątku rozmowy.

– Czy jeszcze ktoś wchodził do garderoby podczas spektaklu? Skąd wzięła się tam kawa?

– Na parterze teatru jest bar. Pewno stamtąd.

– Niech pan sprawdzi.

– Dobrze, *comandante*.

– A teraz słuchaj, Brunetti. – Komisarz kiwnął głową. – Chcę mieć nazwiska wszystkich ludzi, którzy wczoraj wieczorem byli w tej garderobie albo w jej pobliżu. I chcę wiedzieć więcej o jego żonie. Jak długo byli małżeństwem, skąd ona pochodzi, tego rodzaju rzeczy. – Brunetti ponownie kiwnął głową.

– Brunetti? – niespodziewanie powiedział Patta.

– Tak, *comandante*?

– Dlaczego nic pan nie notuje?

Brunetti pozwolił sobie na prawie niewidoczny uśmiech.

– Och, *comandante*, tego, co pan mówi, nigdy nie zapomnę.

Z sobie tylko wiadomych powodów Patta wołał zrozumieć to stwierdzenie dosłownie.

– Nie wierzę w to, co panu powiedziała, że nie widziała się z mężem. Kiedy ludzie zaczną już coś robić, to nie rezygnują z tego w połowie drogi. Jestem przekonany, że coś tu nie gra. Może ma to związek z różnicą wieku między nimi. – Krążyły plotki, że Patta studiował przez dwa lata psychologię na uniwersytecie w Palermo, zanim przerzucił się na prawo. Natomiast niezbitym faktem było to, że choć nie dał się poznać na studiach jako orzeł, otrzymał dyplom i wkrótce po tym, dzięki swemu ojcu, który zrobił zawrotną karierę w partii chrześcijańskich demokratów, został mianowany zastępcą komisarza policji. A teraz, przepracowawszy ponad dwadzieścia lat, był zastępcą komendanta policji w Wenecji.

Widząc, że Patta najwyraźniej skończył wydawać polecenia, Brunetti przygotował się na wysłuchanie mowy o honorze miasta. Naturalnym biegiem rzeczy myśl jednego nasunęła słowa drugiemu.

– Może nie zdaje pan sobie sprawy, ale chodzi tu o jednego z najświetniejszych artystów naszych czasów, którego zamordowano w naszym mieście, w Wenecji. – Nazwa miasta, wymawiana z sycylijskim akcentem, zawsze brzmiała komicznie w uszach komisarza. – Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby wykryć sprawcę tej zbrodni. Nie możemy pozwolić, by ta sprawa splamiła dobre imię i honor naszego miasta. – Czasami Brunetti miał ochotę notować sformułowania tego człowieka.

Gdy Patta ciągnął w tym stylu, Brunetti postanowił, że jeśli padną słowa o wspaniałej muzycznej przeszłości miasta, po południu przyniesie Paoli bukiet kwiatów.

– To jest miasto Vivaldiego. Mieszkał tu także Mozart. Musimy spłacić dług, jaki zaciągnęliśmy wobec muzycznego świata.

Irysy, pomyślał. To jej ulubione kwiaty. Postawi je w wysokim niebieskim wazonie z Murano.

– Chcę, żeby zostawił pan inne rozpoczęte sprawy i zajął się tylko tą. Oglądałem grafik dyżurów – kontynuował Patta, zaskakując komisarza fak-

tem, że w ogóle wie o istnieniu takiego wykazu – i przydzieliłem panu do pomocy dwóch ludzi. – Jeśli nie będą to Alvisse i Riverre, kupię jej dwa tuziny, poprzysiągł w duchu Brunetti. – Alvisse i Riverre są do pańskiej dyspozycji. To dobrzy, rzetelni policjanci. – W wolnym przekładzie oznaczało to, że są lojalni wobec Patty.

– I chcę, żeby ta sprawa posunęła się naprzód. Rozumie pan?

– Tak, *comandante* – odparł uprzejmie Brunetti.

– W porządku. To wszystko. Czeka mnie dużo pracy i mam nadzieję, że pana również.

– Tak, *comandante* – powtórzył Brunetti.

Wstał i skierował się w stronę drzwi. Był ciekaw, z czym Patta wystrzeli na pożegnanie. Ostatnie wakacje spędził chyba w Londynie.

– Pomyślnych łowów, Brunetti.

Tak, na pewno w Londynie.

– Dziękuję, *comandante* – odpowiedział cicho i wyszedł z gabinetu.

Rozdział 7

Przez następną godzinę Brunetti czytał doniesienia o przestępstwie, które ukazały się w czterech głównych gazetach. „Il Gazzettino” – jak można było się spodziewać – zamieściła na całej pierwszej stronie artykuł redakcyjny, z którego wynikało, że zbrodnia skompromitowała miasto i przyniosła mu ujmę. Apelowano w nim do policji, by szybko odnalazła sprawcę, nie tyle po to, by postawić go przed sądem, ile po to, by zmazać plamę na honorze Wenecji. W trakcie lektury Brunetti zauważył, że Patta przeczytał ten artykuł, nie czekając na „L'Osservatore Romano”, gazetę zazwyczaj przez niego czytana, która pojawiała się w kioskach dopiero o dziesiątej.

„La Repubblica” rozpatrywała tę sprawę w świetle niedawnych wydarzeń politycznych i doszukiwała się tak delikatnych powiązań, że tylko dziennikarz – albo psychiatra – był w stanie je pojąć. Artykuł w „Corriere della Sera” był napisany w takim tonie, jakby Wellauer zmarł we własnym łóżku. Całą stronę poświęcono obiektywnej analizie zasług dyrygenta dla muzyki i podkreślono wsparcie, jakiego udzielał pewnym współczesnym kompozytorom.

Na koniec Brunetti zostawił sobie „L'Unità”. Jak było do przewidzenia, redaktor gromkim głosem mówił o tym, co pierwsze przyszło mu na myśl – w tym wypadku o zemście, którą, jak było do przewidzenia, mylił ze sprawiedliwością. W artykule redakcyjnym napomknął niedwuznacznie o tych samych starych tajemnicach wyższych sfer i wyciągnął historię – co dla nikogo nie było zaskoczeniem – biednego starego Sandony, który zmarł w celi więziennej, i zadał jawnie retoryczne pytanie, czy nie istnieje jakiś ukryty związek między tymi „przerażająco podobnymi” zgonami. Pomijając fakt, że obaj mężczyźni byli starcami i zostali otruci cyjankiem, Brunetti nie dostrzegł żadnego innego związku, mniej lub bardziej przerażającego.

Nie pierwszy raz w swej karierze Brunetti zaczął się zastanawiać nad korzyściami, jakie mogą wynikać z wprowadzenia cenzury w prasie. W przeszłości w Niemczech społeczeństwo świetnie dogadało się z rządem, który chciał kontrolować prasę, a w Ameryce w sprawie podobnych decyzji rząd równie doskonale dogadał się ze społeczeństwem.

Brunetti wrócił do sążnistego artykułu w „Corriere” i wyrzucił pozostałe trzy gazety do kosza. Przeczytał go po raz drugi, robiąc kilka notatek. Nawet jeśli Wellauer nie był najsłynniejszym dyrygentem na świecie, to niewątpliwie był zaliczany do ich grona. Zaczął dyrygować jeszcze przed drugą wojną światową jako cudowny uczeń Konserwatorium Berlińskiego. Lata wojny opisano pobieżnie, wspominając jedynie, że kontynuował swą działalność w ojczystych Niemczech. Miał ponad pięćdziesiąt lat, gdy jego kariera nabrała blasku i stał się międzynarodową gwiazdą, latał z jednego kontynentu na drugi, by dać jeden koncert, i zaraz leciał na trzeci, żeby poprowadzić operę.

Otoczony blichтром sławy, pozostał doskonałym muzykiem, który wymagał od prowadzonej orkiestry zarówno precyzji, jak i subtelności, i domagał się absolutnej wierności partyturze. Choć miał opinię człowieka władczego i trudnego we współpracy, siła tych zarzutów bladła wobec powszechnego uznania dla jego całkowitego oddania się sztuce.

W artykule poświęcono niewiele miejsca jego życiu osobistemu, wspominając tylko, że obecna żona jest trzecią z kolei i że druga popełniła samobójstwo dwadzieścia lat temu. Napisano, że mieszka w Berlinie, Gstaad, Nowym Jorku i Wenecji.

Zamieszczone na pierwszej stronie zdjęcie nie należało do najnowszych. Wellauer był ujęty z profilu, gdy rozmawiał z Marią Callas, ubraną w kostium i będącą niewątpliwie główną osobą na fotografii. Brunetti zdziwił się, że gazeta zamieściła zdjęcie zrobione co najmniej przed trzydziestoma laty.

Sięgnął do kosza na śmieci i wyciągnął „Il Gazzettino”. Jak zwykle zamieszczono tam zdjęcie miejsca, gdzie nastąpiła śmierć, i pokazano nudną i symetryczną fasadę teatru La Fenice. Obok znajdowało się mniejsze zdję-

cie, przedstawiające wejście dla aktorów, przez które dwaj mężczyźni w kitlach coś wynosili. Poniżej widniało niedawne portretowe zdjęcie maestra, zrobione dla celów reklamowych – biały krawat i burza srebrzystych włosów zaczesanych do tyłu i odsłaniających kanciastą twarz. W kształcie oczu, z których bił dziwny blask, mimo cienia rzucanego przez ciemne brwi, było coś z lekka słowiańskiego. Zbyt długi nos nie pasował do proporcji twarzy, ale oczy tak przykuwały uwagę, że drobne defekty pozostawały niemal niedostrzegalne. Miał szerokie usta i wydatne, mięsiste wargi, których zaskakująca zmysłowość kłóciła się z surowością spojrzenia. Brunetti próbował przypomnieć sobie widzianą poprzedniego wieczoru twarz, napiętą i wykrzywioną w chwili śmierci, ale siła wyrazu, jaką miało zdjęcie w gazecie, zatarła tamten obraz. Wpatrywał się w blade oczy i starał się wyobrazić sobie nienawiść tak silną, by mogła skłonić kogoś do zabicia tego człowieka.

Te rozmyślenia przerwało wejście jednej z sekretarek, która przyniosła raport nadesłany przez policję berlińską i już przetłumaczony na włoski.

Zanim Brunetti zabrał się do czytania, zanotował sobie w pamięci, że Wellauer był swego rodzaju żywym pomnikiem i że Niemcy zawsze chcieli mieć bohaterów. Te sprawy zapewne wpłyną na treść raportu – część prawdy będzie w nim zasugerowana, a część pominięta milczeniem. Czyż wielu muzyków i artystów nie należało do partii nazistowskiej? Ale kto by o tym pamiętał po tylu latach.

Otworzył raport i zaczął czytać tłumaczenie na włoski, odkładając na bok nieprzydatny mu niemiecki oryginał. Wellauer nie był notowany w kartotekach policyjnych, nawet za naruszenie przepisów drogowych. Dwukrotnie włamano się do jego mieszkania w Gstaad i ani za pierwszym, ani za drugim razem nie odzyskano skradzionych przedmiotów i nikogo nie zatrzymano, a towarzystwo ubezpieczeniowe pokryło szkody, choć kwoty odszkodowania były ogromne.

Brunetti przebrnął przez dwa następne akapity, świadczące o niemieckiej dokładności, i zaczął czytać o samobójstwie drugiej żony Wellauera. Powiesiła się w piwnicy ich mieszkania w Monachium 30 kwietnia 1968 roku, po

– jak to sformułowano – „długotrwałej depresji”. Nie znaleziono listu pożegnania. Zostawiła troje dzieci – siedmioletnich wówczas chłopców bliźniaków i dwunastoletnią dziewczynkę. Wellauer znalazł ciało i po pogrzebie całkowicie się odizolował; żył tak przez pół roku.

Policja nie interesowała się nim, dopóki dwa lata temu nie ożenił się z Elizabeth Balintffy, z pochodzenia Węgierką, a z wykształcenia i zawodu lekarką, która uzyskała niemieckie obywatelstwo dzięki pierwszemu małżeństwu, zakończonemu rozwodem na trzy lata przed ślubem z Wellauerem. Nie była notowana w kartotekach policyjnych ani w Niemczech, ani w Węgrzech. Z pierwszego małżeństwa miała córkę Alexandrę, obecnie trzynastoletnią.

Brunetti długo i bezskutecznie szukał jakiejś wzmianki o tym, co Wellauer robił podczas wojny. Wspomniano o jego pierwszym małżeństwie z córką niemieckiego przemysłowca, w 1936 roku, i o rozwodzie, który nastąpił po wojnie. W okresie między jednym a drugim wydarzeniem Wellauer jakby nie istniał, co wyraźnie potwierdzało, a przynajmniej podtrzymywało przypuszczenia Brunettiego co do działalności dyrygenta w tamtych czasach. Konkretne dowody były najprawdopodobniej nie do zdobycia i z pewnością nie zostałyby zawarte w oficjalnym raporcie niemieckiej policji.

Krótko mówiąc, Wellauer był tak czysty, jak tylko można sobie tego życzyć. A mimo to ktoś dosypał mu do kawy cyjanku. Doświadczenie mówiło Brunettiemu, że są w zasadzie dwa powody, dla których ludzie popełniają morderstwo: pieniądze i seks. Kolejność nie była tu ważna, a ten drugi powód często nazywano miłością. Niemniej jednak podczas piętnastu lat pracy Brunetti miał do czynienia z dostateczną liczbą morderstw, by stwierdzić, że nieliczne wyjątki, z którymi się zetknął, potwierdzają regułę.

Gdy skończył czytać raport niemieckiej policji, do jedenastej pozostało jeszcze sporo czasu. Zadzwoił do laboratorium i dowiedział się, że nic jeszcze nie zrobiono: nie zbadano odcisków palców zdjętych z filiżanki i z innych powierzchni w zaplombowanej garderobie. Zamknięcie garderoby – jak go poinformowano – było powodem już trzech interwencji tele-

fonicznych z teatru. Nakrzyczał trochę na laborantów, choć wiedział, że na nic się to nie zda. Porozmawiał krótko z Miottim, który nie dowiedział się niczego nowego, gdy rozmawiał wieczorem z portierem, prócz tego, że dyrygent był „zimnym facetem”, że jego żona jest bardzo miła i przyjemna, a Petrelli wcale mu się nie podoba. Portier nie podał żadnych powodów swej niechęci i stwierdził, gwoli wyjaśnienia, że kobieta jest *antipatica* – co jego zdaniem było wystarczająco wymowne.

Wysłanie Alvisiego czy Riverrego do teatru, by zdjęli odciski palców pozostawione w garderobie, nie miało sensu, dopóki laboratorium nie stwierdzi, czy na filizance były czyjeś inne odciski palców niż dyrygenta. Z tym nie ma co się spieszyć.

Niezadowolony z tego, że może nie zdążyć na obiad, Brunetti wyszedł z biura tuż po dwunastej i poszedł do narożnego baru, gdzie zjadł kanapkę i wypił kieliszek wina, ale nie smakowało mu ani jedno, ani drugie. Choć wszyscy ludzie w barze wiedzieli, kim jest, nikt nie wspomniał w rozmowie z nim o śmierci dyrygenta – jedynie jakiś starzec znacząco zaszeleścił gazetą. Brunetti ruszył w dół ulicą, kierując się do przystanku San Zaccaria, i tam wsiadł do tramwaju wodnego numer 5, który przepływając kanałem Arsenale i przybijając do wyspy od tyłu, miał zawieźć go na cmentarz położony na wyspie San Michele. Rzadko bywał na cmentarzu, ponieważ nie wyznawał kultu zmarłych, powszechnego wśród Włochów.

Dawniej tu przychodził; zachował też w pamięci jedno z wczesnych wspomnień, gdy był małym chłopcem i przywieziono go tutaj, żeby pomógł oczyścić grób babki, która zginęła podczas bombardowania Treviso przez siły alianckie w czasie wojny. Pamiętał wielobarwne groby, usłane kwiatami, i schludne, jednakowe prostokąty oddzielone od siebie równo przyciętymi pasmami zieleni. A do tego ponure twarze ludzi, prawie samych kobiet, które przyniosły naręcza kwiatów. Miały takie szare, zniszczone ubrania, jakby całe ich umiłowanie koloru i porządku znalazło wyraz w dbałości o te duchy zamieszkujące w ziemi i nie zostało z niego nic, co skłoniłoby je do zadbania o własny wygląd.

Teraz, trzydzieści pięć lat później, groby były równie schludne jak wtedy, tak samo buchały barwami, tylko ludzie, którzy między nimi chodzili, niewątpliwie należeli do świata żywych, już nie przypominali widm z lat powojennych. Bez trudu znalazł grób ojca, znajdujący się obok grobu Strawińskiego. Rosjanin mógł spoczywać tam w spokoju, nikt go stamtąd nie ruszy, dopóki będzie istniał cmentarz, a ludzie będą pamiętali jego muzykę. Dzierżawa, na której osiadł jego ojciec, była dużo bardziej niepewna. Zbliżał się bowiem czas, gdy jego grób miał zostać otwarty, a kości wyjęte i złożone w urnie, umieszczonej potem w murze cmentarnym.

Grób wyglądał jednak czysto i porządnie; brat Brunettiego był bardziej sumienny od niego. W szklanym wazonie wsadzonym do ziemi stały świeże goździki – dłużej stojące tam kwiaty ściałby mróz, który był trzy noce wcześniej. Brunetti pochylił się i zebrał liście przywiane wiatrem i leżące koło wazonu. Wyprostował się i znowu schylił, żeby usunąć niedopałek papierosa rzucony koło nagrobka. Ponownie wyprostował się i spojrzał na zdjęcie umieszczone na kamiennej płycie. Zobaczył oczy takie jak swoje, tę samą szczękę i zbyt duże uszy, których nie odziedziczył ani on, ani jego brat, ale za to ich synowie.

– *Ciao, papà* – powiedział i umilkł, nie wiedząc, co powiedzieć dalej. Poszedł na koniec rzędu grobów i wrzucił niedopałek do dużej metalowej puszkę wkopanej w ziemię.

W biurze cmentarnym podał swoje nazwisko i stopień, po czym jakiś mężczyzna wprowadził go do małej poczekalni, mówiąc, żeby poczekał tu na lekarza, który wkrótce do niego przyjdzie. W pokoju nie znalazł nic do czytania, więc zadowolił się wyglądaniami przez jedyne tam okno, które wychodziło na zamknięty dziedziniec otoczony budynkami cmentarnymi.

Na początku swej kariery Brunetti poprosił, by pozwolono mu być obecnym przy sekcji zwłok prostytutki zabitej przez jej alfonsa, w pierwszej sprawie morderstwa, którą prowadził. Z przejęciem patrzył, jak do sali włożono wózek, zafascynowany przyglądał się, gdy ściągnięto białe prześcieradło z niemal doskonale ukształtowanego ciała. Gdy lekarz trzymał w górze skalpel, gotów wykonać kołnierzowe nacięcie, Brunetti runął w przód

i zemdlął pośród kilkunastu studentów medycyny siedzących na sali. Studenci spokojnie wynieśli go na korytarz i posadzili zamroczonego na krzesło, a następnie szybko pobiegli do sali, by obserwować badanie zwłok. Potem Brunetti widział wiele ofiar morderstw, wiele ciał pociętych nożami czy przeszytych kulami, a nawet rozszarpanych przez bomby, ale nigdy nie umiał patrzeć na nie ze spokojem i nigdy więcej nie zmusił się do oglądania gwałtu, z rozmysłem zadawanego podczas sekcji zwłok.

Otworzyły się drzwi do małej poczekalni i wszedł Rizzardi, nieskazitelnie ubrany, jak poprzedniego wieczoru. Roztaczał woń drogiego mydła, a nie fenolu, który zawsze kojarzył się Brunettiemu z pracą lekarza sądowego.

– Dzień dobry, Guido – powiedział, wyciągając rękę. – Przykro mi, że przyjeżdżałeś aż tutaj. Mogłem podać ci te kilka informacji przez telefon.

– To żaden kłopot, Ettore. I tak miałem zamiar tu przyjechać. Sprawa nie ruszy z miejsca, dopóki te głupki z laboratorium nie przygotują mi raportu. A na rozmowę z wdową jest zdecydowanie za wcześnie.

– Wobec tego posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. – Lekarz zamknął oczy i zaczął mówić z pamięci. Brunetti wyjął z kieszeni notes i robił notatki. – Ten człowiek cieszył się doskonałym zdrowiem. Gdybym nie wiedział, że ma siedemdziesiąt cztery lata, sądziłbym, że jest przynajmniej o dziesięć lat młodszy, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Świetnie wyrobiona muskulatura, zapewne dzięki ćwiczeniom, które wzmocniły i tak dobre zdrowie. Ani śladu choroby organów wewnętrznych. Z pewnością nie nadużywał alkoholu – jego wątroba była w doskonałym stanie. To rzadkość u człowieka w jego wieku. Nie był palaczem, choć przypuszczam, że wiele lat temu palił i rzucił papierosy. Według mnie mógł żyć jeszcze dziesięć albo dwadzieścia lat. – Gdy skończył, otworzył oczy i spojrzał na Brunetti.

– Co było przyczyną śmierci? – zapytał komisarz.

– Cyjanek potasu. W kawie. Przypuszczam, że podano mu ze trzydzieści miligramów, więcej niż potrzeba, by spowodować śmierć. – Umilkł i dodał po chwili: – Prawdę mówiąc, coś takiego zobaczyłem po raz pierwszy. Nie-

samowite działanie. – Przycichł i pogrążył się w rozmyślaniach, wzbudzając tym niepokój komisarza.

– Czy to działa tak szybko, jak się powiada?

– Raczej tak – odparł lekarz. – Pierwszy raz mam do czynienia z konkretnym przypadkiem. Dotychczas tylko o tym czytałem.

– Śmierć jest natychmiastowa?

Rizzardi się zamyślił.

– Tak przypuszczam. Przynajmniej prawie natychmiastowa. Może przez sekundę zdawał sobie sprawę, że coś się z nim dzieje, ale zapewne podejrzewał zator albo zawał. W każdym razie zanim zorientował się, co z nim jest, już nie żył.

– Co jest bezpośrednią przyczyną zgonu?

– Ustanie wszystkich funkcji organizmu. Po prostu wszystko przestaje pracować: serce, nerki, mózg.

– W kilka sekund?

– Tak. Może pięć, ale nie dłużej niż dziesięć.

– Nic dziwnego, że go stosują – rzekł Brunetti.

– Kto?

– Szpiedzy, w powieściach kryminalnych. Mają kapsułki umieszczone w zagłębieniach zębów.

– Hmm – mruknął Rizzardi. Nawet jeśli to skojarzenie wydało mu się dziwne, nie dał tego po sobie poznać. – Tak, nie ma wątpliwości, że działa szybko, ale są środki o jeszcze silniejszym działaniu. – Widząc uniesione brwi Brunettiego, wyjaśnił: – Jad kiełbasiany. Ta sama ilość mogłaby spowodować śmierć połowy Włochów.

Temat, który wzbudził wyraźne zainteresowanie lekarza, został już wyczerpany i Brunetti zapytał:

– Masz coś jeszcze?

– Wygląda na to, że przez kilka ostatnich tygodni poddawał się leczeniu. Nie wiesz, czy był przeziębiony, miał gripę albo coś takiego?

– Nie – odparł komisarz, kręcąc głową. – Nic jeszcze nie wiemy. Dlaczego pytasz?

– Na ciele były ślady po zastrzykach. Nic nie wskazuje na zażywanie narkotyków, więc podejrzewam, że podawano mu antybiotyki, może witaminy – normalna kuracja. Ślady były tak nieznaczne, że trudno mieć pewność, czy dostawał zastrzyki – to mogły być zwykłe siniaki.

– Ale nie powstały w wyniku wstrzyknięcia narkotyku?

– Nie, raczej nie – odparł lekarz. – Bez trudu sam mógł zrobić sobie zastrzyk w okolicę prawego biodra – był praworęczny – natomiast człowiek praworęczny nie robi sobie zastrzyku w prawe ramię czy lewy pośladek, przynajmniej nie w to miejsce, gdzie znalazłem ślady. Jak już mówiłem, cieszył się doskonałym zdrowiem. Gdyby były jakieś oznaki zażywania narkotyków, tobym je zauważył. – Po chwili ciągnął: – Nawet nie mam pewności, co spowodowało te ślady. W raporcie nazwałem je wybroczynami. – Brunetti domyślił się z głosu lekarza, że nie przykłada wagi do zauważonych śladów i żałuje, że w ogóle o nich wspomniał.

– Coś jeszcze?

– Nie. Człowiek, który to zrobił, zabrał mu co najmniej dziesięć lat życia.

Rizzardi jak zwykle nie okazywał, a może nie odczuwał, najmniejszego zainteresowania tym, kto jest podejrzany o popełnienie morderstwa. W ciągu wieloletniej znajomości nie zadał Brunettiemu ani jednego pytania na temat przestępcy. Czasem interesowały go, a nawet fascynowały, jakieś wyjątkowo pomysłowe sposoby zadania śmierci, ale nigdy nie wypytywał się, kto popełnił zbrodnię i czy został ujęty.

– Dzięki, Ettore – powiedział Brunetti i uściśnął dłoń lekarzowi. – Szkoda, że ci z laboratorium nie pracują równie szybko.

– Wątpię, czy ich ciekawość jest tak nieprzeparta jak moja – odrzekł Rizzardi, jeszcze raz potwierdzając przekonanie komisarza, że zrozumienie tego człowieka przekracza jego możliwości.

Rozdział 8

Gdy Brunetti wracał tramwajem wodnym do miasta, przyszło mu na myśl, aby złożyć niezapowiedzianą wizytę signorze Petrelli i zobaczyć, czy przypomniała sobie o swojej rozmowie z maestrem wczorajszego wieczoru. Podniesiony na duchu tym, że ma coś do roboty, wysiadł przy Fondamente Nuove i poszedł w stronę szpitala, który przylegał do bazyliki S.S. Giovanni e Paolo. Jak wszystkie adresy zamieszkania w Wenecji, tak i ten, który podała mu *signora* Petrelli, właściwie nic nie mówił, skoro w mieście było zaledwie sześć nazw ulic służących jako adres zamieszkania, a domy były numerowane bezmyślnie i jak popadło. Żeby trafić na miejsce, należało znaleźć kościół i o dalsze wskazówki zapytać kogoś, kto mieszkał w okolicy. Odnalezienie Amerykanki nie powinno być trudne. Cudzoziemcy zazwyczaj mieszkali w bardziej eleganckich dzielnicach, a nie w takiej tradycyjnie mieszczańskiej jak ta – i niewielu mówiło z akcentem ludzi tu wychowanych, tak jak Brett Lynch. Gdy stanął przed kościołem, najpierw zapytał o numer ulicy, a potem o Amerykankę, ale zagadnięta kobieta nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Poradziła mu, żeby dowiedział się u Marii, i wymówiła to imię takim tonem, jakby nie miała wątpliwości, że Brunetti wie, o którą Marię jej chodzi. Okazało się, że Maria prowadzi kiosk naprzeciw gimnazjum, i jeśli ona nie będzie wiedziała, gdzie ta kobieta mieszka, to znaczy, że Amerykanka w ogóle nie mieszka w tej okolicy.

Przy wejściu na most znajdujący się naprzeciw bazyliki znalazł Marię, białowłosą kobietą w nieokreślonym wieku, która siedziała w kiosku i wręczała gazety w taki sposób, jakby były losami szczęścia, a ona sama – Sybillą. Podał jej numer szukanego domu, a ona odparła z uśmiechem:

– A, signorina Lynch – wymawiając nazwisko tak, jakby składało się z dwóch sylab, z włoska. – Prosto w dół Calle della Testa, potem pierwsza w prawo, czwarty dzwonek – czy nie zechciałby pan zabrać jej gazet?

Brunetti znalazł drzwi bez trudu. Obok dzwonka wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem, porysowana i zaśniedziała od starości. Raz nacisnął guzik i po chwili w domofonie odezwał się głos:

– Kto tam?

Oparł się pokusie, by odpowiedzieć, że roznosi gazety, i podał tylko swoje nazwisko i stopień. Osoba, z którą rozmawiał, nie powiedziała nic więcej, ale rozległ się trzask otwieranych drzwi i komisarz wszedł do środka. Poszedł na górę schodami, które biegły po prawej stronie, i z przyjemnością zauważył w nich płytkie zagłębienia, powstałe w wyniku setek lat używania. Spodobało mu się, że pochyłość schodów zmusza go do stawiania nogi na środku każdego stopnia. Wszedł na drugą kondygnację, potem na trzecią, a przy czwartym zakręcie klatka schodowa niespodziewanie rozszerzyła się i zamiast oryginalnych, wytartych schodów z marmuru zobaczył równo przycięte płyty marmuru z Istrii. Niewątpliwie ta część budynku została gruntownie odrestaurowana, i to całkiem niedawno.

Gdy skończyły się schody, stanął pod czarnymi drzwiami z metalu. Podchodząc do nich, miał poczucie, że ktoś obserwuje go przez maleńkiego judasza, znajdującego się nad górnym zamkiem. Nim zdążył unieść rękę, żeby zapukać, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Brett Lynch. Odsunęła się nieco na bok i zaprosiła go do środka.

Wymamrotał rytualne *permesso*, bez którego żaden Włoch nie wejdzie do obcego domu. Brett Lynch uśmiechnęła się, ale nie podała mu ręki, i odwróciła się, by poprowadzić go korytarzem do głównego pokoju w mieszkaniu.

Zdziwił się, widząc ogromną, otwartą przestrzeń o wymiarach co najmniej dziesięć metrów na piętnaście. Drewniana podłoga była zrobiona z grubych dębowych belek, które zazwyczaj wspierają najstarsze sufity w mieście. Ze ścian zdarto farbę i gips, aż do oryginalnej cegły. Najbardziej zadziwiająca wrażenie robiła jednak niezwykła jasność, która wypełniała to

pomieszczenie. Światło wpadało przez sześć odsłoniętych świetlików, umieszczonych po trzy po obu stronach dwuspadowego dachu. Człowiek, który uzyskał zgodę na przebudowę zewnętrznej konstrukcji tak starego budynku – pomyślał Brunetti – albo miał wpływowych znajomych, albo przekupił i burmistrza, i głównego planistę w mieście. Co więcej, dokonał tego niedawno, o czym świadczył zapach świeżego drewna.

Brunetti przeniósł swą uwagę z mieszkania na jego właścicielkę. Poprzedniego wieczoru nie zauważył, że jest aż tak wysoka – taki wzrost nadawał ciału pewną kanciastość, będącą chyba w guście Amerykanów. Ale nie miała wiotkiej sylwetki, co często idzie w parze z wysokim wzrostem. Wyglądała na zdrową, wysportowaną osobę, co jeszcze bardziej podkreślały oczy i gładka cera. Brunetti uprzytomnił sobie, że wpatruje się w nią, zaskoczony bijącą z jej oczu inteligencją, a także tym, że doszukiwał się w nich przebiegłości. Zdziwił go własny sprzeciw wobec niej, takiej, jaką się wydawała – atrakcyjną i inteligentną.

Flavia Petrelli siedziała w dość artystycznej, jego zdaniem, pozie na lewo od jednego z długich okien znajdujących się po lewej stronie pokoju, przez które w oddali widać było dzwonnice San Marco. Przyjęła jego obecność jedynie lekkim skinieniem głowy, na co on odpowiedział tym samym, a następnie zwrócił się do drugiej kobiety:

– Przyniosłem pani gazety.

Z rozmysłem podał jej gazety tak, by zobaczyła pierwszą stronę i zdjęcia oraz przeczytała krzyczące nagłówki. Rzuciła okiem na gazety, szybko je poskładała i odłożyła na niski stolik, mówiąc:

– Dziękuję.

– Gratuluję pani pięknego domu.

– Dziękuję – odparła zdawkowo.

– To niespotykane, żeby w tak starym budynku było tyle światła i tyle świetlików – stwierdził, okazując nadmierną ciekawość.

– Tak, to rzeczywiście niespotykane – zgodziła się uprzejmie.

– Do rzeczy, panie komisarzu – wtrąciła się Flavia Petrelli. – Z pewnością nie przyszedł pan na pogawędkę o urządzaniu wewnątrz.

Chcąc złagodzić szorstką uwagę przyjaciółki, Brett Lynch poprosiła komisarza, by usiadł, i wskazała ręką niską kanapę stojącą przy długim szklanym stole na środku pokoju.

– Napije się pan kawy? – spytała pogodnym tonem pani domu, której złożono czysto towarzyską wizytę.

Choć nie miał zbytnej ochoty na kawę, przystał na tę propozycję, żeby zobaczyć, jak śpiewaczka przyjmie wynikającą z tego zapowiedź, że wcale mu się nie spieszy i zamierza przez pewien czas tu pozostać. Flavia Petrelli znowu zajęła się przeglądaniem nut, które leżały na jej kolanach, i gdy jej przyjaciółka zniknęła w kuchni, by przygotować kawę, w ogóle nie zwracała uwagi na komisarza.

Podczas gdy jedna kobieta była zajęta robieniem kawy, a druga demonstracyjnie go ignorowała, Brunetti rozejrzał się po mieszkaniu. Ściana naprzeciw niego była od sufitu do podłogi wyłożona książkami. Włoskie wydania rozpoznał bez trudu, po tytułach pisanych od dołu do góry grzbietu, angielskie zaś po tytułach pisanych od góry do dołu. Ponad połowę księgozbioru stanowiły książki napisane – jak się domyślił – po chińsku, a ich wygląd świadczył o tym, że czytano je więcej niż raz. Między książkami stały wyroby z ceramiki – miski i figurki ludzkich postaci – które mgliście kojarzyły mu się ze Wschodem. Jedną półkę wypełniały pudełka z płytami kompaktowymi, zawierające najprawdopodobniej pełne nagrania oper. Na lewo od nich znajdował się skomplikowany z wyglądu sprzęt stereofoniczny, a w rogach dwa duże głośniki ustawione na kłocach drewna. Na ścianach wisiały same nowoczesne obrazy, przedstawiające wielobarwne plamy, które nie przemawiały do jego wyobraźni.

Po chwili Brett Lynch wróciła do pokoju, niosąc srebrną tacę, na której stały maleńkie filiżanki z kawą i srebrna cukiernica, a obok leżały łyżeczki. Tego dnia – jak zauważył – włożyła dzinsy, które nie miały nic wspólnego z Ameryką, i równie eleganckie jak poprzednio boty – tym razem w ciemnym, rdzawym kolorze. Inny kolor na każdy dzień tygodnia? Dlaczego ta

kobieta tak go irytuje? Czy dlatego, że jest cudzoziemką, która posługuje się jego językiem tak dobrze jak on sam, a może dlatego, że mieszka w domu, na który nigdy nie będzie go stać?

Postawiła przed nim filiżankę, a on podziękował, czekając, aż usiadzie naprzeciw niego. Podał jej cukiernicę, ale potrząsnęła przecząco głową. Wsypał dwie łyżeczki do swojej filiżanki i oparł się o tył kanapy.

– Właśnie wracam z San Michele – powiedział, rozpoczynając rozmowę.
– Zgon nastąpił na skutek otrucia cyjankiem. – Brett Lynch uniosła filiżankę i wypła łyk kawy. – Trucizna była w kawie.

Postawiła filiżankę na spodeczku i odstawiła ją na stolik.

Flavia Petrelli uniosła wzrok znad nut, ale rozmowę kontynuowała Brett Lynch.

– Przynajmniej śmierć była szybka. Sprawca okazał litość. – Odwróciła się w stronę przyjaciółki i zapytała: – Napijesz się kawy?

Dla Brunettiego ta scena była aż nazbyt teatralna, ale nie skomentował jej, tylko zadał pytanie, które Brett Lynch celowo sprowokowała swoją uwagą.

– Czy mam rozumieć, że pani nie lubiła maestra?

– Tak – odparła, patrząc mu w oczy. – Nie lubiłam go, a on nie lubił mnie.

– Czy był do tego konkretny powód?

Machnęła ręką, jakby wołała nie zajmować się tym tematem.

– Mieliśmy różne poglądy na wiele spraw.

To miało stanowić dostateczny powód – tak Brunetti zrozumiał jej słowa.

– Czy pani nastawienie do maestra było odmienne od nastawienia jej przyjaciółki? – zwrócił się z pytaniem do śpiewaczki.

Flavia Petrelli zamknęła księgę z partyturą, z dbałością położyła ją na podłodze i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Tak. Nasza współpraca zawsze układała się pomyślnie. W sprawach zawodowych darzyliśmy się ogromnym szacunkiem.

– A w sprawach osobistych?

– Również – odparła szybko. – Ale kontaktowaliśmy się głównie na płaszczyźnie zawodowej.

– Jaki był pani osobisty stosunek do niego, jeśli wolno zapytać?

Choć może spodziewała się tego pytania, przyjęła je z niechęcią. Zaczęła wiercić się w fotelu, a Brunettiego zaskoczyło, że tak otwarcie daje wyraz swemu skrepowaniu. Od lat czytał o niej artykuły i wiedział, że stać ją na lepsze aktorstwo. Gdyby chciała ukryć jakiś fakt dotyczący jej związków z Wellauerem, z pewnością umiałaby to zrobić. Nie zachowywałaby się jak zmieszana uczennica, którą zapytano o jej pierwszego chłopca.

Brunetti celowo nie przerywał narastającej ciszy i nie ponowił swojego pytania.

Wreszcie odparła z ociąganiem:

– Nie lubiłam go.

Widząc, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, Brunetti zaczął na nią naciskać.

– Jeśli można powtórzyć pytanie, które zadałem signorinie Lynch: czy był do tego konkretny powód?

Jakże uprzejmi jesteśmy wobec siebie, pomyślał. Ten stary człowiek leży po drugiej stronie laguny, zimny i pokrojony, a my zajmujemy się gramatycznymi subtelnościami – tu tryb łączący, tam warunkowy: Czy byłaby pani tak uprzejma i powiedziała mi...? Jeśli wolno zapytać... Przez chwilę żałował, że nie jest z powrotem w Neapolu, gdzie przeżył okropne lata, mając do czynienia z ludźmi, którzy słowne subtelności zbywali milczeniem i reagowali dopiero na kopniaki i uderzenia.

Signora Petrelli przerwała jego fantazje, mówiąc:

– Właściwie nie było żadnego konkretnego powodu. On był po prostu antipatico.

Aha, pomyślał Brunetti, po raz drugi słysząc to słowo, i to ma być lepsze niż gramatyczne wprawki. Wystarczy użyć słowa antipatico, a w cudowny sposób jasne staną się przyczyny niezgody i niedającego się sprecyzować

braku serdeczności między ludźmi. Podane powody były mętne i niewystarczające, ale najwyraźniej nie dowie się o innych.

– Czy ten brak sympatii był odwzajemniony? – zapytał, nie zniechęcając się. – Czy maestro miał powody nie lubić pani?

Śpiewaczka spojrzała na swą przyjaciółkę, która małymi łyczkami popijała kawę. Jeśli zdołały się jakoś porozumieć, umknęło to jego uwadze.

W końcu, jakby wyrażając niezadowolenie z odgrywanej roli, Petrelli uniosła rękę z rozczapierzonymi palcami, w geście, który Brunetti znał ze zdjęcia ukazującego ją w roli *Normy* i opublikowanego w porannych gazetach tego dnia. Gwałtownym ruchem wyrzuciła rękę do przodu i zawołała:

– *Basta!* Dość już tego.

Brunetti był zafascynowany przemianą, jaka w niej zaszła, gestem, w którym wyrażały się lata doświadczeń. Poderwała się na równe nogi i z jej twarzy zniknęła dotychczasowa surowość.

Stała naprzeciw Brunetti.

– Prędzej czy później i tak pan się tego dowie, więc wolę sama panu powiedzieć. – Usłyszał lekki stuk porcelany, gdy druga kobieta postawiła spodeczek na stole, ale nie oderwał wzroku od śpiewaczki. – Zarzucił mi, że jestem lesbijką, i zarzucił Brett, że jest moją kochanką. – Przerwała, chcąc zobaczyć jego reakcję. Gdy wcale nie zareagował, ciągnęła: – To się zaczęło trzeciego dnia prób. Nie wyrażał się jasno i bezpośrednio, ale sposób, w jaki ze mną rozmawiał czy wypowiadał się o Brett, był wymowny. – Ponownie przerwała, by zobaczyć, co powie, ale znowu nie zareagował. – Pod koniec pierwszego tygodnia wyraziłam swoje zdanie na ten temat, co przerodziło się w sprzeczkę, a na ostatek on powiedział, że zamierza napisać do mojego męża. – Po chwili sprostowała: – Mojego byłego męża. – Odczekała, aż jej słowa dotrą do Brunetti.

– Po co miałyby to robić? – zapytał komisarz zaintrygowany.

– Mój mąż jest Hiszpanem. Rozwód uzyskaliśmy we włoskim sądzie, który również przyznał mi prawo do opieki nad dziećmi. Gdyby mój mąż wniósł sprawę do sądu we własnym kraju i wystąpił z tego rodzaju oskarże-

niem przeciwko mnie... – Z rozmysłem zawiesiła głos, dając jasno do zrozumienia, jak ocenia swoje szanse na zatrzymanie dzieci przy sobie.

– A dzieci? – zapytał Brunetti.

Potrząsnęła głową z zakłopotaniem, nie rozumiejąc pytania.

– Gdzie są dzieci?

– W szkole, a gdzie mają być? Mieszkamy w Mediolanie i tam chodzą do szkoły. Nie uważam, aby należało je ciągnąć wszędzie tam, gdzie zdarzy mi się śpiewać.

Podeszła bliżej do niego i usiadła na końcu kanapy. Gdy zerknął na jej przyjaciółkę, zobaczył, że siedzi z odwróconą głową i patrzy w dal na dzwonnice, tak jakby ta rozmowa w ogóle jej nie dotyczyła.

Przez długi czas nikt się nie odzywał. Brunetti zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał, i zadawał sobie pytanie, czy dlatego instynktownie potraktował Amerykankę z rezerwą. Ale przecież on i Paola mieli wielu znajomych o różnych skłonnościach seksualnych, więc nie uważał – nawet jeśli zarzuty były uzasadnione – by kierowały nim tego rodzaju pobudki.

– Co pan na to? – Śpiewaczka przerwała milczenie.

– Na co?

– Nie chce pan wiedzieć, czy to prawda?

Potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że ta kwestia go nie interesuje.

– To nieistotne. Ważne jest jedynie to, czy spełniłby swoją groźbę i powiadomił pani męża.

Brett Lynch odwróciła się i spojrzała na niego badawczo. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie.

– Zrobiliby to. O tym wie każdy, kto go dobrze znał. Mąż Flavii poruzyłby niebo i ziemię, żeby sąd przyznał mu prawo do opieki nad dziećmi.
– Gdy wymówiła imię przyjaciółki, zerknęła na nią i ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Wcisnęła się głębiej w siedzenie fotela, wsunęła ręce do kieszeni i wyciągnęła przed siebie nogi.

Brunetti obserwował ją. Czy powodem tak silnej niechęci do niej były te lśniące buty, a może niefrasobliwe demonstrowanie zamożności, widoczne

w tym mieszkaniu? Chciał pozbyć się swych uprzedzeń, spojrzeć na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy – trzydziestoparoletnią kobietę, która okazała mu gościnność, a teraz okazuje mu zaufanie. W przeciwieństwie do swojej pracodawczyni – o ile Petrelli rzeczywiście nią była – nie nadrabiała teatralnymi gestami i w żaden sposób nie starała się podkreślić piękna ostrych, anglosaskich rysów swej twarzy.

Zauważył na jej karku wilgotne pasemka wspaniale obciętych włosów, tak jakby niedawno wyszła z wanny albo spod prysznicy. Przenosząc uwagę na Flavię Petrelli, i w niej wyczuł woń świeżości emanującej z kobiety, która dopiero co wzięła kąpiel. Nagle zaczął snuć erotyczne fantazje i wyobrażać sobie dwie nagie kobiety splecione ze sobą pod prysznicem, stykające się piersiami, i ze zdziwieniem spostrzegł, jak bardzo poruszyły go te wyobrażenia. O Boże, w Neapolu wszystko było o wiele prostsze – wystarczył kopniak lub uderzenie.

Z tego zamyślenia wyrwała go Amerykanka, pytając:

– Czy to oznacza, że pana zdaniem Flavia mogła dopuścić się tego? Albo ja?

– Jest za wcześnie, by wypowiadać się na ten temat – odparł, niezgodnie z prawdą. – Za wcześnie, by mówić o podejrzanych.

– Ale nie za wcześnie, by rozważać motywy – wtrąciła śpiewaczka.

– Zgadza się – przytaknął. Nie musiał dodawać, iż okazało się, że ona miałyby motyw.

– W takim razie można sądzić, że i ja mam motyw – stwierdziła Brett Lynch, dając najdziwniejszy dowód miłości, jaki Brunetti kiedykolwiek widział. A może dowód przyjaźni? Albo lojalności wobec pracodawczyni? A powiada się, że to Włosi mają złożoną osobowość.

Postanowił grać na zwłokę i powtórzył:

– Jest za wcześnie, by mówić o podejrzanych. – Po chwili zmienił temat rozmowy. – Jak długo pozostanie pani w mieście?

– Aż skończymy grać *Traviatę* – odparła. – Czyli przez następne dwa tygodnie. Do końca miesiąca. Ale chciałabym jeździć na weekendy do Me-

diolanu. – Choć w ostatnim zdaniu użyła trybu oznajmującego, było jasne, że jest ono pytaniem o pozwolenie. Brunetti kiwnął głową, wyrażając tym gestem zarówno zrozumienie dla jej pragnienia, jak i zgodę policji na jej wyjazd z miasta.

– Potem nie wiem, co będzie – mówiła dalej. – Nie mam żadnych występów aż do... – Przerwała i spojrzała na swoją przyjaciółkę, która natychmiast podpowiedziała:

– Covent Garden, piątego stycznia.

– Czy do tego czasu będzie pani we Włoszech?

– Z pewnością. Albo tutaj, albo w Mediolanie.

– A pani? – zwrócił się do Brett Lynch.

Spojrzała na niego chłodno i równie chłodno odpowiedziała:

– Też będę w Mediolanie. – I dodała: – Razem z Flavią – choć było to zbyt cenne.

Brunetti wyjął z kieszeni notes i poprosił o adres w Mediolanie, pod którym będzie mógł je zastać. Flavia Petrelli podyktowała mu adres i nieproszona podała również numer telefonu. Wszystko zapisał, włożył notes do kieszeni i wstał.

– Bardzo dziękuję, że panie zechciały poświęcić mi tyle czasu – powiedział, stosując się do konwenansu.

– Czy będzie pan chciał rozmawiać ze mną jeszcze raz? – spytała śpiewaczka.

– To zależy od tego, co powiedzą mi inni ludzie – odparł Brunetti, mając świadomość, że w jego odpowiedzi, choć szczerzej, zawarta była, niestety, groźba. Wyczuwszy tylko groźbę, śpiewaczka podniosła z podłogi partyturę, otworzyła ją i położyła na kolanach. Brunetti przestał ją interesować.

Idąc w stronę drzwi, komisarz znalazł się w jednym ze strumieni światła, które spływały na podłogę. Spojrzał w górę na jego źródło i wreszcie zdobył się na to, by zadać Amerykance pytanie:

– Jak się pani udało wstawić te świetliki?

Przecięła mu drogę, wyszła do korytarza i gdy zatrzymała się przy drzwiach, zapytała go:

– Czy chodzi panu o to, jak zdobyłam te świetliki, czy jak zdobyłam zgodę na ich wstawienie?

– Jak zdobyła pani zgodę.

– Przekupiłam głównego planistę – odparła z uśmiechem.

– Ile mu pani dała? – spytał odruchowo, w myślach obliczając całkowitą powierzchnię okien. Było ich sześć, każde o powierzchni mniej więcej metra kwadratowego.

Brett Lynch najwyraźniej mieszkała w Wenecji wystarczająco długo, by nie czuć się urażona niedelikatnością pytania. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i powiedziała takim tonem, jakby zapytano ją o temperaturę na dworze:

– Dwanaście milionów lirów.

Brunetti szybko wyliczył, że na każde okno przypada kwota równa połowie miesięcznej pensji.

– Ale to było przed dwoma laty – dodała gwoli wyjaśnienia. – Podobno dzisiaj cena jest wyższa.

Kiwnął głową. W Wenecji nawet wysokość łapówki ulega inflacji.

Stojąc przy drzwiach, uścisnęli sobie dłonie. Brunettiego zdziwił jej ciepły uśmiech na pożegnanie, tak jakby wywołała go rozmowa o przekupstwie, w wyniku której stali się współnikami spisku. Podziękowała mu za wizytę, choć było to zbyteczne. Odpowiedział jej równie uprzejmie i nawet wyczuł ciepło w swoim głosie. Czy tak niewiele wystarczyło, by zyskać jego sympatię? Czy ujawnienie faktu, że jest zdolna do przekupstwa, czyniło ją bardziej ludzką? Pożegnał się i rozmyślał nad tym ostatnim pytaniem, gdy schodził po schodach, ponownie zauważając, jaką przyjemność sprawiają mu faliste nierówności pod stopami.

Rozdział 9

Wróciwszy na komendę, Brunetti dowiedział się, że policjanci Alvisi i Rivere poszli do mieszkania maestra, by przejrzeć jego rzeczy osobiste, i zabrali stamtąd dokumenty i papiery, tłumaczone teraz na włoski. Zadzwoił do laboratorium, gdzie go powiadomiono, że analiza odcisków palców nie jest jeszcze gotowa, i potwierdzono oczywisty już fakt, że trucizna znajdowała się w kawie. Miotti gdzieś przepadł – prawdopodobnie wciąż był w teatrze. Nie wiedząc, co począć, ale zdając sobie sprawę, że wkrótce powinien porozmawiać z wdową po maistrze, zatelefonował do niej i spytał, czy mogłaby przyjąć go po południu. Początkowo potraktowała go z całkowicie zrozumiałą niechęcią, ale w końcu zgodziła się, żeby przyszedł o czwartej. Pogrzebał w górnej szufladzie biurka i znalazł pół paczki swych ulubionych *bussolai* – słonych weneckich precelków. Zjadł je, przeglądając notatki z raportu niemieckiej policji.

Na pół godziny przed umówionym spotkaniem z panią Wellauer wyszedł z biura i wolnym krokiem udał się w stronę Piazza San Marco. Po drodze zatrzymywał się przy wystawach sklepowych, zauważając ze zdumieniem, które zawsze towarzyszyło jego wędrówkom po centrum miasta, jak szybko zmieniano ich wystrój. Miał wrażenie, że wszystkie sklepy służące miejscowej ludności – apteki, zakłady szewskie, sklepy warzywne – powoli i nieubłagane znikają, a na ich miejscu pojawiają się wystrzałowe butikiki i sklepy z pamiątkami, zaspokajające potrzeby turystów, pełne świecących gondoli z plastiku wyprodukowanych na Tajwanie i masek z papier mache sprowadzanych z Hongkongu. Lokalni kupcy odpowiadali na potrzeby ludzi przejezdnych, a nie miejscowych. Brunetti zadawał sobie pytanie, w jakim czasie miasto stanie się swego rodzaju żywym muzeum, miejscem, które nie nadaje się do mieszkania, lecz do odwiedzania.

Te wrażenia dodatkowo zaostrzył widok przechodzącej obok niego grupy posezonowych turystów, której czoło zaznaczał otwarty parasol. Mając po lewej stronie kanał, Brunetti przeciął plac, nie mogąc się nadziwić, że ludzie okazują większe zainteresowanie gołębiami niż bazyliką.

Minął Campo San Moisè, przeszedł przez most, skręcił w prawo, potem jeszcze raz w prawo i znalazł się w wąskim zaułku zakończonym ogromnymi drewnianymi drzwiami.

Nacisnął dzwonek i usłyszał bezosobowy, mechaniczny głos:

– Kto tam?

Przedstawił się i po kilku sekundach usłyszał trzask otwieranego zamka. Wszedł do niedawno odnowionego korytarza, w którym przywrócono pierwotny wygląd stropowych belek i polakierowano je na wysoki połysk. Posadzka – jak zauważył bystrym okiem weneccjanina – była zrobiona z marmurowych płytek tworzących geometryczny wzór, który przypominał fale i wiry. Patrząc na łagodne linie zakoli, stwierdził, że posadzka stanowi oryginalny wystrój budynku i pochodzi prawdopodobnie z piętnastego wieku.

Zaczął wchodzić po schodach, których szerokie stopnie świadczyły o niefrasobliwym wykorzystaniu przestrzeni przez projektanta. Na każdym podejściu znajdowały się jedne metalowe drzwi – fakt, że były tylko jedne, dowodził zamożności mieszkańców, natomiast metal wskazywał na potrzebę zabezpieczenia się przed jej utratą. Tabliczki z wygrawerowanymi nazwiskami mówiły, że ma wspinać się wyżej. Na piątym piętrze schody skończyły się przed jeszcze jednymi drzwiami obitymi blachą. Przycisnął guzik dzwonka i po chwili powitała go kobieta, z którą minionego wieczoru rozmawiał w teatrze – wdowa po maistrze.

Uścisnął wyciągniętą rękę, półgłosem powiedział: – *Permesso* – i wszedł do mieszkania.

Na twarzy pani Wellauer nie było widać, że przespala poprzednią noc. Nie miała makijażu, co uwydatniło jej bladość i ciemne smugi pod oczami. Ale nawet zmęczenie nie zmąciło piękna jej rysów. Mając takie kości policzkowe – przebiegło przez myśl Brunettiemu – może ze spokojem oczeki-

wać nadejścia starości, a kształt nosa zawsze przyciągnie spojrzenia ludzi, którzy ponownie odwrócą się, by spojrzeć na jej profil.

– Komisarz Brunetti. Widzieliśmy się wczoraj wieczorem.

– Tak. Pamiętam – odparła. – Proszę wejść.

Poprowadziła go korytarzem do dużego gabinetu. W rogu znajdował się kominek, na którym palił się niewielki ogień. Przed kominkiem stał stół z dwoma ustawionymi naprzeciw siebie krzesłami. Kiwnięciem ręki poprosiła go, by usiadł, a sama usiadła po drugiej stronie. W pełnej niedopałków popielniczce tlił się papieros. Za jej plecami znajdowało się duże okno, przez które widać było żółto-brunatne dachy domów. Na ścianach wisiały obrazy, które jego dzieci uznawały za „prawdziwe”.

– Ma pan ochotę na drinka, *commissario*? Albo na herbatę? – Te formuły wymawiała po włosku tak, jakby nauczyła się ich na pamięć z podręcznika, ale Brunettiego zaciekawił fakt, że wie, jak należy go tytułować.

– Proszę nie robić sobie kłopotu – odparł równie uprzejmie.

– Dziś rano było tu dwóch policjantów. Zabrali różne rzeczy. – Najwyraźniej jej znajomość włoskiego była zbyt słaba, by wymienić zabrane przedmioty.

– Może wolałaby pani, żebyśmy rozmawiali po angielsku? – spytał w tym języku.

– O, tak – ucieszyła się i po raz pierwszy uśmiechnęła, co pozwoliło mu wyobrazić sobie całe piękno jej rysów. – Będzie mi dużo łatwiej. – Twarz przybrała łagodniejszy wyraz, trochę mniej napięty. Także mięśnie ciała rozluźniły się, gdy zniknęła bariera językowa. – Byłam w Wenecji zaledwie kilka razy i czuję się zażenowana marną znajomością włoskiego.

Takie wyznanie, uczynione w innych okolicznościach, skłoniłoby Brunettiego do zaprzeczenia i pochwalenia jej umiejętności posługiwania się włoskim. Teraz powiedział jednak:

– Wiem, że jest pani ciężko, i chciałbym złożyć kondolencje pani i jej rodzinie. – Dlaczego w obliczu śmierci nasze słowa są aż tak mało znaczące, a nawet rażąco kłamliwe? – zauważył w duchu, głośno dodając: – Maestro

Wellauer był wielkim artystą i strata, jaką poniósł muzyczny świat, jest ogromna. Strata, jaką pani poniosła, jest niewątpliwie jeszcze bardziej bolesna. – Nie potrafił zdobyć się na więcej niż te sztywne i nienaturalne wyrazy współczucia.

Zauważył, że obok popielniczki leży kilkanaście telegramów – jedne rozpieczętowane, inne jeszcze zaklejone. Choć przez cały dzień wszyscy pewno mówili jej to samo, nie pokazała tego po sobie i powiedziała tylko:

– Dziękuję panu.

Włożyła rękę do kieszeni swetra i wyjęła paczkę papierosów, z której wyciągnęła jednego, uniosła go do ust i dopiero wtedy zobaczyła papierosa palącego się w popielniczce. Rzuciła paczkę i wyjętego papierosa na stół, a następnie wzięła tego z popielniczki. Zaciągnęła się głęboko, zatrzymała dym w płucach i z widoczną niechęcią go wypuściła.

– Muzyczny świat rzeczywiście wiele stracił – powiedziała. Nim zdążył zastanowić się nad tym dziwnym stwierdzeniem, dodała: – My także.

Choć na papierosie był zaledwie milimetr popiołu, strząsnęła go, a następnie pochyliła się w przód i otarła boki papierosa o popielniczkę takim ruchem, jakby ostrzyła ołówek. Brunetti wyjął z kieszeni notes i otworzył na stronie, gdzie zapisywał tytuły nowych książek, które zamierzał przeczytać. Minionego wieczoru dostrzegł niemal doskonałą urodę pani Wellauer – ukazana pod odpowiednim kątem i we właściwym oświetleniu, jej uroda byłaby niezaprzeczalnie doskonała. Mimo zmęczenia, które znaczyło teraz jej twarz, to piękno wciąż było widoczne. Miała szeroko rozstawione oczy i naturalnie jasne włosy, tego dnia zaczesane do tyłu i związane na karku w prosty węzeł.

– Wie pan, co spowodowało jego śmierć? – spytała.

– Rozmawiałem rano z lekarzem sądowym. Maestro został otruty cyjankiem potasu, podanym w kawie.

– A zatem śmierć była szybka. Dobre i to.

– Tak, niemal natychmiastowa – potwierdził. Zapisał coś w notesie i zapytał: – Czy miała pani do czynienia z tą trucizną?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, zanim odpowiedziała:

– W takim stopniu jak każdy lekarz.

Brunetti przewrócił kartkę w notesie.

– Zdaniem lekarza sądowego, nie tak łatwo jest wejść w posiadanie cyjanku – skłamał.

Gdy nie skomentowała tej uwagi, zapytał:

– Jakie wrażenie, w pani odczuciu, sprawiał wczoraj mąż? Czy w jego zachowaniu było coś dziwnego, coś szczególnego?

Wciąż ocierając boki papierosa o popielniczkę, odrzekła:

– Nie, zachowywał się tak jak zwykle.

– Jak pani to rozumie?

– Był trochę spięty, zamknięty w sobie. Nie lubił wdawać się w rozmowy przed spektaklem czy w czasie przerw. Nie chciał się rozpraszać.

Brunetti uznał to za całkiem naturalne.

– Czy wydał się pani bardziej nerwowy niż zazwyczaj?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, raczej nie. Koło siódmej poszliśmy pieszo do teatru. To bardzo blisko. – Brunetti kiwnął głową. – Usiadłam na swoim miejscu, choć do rozpoczęcia przedstawienia było jeszcze sporo czasu. Bileterzy często widzieli mnie na próbach, więc pozwolili mi wejść na salę. Helmut poszedł za kulisy, żeby się przebrać i przejrzeć partyturę.

– Przepraszam panią, ale czytałem gdzieś, że pani mąż znany był z tego, że prowadził orkiestrę bez partytury.

Słyszając to, uśmiechnęła się.

– O tak, rzeczywiście. Ale zawsze trzymał partyturę w garderobie i przeglądał ją przed spektaklem i w czasie przerw.

– Czy dlatego nie chciał, by mu przeszkadzano podczas przerw?

– Właśnie dlatego.

– Mówiła pani, że wczoraj poszła za kulisy, żeby z nim porozmawiać. – Milczała, więc zadał jej następne pytanie: – Czy często odwiedzała go pani

w garderobie?

– Nie. Jak już mówiłam, Helmut nie lubił rozmawiać z ludźmi podczas spektaklu. Twierdził, że zakłóca to jego skupienie. Ale wczoraj poprosił mnie, żebym przyszła do niego po drugim akcie.

– Czy ktoś jeszcze był obecny przy tej rozmowie?

Jej głos przybrał ostrzejszy ton.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, chce pan wiedzieć, czy mam świadka, który to potwierdzi. – Brunetti kiwnął głową. – Nie, panie komisarzu, nie mam świadka. Mogę dodać, że byłam zaskoczona jego prośbą.

– Dlaczego?

– Ponieważ Helmut rzadko robił... nie wiem, jak to ująć... rzeczy niecodzienne. Rzadko robił coś, co odbiegało od jego przyzwyczajień. Dlatego zdziwiłam się, gdy poprosił mnie, żebym przyszła do niego podczas przedstawienia.

– I zrobiła to pani?

– Tak.

– Dlaczego chciał się z panią zobaczyć?

– Nie wiem. W foyer spotkałam znajomych i przez kilka minut rozmawiałam z nimi. Zapomniałam, że podczas przedstawienia nie można wejść za kulisy z parteru – trzeba iść na górę i przejść koło łóż. Kiedy wreszcie dotarłam za kulisy i znalazłam się w jego garderobie, zadzwonił drugi dzwonek, ogłaszający koniec przerwy.

– Rozmawiali państwo ze sobą?

Przez jakiś czas nie mogła zdecydować się na odpowiedź.

– Tak, ale zdążyłam tylko pozdrowić go i spytać, co chciał mi powiedzieć. Potem usłyszeliśmy... – Urwała i wyciągnęła rękę, by zgasić papierosa. Robiła to dość długo, grzebiąc zgniecionym niedopałkiem w popielniczce. Wreszcie odłożyła niedopałek i podjęła myśl, ale w jej głosie zabrzmiał inny ton. – Usłyszeliśmy drugi dzwonek. Nie mieliśmy czasu, żeby porozmawiać. Powiedziałam mu, że spotkamy się po przedstawieniu, i wró-

ciłam na miejsce w chwili, gdy gasły światła. Czekałam na podniesienie kurtyny i rozpoczęcie przedstawienia, ale... pan wie, co było dalej.

– Czy wtedy po raz pierwszy przeszło pani przez myśl, że coś jest nie w porządku?

Sięgnęła po paczkę i wyjęła następnego papierosa. Brunetti wziął leżącą na stole zapalniczkę i podał jej ogień.

– Dziękuję – powiedziała i wypuściła dym, kierując go z dala od niego.

– Czy wtedy po raz pierwszy zdała sobie pani sprawę, że coś jest nie w porządku? – powtórzył.

– Tak.

– Czy w ciągu ostatnich kilku tygodni pani mąż zachowywał się inaczej?
– Gdy milczała, spróbował podsunąć jej myśl. – Był nerwowy albo poirytowany?

– Zrozumiałam pana pytanie – odparła szorstko i zaraz spojrzała na niego nerwowo, mówiąc: – Przepraszam.

Uznał, że lepiej zachować milczenie, niż przyjąć te przeprosiny.

Po chwili odpowiedziała:

– Nie, był taki jak zawsze. Uwielbiał *Traviatę* i uwielbiał to miasto.

– Czy próby szły dobrze? Spokojnie?

– Chyba nie rozumiem pana pytania.

– Czy pani mąż miał jakieś trudności z innymi ludźmi, którzy brali udział w wystawieniu tego spektaklu?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Brunetti doszedł do wniosku, że czas sprowadzić rozmowę na płaszczyznę bardziej osobistą. Przerzucił kilka kartek w notesie, zerknął w dół i zapytał:

– Kto tutaj mieszka?

Pani Wellauer nie okazała zdziwienia tą nagłą zmianą tematu.

– Mąż, ja i pokojówka, która jest tu na stałe.

– Jak długo u państwa pracuje?

– Helmut zatrudnił ją chyba ze dwadzieścia lat temu. Poznałam ją, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Wenecji.

– Kiedy to było?

– Przed dwoma laty.

– Proszę mówić dalej – naciskał Brunetti.

– Mieszka tutaj przez cały rok, także gdy nas tu nie ma. – Natychmiast się poprawiła: – Gdy nas tu nie było.

– Jak się nazywa?

– Hilda Breddes.

– Nie jest Włoszką?

– Nie. Pochodzi z Belgii.

Brunetti zapisał to w notesie.

– Jak długo byli państwo małżeństwem?

– Dwa lata. Poznaliśmy się w Berlinie, gdzie pracowałam.

– W jakich okolicznościach państwo się poznali?

– Helmut prowadził *Tristana*. Poszłam za kulisy razem z przyjaciółmi, którzy byli także zaprzyjaźnieni z nim. Po spektaklu wszyscy wybraliśmy się na kolację.

– Jak długo znali się państwo przed ślubem?

– Około pół roku – odparła, wciąż ostrząc papierosa.

– Powiedziała pani, że pracowała w Berlinie, a przecież jest pani Węgierką. – Gdy nie zareagowała na jego uwagę, zapytał: – Czyż nie tak?

– Urodziłam się w Węgrzech, ale teraz mam obywatelstwo niemieckie. Mój pierwszy mąż – jak panu zapewne wiadomo – był Niemcem. Po ślubie przeprowadziliśmy się do Niemiec i wtedy przyjąłam niemieckie obywatelstwo.

Zgasiła papierosa i spojrzała na Brunettiego tak, jakby chciała oświadczyć, iż od tej chwili całą swą uwagę skupi na odpowiadaniu na jego pytania. Komisarza zastanowiło, dlaczego postanowiła skoncentrować się akurat teraz, gdy jego pytania dotyczyły faktów publicznie znanych. Jej odpo-

wiedzi na temat pierwszego i drugiego małżeństwa były zgodne z prawdą – wiedział to, ponieważ Paola, nałogowa czytelniczka prasy brukowej, rano podała mu szczegółowe informacje.

– Czy to nie dziwne? – spytał.

– Co mianowicie?

– To, że pozwolono pani wyjechać do Niemiec i przyjąć niemieckie obywatelstwo.

Potraktowała to stwierdzenie z uśmiechem, który w jego odczuciu nie świadczył o rozbawieniu.

– Nie jest to aż tak dziwne, jak może się wam wydawać tu, na Zachodzie.

– Czy w jej głosie zabrzmiało szyderstwo? – Byłam mężatką, żoną Niemca. Mąż skończył wykonywaną w Węgrzech pracę i wrócił do kraju. Złożyłam podanie o zgodę na wyjazd z nim i ją otrzymałam. Nawet za dawnych rządów nie byliśmy dzikusami. Dla Węgrów rodzina ma istotne znaczenie. – Sądząc po sposobie, w jaki to powiedziała, Brunetti miał podstawy przypuszczać, że jej zdaniem dla Włochów rodzina ma znikome znaczenie.

– Czy on jest ojcem pani dziecka?

To pytanie niewątpliwie ją zaskoczyło.

– Kto?

– Pani pierwszy mąż.

– Tak. – Znowu sięgnęła po papierosa.

– Dalej mieszka w Niemczech? – spytał, podając jej ogień, choć wiedział, że pierwszy mąż pani Wellauer wykłada na uniwersytecie w Heidelbergu.

– Tak.

– Czy to prawda, że przed poślubieniem maestra była pani lekarką?

– Panie komisarzu – powiedziała, nie hamując ani nie ukrywając złości – wciąż jestem lekarką i zawsze będę lekarką. Teraz nie prowadzę praktyki, ale może mi pan wierzyć, że wciąż jestem lekarką.

– Proszę mi wybaczyć, pani doktor – powiedział z całą szczerością, żałując, że tak głupio się zachował. Szybko zmienił temat. – Czy pani córka mieszka tu z panią?

Zauważył, że odruchowo wyciągnęła rękę po paczkę z papierosami, a potem sięgnęła po palącego się papierosa.

– Nie, mieszka z dziadkami w Monachium. Podczas naszych pobytów tutaj musiałaby chodzić do obcojęzycznej szkoły, a to byłoby dla niej zbyt trudne. Dlatego uważaliśmy, że najlepszym rozwiązaniem będzie posłanie jej do szkoły w Monachium.

– I zostawienie pod opieką rodziców pani byłego męża?

– Tak.

– Ile lat ma pani córka?

– Trzydzieści.

Jego córka Chiara była w tym samym wieku i dlatego Brunetti zdawał sobie sprawę, jaką przykrość sprawiłby jej, zmuszając ją do chodzenia do szkoły w obcym kraju.

– Czy teraz podejmie pani praktykę lekarską?

Po dłuższym namyśle odparła:

– Nie wiem. Być może. Chciałabym uzdrawiać ludzi. Ale jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć.

Brunetti pochylił głowę w geście milczącej zgody.

– Pozwoli pani, że spytam – i proszę z góry wybaczyć mi to pytanie – czy wie pani, jakie dyspozycje finansowe wydał pani mąż?

– Chce pan wiedzieć, co się stanie z jego pieniędzmi? – Sformułowanie było wyjątkowo bezpośrednie.

– Tak.

Odpowiedziała natychmiast:

– Wiem tylko to, co powiedział mi Helmut. Nie mamy żadnej formalnej umowy sporządzonej na piśmie, tak jak to się dzisiaj robi przy zawieraniu

małżeństwa. – W tonie głosu można było wyczuć, że tego rodzaju myślenie jest jej obce. – Sądzę, że majątek odziedziczy pięć osób.

– A mianowicie?

– Jego dzieci z poprzednich małżeństw. Z pierwszą żoną miał jedno dziecko i z drugą troje. No i ja.

– A pani córka?

– Nie – odparła bez wahania. – Tylko jego własne dzieci.

Brunetti uważał za całkiem naturalne to, że mężczyzna chce zostawić swoje pieniądze własnym dzieciom.

– Czy wie pani, jaka suma wchodzi w rachubę?

Wdowy często mają rozeznanie w tej sprawie i równie często twierdzą, że nic o tym nie wiedzą.

– Sądzę, że jest to znaczna suma. Ale na ten temat dokładniej niż ja poinformuje pana agent albo adwokat Helmuta.

To dziwne, ale Brunetti odniósł wrażenie, że ona naprawdę nie ma rozeznania w tej sprawie. A co dziwniejsze, wydało mu się, że mało ją to interesuje.

Oznaki zmęczenia, które dostrzegł u niej po przyjściu, zaznaczyły się jeszcze wyraźniej podczas ich rozmowy. Ramiona były bardziej pochylone; od nosa do kątek ust biegły dwie zmarszczki.

– Zostało mi już niewiele pytań – powiedział.

– Miałby pan ochotę na drinka? – Propozycja była oczywiście wyrazem oficjalnej uprzejmości.

– Nie, dziękuję. Chciałbym tylko zadać pani jeszcze kilka pytań i zaraz wyjdę.

Kiwnęła głową ze znużeniem, tak jakby wiedziała, że właśnie te pytania są powodem jego wizyty.

– Proszę mi powiedzieć, jak układały się stosunki między panią i mężem.

– Dostrzegł u niej wyraźną powściągliwość i chęć samoobrony. – Dzielila państwa znaczna różnica wieku – przycisnął ją.

– Tak, rzeczywiście.

Siedział w milczeniu, czekając na odpowiedź. W końcu odezwała się i jej słowa zabrzmiały jak stwierdzenie faktu, a nie wyznanie prawdy – co mu się spodobało.

– Helmut był starszy ode mnie o trzydzieści siedem lat.

Z tego wynikało, że jest o pięć lat starsza, niż przypuszczał, mniej więcej w wieku Paoli. Wellauer był zaledwie o osiem lat młodszy od jego dziadka. Zaskoczony tymi porównaniami, starał się nie okazać tego po sobie, ale zastanowiło go, jak mogło wyglądać życie tej kobiety z mężczyzną, który był starszy od niej niemal o dwa pokolenia. Zauważył, że pod jego baczny spojrzeniem zaczęła z zażenowaniem wiercić się na krześle. Spojrzał więc na chwilę w bok, udając, że zastanawia się, jak sformułować następne pytanie.

– Czy ta różnica wieku była powodem jakichś trudności w pani małżeństwie?

Jakże przejrzyste są eufemizmy, którymi ludzie posługują się, mówiąc o takich związkach. To pytanie, choć uprzejmie wyrażone, miało w sobie coś z pożądliwego spojrzenia podglądacza i Brunetti poczuł się zażenowany, że je zadał.

Milczała tak długo, że nie wiedział, czy jest to wyrazem obrzydzenia spowodowanego jego ciekawością, czy irytacji wywołanej sztucznnością jego pytania. Nagle rozległ się jej bardzo zmęczony głos.

– Ponieważ dzieliła nas tak duża różnica wieku i należeliśmy do różnych pokoleń, inaczej patrzyliśmy na świat, ale wyszłam za niego za mąż, gdyż zakochałam się w nim.

Brunetti instynktownie poczuł, że powiedziała mu prawdę, ale ten sam instynkt podsunął mu spostrzeżenie, że wyraziła ją w liczbie pojedynczej. Ludzkie odczucia powstrzymały go przed dociekaniem tej części prawdy, którą pominęła milczeniem.

Na znak, że nie ma więcej pytań, zamknął notes i włożył go do kieszeni.

– Dziękuję pani. To bardzo uprzejme, że zechciała pani spotkać się ze mną w tym czasie. – Umilkł, nie chcąc znowu uciekać się do eufemizmów czy frazesów. – Czy wiadomo, kiedy odbędzie się pogrzeb?

– Tak. Jutro, o dziesiątej. W San Moisé. Helmut kochał to miasto i żywił nadzieję, że będzie miał honor być tu pochowany.

Opierając się na nielicznych informacjach, które usłyszał lub przeczytał o dyrygencie, Brunetti podejrzewał, że w rozumieniu zmarłego honor był tylko tym, co on sam mógł uczynić drugiemu człowiekowi – ale może Wenecja miała w sobie taki majestat, że zrobił dla niej wyjątek.

– Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że przyjdę na tę uroczystość.

– Nie, skądże.

– Muszę pani zadać jeszcze jedno pytanie, także dość przykre. Czy słyszała pani o kimś, kto mógł mieć nieprzyjazne zamiary wobec pani męża? O kimś, z kim niedawno się pokłócił albo kogo się bał?

Na jej ustach pojawił się nieznaczny, ale jednak uśmiech.

– Chodzi panu o to, czy przychodzi mi na myśl ktoś, kto mógł chcieć go zabić?

Brunetti kiwnął głową.

– Miał za sobą bardzo długą karierę. Jestem pewna, że w tym czasie obraził wiele osób. Niewątpliwie byli tacy, którzy go nie lubili. Ale nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógł chcieć go zabić. – Z roztargnieniem pociągnęła palcem po oparciu krzesła. – Nie zrobiłby tego nikt, kto kocha muzykę.

Brunetti wstał i wyciągnął rękę.

– Bardzo dziękuję, że okazała mi pani tyle cierpliwości i poświęciła swój czas. – Pani Wellauer podniosła się z krzesła i uścisnęła mu dłoń. – Proszę się nie fatygować – powiedział, nie chcąc, by odprowadzała do drzwi. Potrząsnęła głową, nie zgadzając się na to, i wyprowadziła go na korytarz. Przy drzwiach jeszcze raz uścisnęli sobie ręce w milczeniu. Brunetti wyszedł z mieszkania.

Rozdział 10

Gdy Brunetti przebywał w mieszkaniu, na dworze zrobiło się ciemno, nagle zapadł wczesnozimowy zmrok, który pogłębił wrażenie opustoszenia, odczuwane w tym mieście aż do początków wiosny. Postanowił nie wracać do biura, nie chcąc wpadać w gniew, gdyby się okazało, że nie przysłano jeszcze raportu z laboratorium, i nie mając ochoty na powtórne czytanie raportu niemieckiej policji. Idąc ulicą, stwierdził, jak niewiele informacji o zmarłym udało mu się zdobyć – a ściśle mówiąc, zebrał sporo informacji, ale tak się dziwnie złożyło, że były oderwane, zbyt oficjalne i bezosobowe. Zmarły był geniuszem i wrogiem homoseksualistów, był uwielbiany przez muzyczny świat, był człowiekiem, którego pokochała kobieta o połowę od niego młodsza – ale jego osobowość pozostawała nieuchwytna. Brunetti poznał kilka faktów, natomiast nie miał pojęcia, co się za nimi kryje.

Szedł dalej i zastanawiał się nad środkami, dzięki którym zdobywał informacje. Miał do dyspozycji dane Interpolu, mógł liczyć na pełną współpracę niemieckiej policji, a jego wysokie stanowisko pozwalało mu zmobilizować całą włoską policję. Z tego wynikał oczywisty wniosek, że najbardziej niezawodnym sposobem uzyskania dokładnych informacji o tym człowieku jest skorzystanie z niezawodnego źródła wszelkiej informacji – z plotek.

Przesadą byłoby stwierdzenie, że Brunetti nie lubił rodziców Paoli, hrabiostwa Falier, ale taką samą przesadą byłoby stwierdzenie, że ich lubił. Byli dla niego równie zagadkowi jak para białych żurawi amerykańskich dla kogoś, kto ma w zwyczaju karmić orzeszkami ziemnymi parkowe gołębie. Należeli do rzadkiego i wspaniałego gatunku, ale Brunetti, który znał ich niemal dwadzieścia lat, musiał przyznać, że myśl o ich nieuchronnym wyginięciu budzi w nim mieszane uczucia.

Hrabia Falier, w którego rodzinie po kądzieli było dwóch dożów, mógł prześledzić, i prześledził, historię swego rodu aż do dziesiątego wieku. Na gałęziach jego drzewa genealogicznego siedzieli krzyżowcy, paru kardynałów, drugorzędny kompozytor oraz były ambasador Włoch na dworze króla Zoga w Albanii. Matka Paoli była florentynką i cała rodzina przeniosła się do tego miasta na północy dopiero po jej narodzinach. Jej ród podobno wywodził się z Medyceuszy. Podejmując grę w genealogiczne szachy, w dziwny sposób usidlającą ludzi z tych sfer, matka Paoli równoważyła dożów swego męża papieżem i milionerem w branży tekstylnej, kardynała z jego strony – kuzynem Petrarcki ze swojej strony, kompozytora – słynnym kastratem (który, niestety, zmarł bezpotomnie), a ambasadora – bankierem Garibaldiego.

Hrabiostwo mieszkali w *palazzo* należącym do rodziny Falierów przynajmniej przez ostatnich trzysta lat, w ogromnym, zbudowanym bez planu grobowcu nad Canale Grande, praktycznie niemożliwym do ogrzania w zimie, który powstrzymywały od rozsypania się w gruzy ciągle tam obecne hordy kamieniarzy, murarzy, hydraulików i elektryków, chętnie wspierających hrabiego Faliera w jego nieustającej walce, jak przystało na weneccjanina, z bezlitosnymi siłami czasu, przyływu i zanieczyszczenia przemysłowego.

Brunetti nigdy nie przeliczył pokojów *palazzo* i za bardzo się krępował, by spytać o ich liczbę. Czteropiętrowy budynek otaczały z trzech stron kanały, a z czwartej przylegał do niego zeświecczony kościół. Brunetti przekraczał te progi jedynie podczas formalnych przyjęć wydawanych w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy to spożywano rybę i wręczano sobie prezenty, potem w dniu imienin hrabiego Orazia, kiedy to z niewiadomych powodów serwowano bażanta i znowu wręczano sobie prezenty, oraz w święto Odkupiciela, kiedy to spotykano się, by zjeść *pasta fagioli* i obejrzeć sztuczne ognie nad Piazza San Marco. Dzieci Brunettiego uwielbiały odwiedzać dziadków podczas tych uroczystości, a także w ciągu roku przychodziły do nich same albo z Paolą. Brunetti wołał sądzić, że powodem tych wizyt jest *palazzo* i kryjące się w nim możliwości dokonywania odkryć, ale miał też niejakię podejrzenia, że jego dzieci uwielbiają dziadków i dobrze się czują

w ich towarzystwie, choć oba te zjawiska w powiązaniu wprawiały go w całkowite zdumienie.

Hrabia robił „w finansach”. W ciągu siedemnastoletniego pożycia z Paolą Brunetti nigdy nie słyszał, by inaczej określano zawód jego teścia. Nie nazywano go finansistą – niewątpliwie dlatego, że takie określenie mogło kojarzyć się z pracą fizyczną, na przykład z liczeniem pieniędzy lub chodzeniem do biura. Nie, hrabia robił „w finansach”, tak jak de Beerowie robili „w kopalniach”, a von Thysen „w stali”.

Z kolei hrabina działała „w towarzystwie”, co oznaczało jej obecność na premierach we wszystkich czterech największych teatrach operowych we Włoszech, organizowanie dobroczynnych koncertów wspierających włoski Czerwony Krzyż oraz wydawanie w okresie karnawału corocznego balu maskowego na czterysta osób.

Natomiast Brunetti zarabiał jako komisarz policji niewiele ponad trzy miliony lirów miesięcznie, co – jak wyliczył – jedynie nieznacznie przewyższało koszty, które miesięcznie ponosił jego teść za prawo do cumowania łodzi przed *palazzo*. Dziesięć lat temu hrabia usiłował nakłonić Brunettiego, by zrezygnował z pracy w policji i wspólnie z nim robił karierę w bankowości. Ciągłe podkreślał, że Brunetti nie powinien strawić życia, obcując z ludźmi, którzy uchylają się od płacenia podatków, biją żony, są alfonsami, złodziejami czy zbrojeńcami. Te propozycje raptownie przestały być ponawiane, z chwilą gdy w któreś święta Bożego Narodzenia sprowokowany po raz kolejny Brunetti nie wytrzymał i zwrócił hrabiemu uwagę, że choć obaj pracują wśród takich samych ludzi, on ma przynajmniej pociechę, że może ich aresztować, natomiast hrabia jest zmuszony zapraszać ich na kolacje.

W tej sytuacji Brunetti z pewnym lękiem spytał tego wieczoru Paolę, czy mogliby uczestniczyć w przyjęciu z okazji otwarcia w Pałacu Dożów nowej wystawy francuskich impresjonistów, które jej rodzice wydają następnego dnia.

- Skąd wiesz o tym przyjęciu? – spytała zaskoczona Paola.
- Przeczytałem w gazecie.

– Moi rodzice wydają przyjęcie, a ty dowiadujesz się o tym z gazety? – Odpowiedź Brunettiego była obrazą atawistycznych poglądów Paoli na rodzinę.

– Tak już jest. Ale poprosisz ich, żeby nas zaprosili?

– Guido, zazwyczaj muszę odwoływać się do gróźb, żebyś poszedł do nich i zjadł z nimi wigilijną kolację, a teraz nagle chcesz iść do nich na przyjęcie. Dlaczego?

– Ponieważ chcę porozmawiać z tego rodzaju ludźmi, którzy bywają na tego rodzaju imprezach.

Gdy Brunetti wszedł do pokoju, Paola czytała i poprawiała prace swych studentów. Usłyszawszy jego wyjaśnienie, powoli odłożyła pióro i obdarzyła go spojrzeniem, jakim zazwyczaj reagowała na wyjątkowo rażące niezręczności językowe. Choć nie należały do rzadkości w gazetach, na których położyła pióro, rzadko kiedy słyszała je z ust męża. Przypatrywała się mu przez dłuższą chwilę, formułując w myślach jedną ze swoich replik, które często wprawiały go w zachwyt, a jednocześnie przerażały.

– Wątpię, czy będą mogli ci odmówić, zważywszy na galanterię, z jaką przedstawiasz swoją prośbę – powiedziała, po czym wzięła pióro i znowu pochyliła się nad pracami studentów.

Pora była późna i Brunetti wiedział, że Paola jest zmęczona, podszedł więc do kuchennego blatu i zaczął robić kawę.

– Wiesz, że nie będziesz mógł zasnąć, jeśli tak późno wypijesz kawę – powiedziała, rozpoznając po odgłosach, czym się zajmuje.

Idąc w stronę kuchni, poczochnął jej włosy i powiedział:

– Wynajdę sobie jakieś zajęcie.

Mruknęła coś pod nosem, przekreśliła zdanie i spytała:

– Dlaczego chcesz się z nimi zobaczyć?

– Żeby jak najwięcej dowiedzieć się o Wellauerze. Czytałem o jego karierze, o jego żonach, o tym, że był geniuszem, ale nie mam pojęcia, jakim był człowiekiem.

– I sądzisz, że tego rodzaju ludzie, którzy bywają u moich rodziców – odparła z przekąsem – dobrze go znali?

– Chcę poznać jego prywatne życie, a ci ludzie wiedzą to, czego ja chcę się dowiedzieć.

– O tym przeczytasz w „STOP”. – Ciągle zdumiewał go fakt, że osoba, która wykłada literaturę angielską na uniwersytecie, tak dobrze zna prasę brukową.

– Paola, zrozum – wyjaśnił – mnie są potrzebne prawdziwe informacje. W „STOP” można przeczytać o tym, że Matka Teresa przerwała ciążę.

Znowu coś mruknęła i przewróciła kartkę, zostawiając na poprzedniej ciąg niebieskich znaczków stawianych z irytacją.

Brunetti otworzył lodówkę, wyjął litr mleka, wlał część do garnka i podgrzał. Nauczony wieloletnim doświadczeniem, wiedział, że Paola nie wypije łyka kawy, choćby dolał nie wiadomo ile mleka, twierdząc, że nie może po niej zasnąć, ale gdy on zrobi sobie kawę, będzie ją popijała małymi łyчками, aż w końcu wypije prawie wszystko, a potem będzie spała jak kłoda. Wyjął z kredensu paczkę słodkich herbatników, które kupowali dzieciom, i zajrzał do środka, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało.

Gdy kawa zaparzyła się i przelała do górnego pojemnika, napełnił nią kubek, dodał parujące mleko i cukier – w mniejszej ilości, niż miał w zwyczaju – a potem usiadł przy stole naprzeciw Paoli. Skupiona na czytaniu pracy, z roztargnieniem wyciągnęła rękę po kubek i upiła łyk kawy, zanim on sam zdążył to zrobić. Gdy odstawiła kubek na stół, objął go dłonią, ale nie podniósł. Przewróciła następną kartkę, znowu sięgnęła po kubek i nie mogąc ruszyć go z miejsca, uniosła wzrok.

Obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– Najpierw obiecaj, że zadzwonisz do matki.

Spróbowała odsunąć jego rękę. Gdy jej się to nie udało, napisała na niej niecenzuralne słowo.

– Będziesz musiał włożyć garnitur.

– Idąc do twoich rodziców, zawsze wkładam garnitur.

– Ale nigdy nie sprawiasz wrażenia, że czujesz się w nim dobrze.

– W porządku – odparł z uśmiechem. – Obiecuję, że włożę garnitur i będę sprawiał wrażenie, że czuję się w nim dobrze. Zadzwońisz do matki?

– Zadzwonię – zgodziła się. – Ale o garniturze mówiłam na serio.

– Jasne, skarbie – odparł przymilnym głosem. Puścił kubek i podsunął go w jej stronę. Gdy wypila kolejny łyk, wyjął z torby herbatnik i umoczył go w kawie.

– Jesteś odrażający – stwierdziła i po chwili się uśmiechnęła.

– Jak przystało na prostego wieśniaka – przytaknął i włożył herbatnik do ust.

Paola rzadko opowiadała mu o swoim dzieciństwie w *palazzo*, o angielskiej guwernantce i chmarze służących, ale wiedział jedno: że w dzieciństwie surowo zabraniano jej moczyć ciastka. Uważał to za duży błąd wychowawczy i nalegał, żeby ich dzieci mogły to robić. Paola zgodziła się, choć z wielką niechęcią. Żadne z dzieci – jak później nie omieszkał podkreślać – nie ucierpiało na tym ani moralnie, ani fizycznie.

Patrząc, jak w pośpiechu pisze swoje uwagi na dole strony, doszedł do wniosku, że jej zapas cierpliwości na ten dzień zaczyna się wyczerpywać.

– Żebyś wiedział, Guido, jak bardzo męczą mnie te tępe umysły – powiedziała, zakręcając nasadkę pióra i rzucając je na stół. – Chyba wolałabym mieć do czynienia z mordercami. Ich można przynajmniej ukarać.

Widząc, że kawa się skończyła, nie podsunął jej kubka, ale wstał i wyjął z kredensu butelkę grappy. Było to jedyne ukojenie, jakie przyszło mu akurat na myśl.

– Wspaniale – powiedziała Paola. – Najpierw kawa, a teraz grappa. Nigdy nie zaśniemy.

– To możemy spróbujemy nie dać sobie nawzajem zasnąć? – odparł Brunetti, wywołując promienisty uśmiech na twarzy Paoli.

Rozdział 11

Następnego ranka Brunetti pojawił się w komendzie o ósmej. Przyniósł ze sobą gazety, które szybko przeczytał, znajdując w nich niewiele nowego – w większości artykułów powtarzały się informacje z poprzedniego dnia. Szerzej opisano karierę Wellauera i głośniej domagano się, by sprawiedliwość dosięgła zabójcy. Ale nie było tam nic, czego Brunetti już nie wiedział.

Na jego biurku leżał raport z laboratorium. Na filizance, w której stwierdzono ślady cyjanku potasu, były jedynie odciski palców Wellauera. W garderobie znaleziono mnóstwo odcisków palców, zbyt wiele, aby je identyfikować, a poza tym nie miało to sensu, skoro na filizance były tylko odciski palców zmarłego.

Do wyniku badań daktyloskopijnych dołączono listę przedmiotów, które znajdowały się w garderobie. Większość z nich Brunetti pamiętał: partyturę *Traviaty* – pokrytej w całości prywatnymi znaczkami dyrygenta, zapisanymi kanciastym gotykiem – grzebień, portfel, drobne pieniądze. Na liście znalazło się ubranie, które zmarły miał na sobie, i to, które wisiało w szafie, chusteczka do nosa i paczka miętówek. Wymieniono również zegarek marki Rolex Oyster, pióro oraz mały notes z adresami.

Policjanci, którzy poszli obejrzeć mieszkanie dyrygenta – ich czynności raczej nie można było nazwać rewizją – złożyli pisemny raport, ale ponieważ nie wiedzieli, czego szukać, Brunetti nie łudził się, że znajdzie w raporcie coś ciekawego czy ważnego. Mimo to wziął go do ręki i dokładnie przeczytał.

Dziwne było to, że maestro, który co roku przebywał tu jedynie kilka tygodni, miał w mieszkaniu pełny zestaw garderoby. Brunetti nie posiadał się

ze zdumienia, widząc, z jaką dokładnością wymieniono poszczególne stroje: „czarna kaszmirowa marynarka z dwoma rozcięciami z tyłu (Duca D’Acosta), sweter w kolorze kobaltu i stonowanej umbry, rozmiar 52 (Missoni)”. Przeszło mu przez myśl, czy przez pomyłkę nie trafił do butiku Valentina, a nie na komendę policji. Spojrzał na ostatnią stronę i, jak podejrzewał, znalazł tam podpisy Alvisego i Riverrego, policjantów, którzy rok temu napisali o człowieku wyłowionym z morza przy Lido: „Przypuszcza się, że zmarł na skutek uduszenia”.

Brunetti dalej czytał raport. Jak się zdaje, pani Wellauer nie była tak zainteresowana garderobą jak jej zmarły mąż. Co więcej, z tekstu wynikało, że Alvisi i Riverre nie mieli dobrego zdania o jej guście. „Boty od Varesego, tylko jedna para. Czarny wełniany płaszcz, bez firmowej etykiety”. Za to znajdująca się w mieszkaniu kolekcja książek zrobiła na nich wrażenie – „ogromna, w trzech językach, w tym chyba także po węgiersku”.

Brunetti przewrócił kartkę. W mieszkaniu znajdowały się dwie sypialnie dla gości, każda z oddzielną łazienką. Czyste ręczniki, puste szafy, mydło od Diora.

Nie stwierdzono śladów pobytu córki pani Wellauer – raport nie zawierał nic, co wskazywałoby na obecność w tym domu trzeciego członka rodziny. W gościnnych sypialniach nie znaleziono ubrań, książek czy przedmiotów, które mogły być własnością nastoletniej dziewczynki. Brunetti, który na każdym kroku natykał się na przedmioty potwierdzające istnienie jego córki, był zdziwiony tym faktem. Wedle wyjaśnień matki dziewczynka chodziła do szkoły w Monachium. Ale musiała być wyjątkowym dzieckiem, skoro zabierała ze sobą wszystkie drobiazgi.

Raport zawierał też opis pokoju belgijskiej pokojówki, który zdaniem policjantów był zbyt skromnie urządzonej, oraz samej pokojówki, która w ich odczuciu była przygnębiona, ale skłonna do pomocy. Na koniec zamieszczono opis gabinetu maestra, w którym znaleziono „dokumenty”. Część z nich przewieziono na komendę, gdzie przejrzał je tłumacz z niemieckiego i w załączonej notatce napisał, że w większości dotyczyły interesów i kon-

traktów. Obejrzano kalendarzyk dyrygenta i nie znaleziono w nim żadnych istotnych informacji.

Brunetti postanowił odszukać autorów raportu i w ten sposób oszczędzić sobie zniecierpliwienia związanego z oczekiwaniem, że sami stawią się na jego wezwanie. Ponieważ dochodziła już dziewiąta, wiedział, że zastanie ich w barze, po drugiej stronie Ponte dei Greci. Powodem tego przekonania nie była konkretna godzina na zegarze, lecz fakt, że jeszcze nie minęło południe.

Choć Brunetti, gdy prowadził jakąś sprawę, zawsze bał się, że przydzielą mu do pomocy właśnie tych dwóch policjantów, mimo wszystko czuł do nich sympatię. Alvisie był krępy mężczyzną przed pięćdziesiątką, niemal karykaturą śniadego Sycylijczyka, choć pochodził z Tarvisio, położonego na granicy z Austrią. Uchodził za miejscowego eksperta w dziedzinie muzyki popularnej, ponieważ kiedyś, piętnaście lat temu, udało mu się zdobyć autograf Miny, legendarnej królowej włoskich piosenek. Z biegiem czasu to zdarzenie urosło do wielkich rozmiarów i nabrało wagi – podobnie jak Mina – w wyniku wielokrotnego relacjonowania go, aż Alvisie zaczął dawać swym słuchaczom do zrozumienia, że łączyło ich dużo więcej, co potwierdzał błysk zaspokojonego pożądania w jego oczach. Na częstotliwość, z jaką powtarzał tę opowieść, nie wpływał fakt, że piosenkarka była od niego o głowę wyższa i dwa razy szersza w talii.

Riverre, jego partner, pochodził z Palermo; miał rude włosy i jedyne, co go interesowało, to piłka nożna i kobiety – w tej kolejności. Jednym z najdonioślejszych doświadczeń w jego dotychczasowym życiu było to, że wyszedł cało z bijatyki na stadionie piłkarskim w Brukseli. Relacje z wyczynów, jakich dokonał przed przybyciem policji, podbudowywał opowieściami o swoim powodzeniu u kobiet, zazwyczaj cudzoziemek, które leciały na niego jak muchy na lep.

Brunetti znalazł ich – tak jak się spodziewał – w barze, przy ladzie. Riverre czytał gazetę z wiadomościami sportowymi, a Alvisie rozmawiał z Arianną, właścicielką baru. Żaden z nich nie zauważył Brunettiego, dopóki ten nie podszedł do kontuaru i nie zamówił kawy. Wtedy Alvisie

uśmiechnął się na powitanie, a Riverre oderwał się od gazety na tak długo, ile zabrało pozdrowienie przełożonego.

– Jeszcze dwie kawy, Arianno – powiedział Alvise. – Wszystkie trzy na mój rachunek.

Brunetti przejrzał tę taktykę, dzięki której miał zostać dłużnikiem policjanta. Gdy pojawiły się trzy kawy, Riverre już stał przy komisarzy, a gazeta niezauważalnie przemieniła się w niebieski skoroszyt z aktami sprawy, który leżał otwarty na kontuarze.

Brunetti wsypał dwie łyżeczki cukru i zamieszał kawę.

– To wy byliście w domu maestra?

– Tak, *commissario* – odparł z ożywieniem Alvise.

– Co to za dom! – wtrącił Riverre.

– Właśnie skończyłem czytać wasz raport.

– Arianno, przynieś nam bułki maślane.

– Czytałem go z ogromnym zainteresowaniem.

– Dziękujemy, *commissario*.

– Zwłaszcza wasze uwagi na temat jego garderoby. Wynika z nich, że te angielskie garnitury nie przypadły wam do gustu.

– Nie, *commissario*. – Riverre jak zwykle nie wyczuł sprawy. – Moim zdaniem mają za szerokie nogawki.

Alvise sięgnął po leżące na kontuarze akta i niechcący szturchnął swego partnera w ramię, może z większą siłą, niż to było konieczne.

– Czy pan komisarz ma do nas jakieś pytania? – zapytał.

– Tak. Czy będąc w tym mieszkaniu, zauważyliście rzeczy należące do córki pani Wellauer?

– Ona ma córkę? – To pytanie, jak można było przewidzieć, pochodziło od Riverrego.

– Dlatego was pytam. Czy zauważyliście tam jakieś ślady pobytu dziecka? Książki? Ubrania?

Obaj policjanci popadli w zamyślenie. Riverre wbił wzrok w przestrzeń, która wydała mu się bliższa niż większości ludzi, a Alvisse wpatrywał się w podłogę, trzymając ręce w kieszeniach munduru. Po obowiązkowej minucie milczenia obaj odpowiedzieli jednocześnie: – Nie, *commissario* – tak jakby tego rodzaju odpowiedzi mieli już wyćwiczone.

– Zupełnie nic nie zauważyliście?

I znowu każdy z nich odegrał swoją rolę i padła jednoczesna odpowiedź:

– Nic, *commissario*.

– Rozmawialiście z tą Belgijką, pokojówką?

Riverre wywrócił oczami na wspomnienie pokojówki, co miało oznaczać, że każda chwila spędzona z taką kretynką, nawet jeśli jest cudzoziemką, należy do zmarnowanych. Alvisse poprzestał na stwierdzeniu:

– Tak, *commissario*.

– Powiedziała wam coś, co może być istotne?

Riverre wziął głęboki oddech, szykując się do udzielenia odpowiedzi, ale zanim zaczął, jego partner odparł:

– W zasadzie nic takiego nie powiedziała, *commissario*, ale miałem wrażenie, że nie lubi *signory* Wellauer.

Riverre nie mógł powstrzymać się, żeby nie wyrazić własnego zdania.

– A za co można jej nie lubić? – wtrącił, kładąc nacisk na „jej”.

Brunetti obrzucił go chłodnym spojrzeniem i zwrócił się do Alvissego:

– Dlaczego tak przypuszczasz?

– Trudno mi podać konkretny powód – zaczął Alvisse. Riverre prychnął, dając Brunettiemu do zrozumienia, że jego chłodne spojrzenie na nic się zdało. – Jak już powiedziałem, *commissario*, trudno to sprecyzować, ale była bardziej oficjalna w obecności *signory* Wellauer. Choć ciężko sobie wyobrazić, że mogłaby zachowywać się jeszcze bardziej oficjalnie, niż zachowywała się wobec nas, ale takie odniosłem wrażenie. Wyglądało to tak... sam nie wiem... jakby z chłodem odnosiła się do *signory* Wellauer, zwłaszcza gdy musiała się do niej odezwać.

– Kiedy to zauważyłeś?

– Gdy tylko weszliśmy. Spytaliśmy ją, czy możemy rozejrzeć się po mieszkaniu, zobaczyć jego rzeczy. Odpowiedziała takim tonem, to znaczy *signora Wellauer*, jakby nie miała na to ochoty, ale się zgodziła. Potem zawołała pokojówkę i kazała jej pokazać nam, gdzie są jego rzeczy. Właśnie wtedy, gdy rozmawiały, miałem wrażenie, że pokojówka stała się bardziej chłodna. Potem, gdy rozmawiała z nami, było trochę lepiej. Nie traktowała nas serdecznie, nic z tych rzeczy – to zrozumiałe: jest Belgijką – ale zachowywała się lepiej, bardziej przyjaźnie, niż poprzednio wobec *signory Wellauer*.

– Rozmawialiście potem z wdową?

– Tak, tuż przed wyjściem, *commissario*. Spakowaliśmy jego papiery. Nie podobało się jej to, że je zabieramy. Wystarczyło spojrzenie, żeby dać nam to odczuć. Spytaliśmy ją, czy możemy zabrać te papiery. Musieliśmy to zrobić – takie są przepisy.

– Wiem – odparł Brunetti. – Coś jeszcze?

– Tak – wtrącił się Riverre.

– Co takiego?

– Nie przejmowała się tym, że przeglądamy jego ubrania i szafy. Nawet nie chciało się jej pójść z nami, tylko wysłała pokojówkę. Ale gdy weszliśmy do drugiego pokoju, gdzie były te dokumenty, poszła z nami, a pokojówce kazała zaczekać na zewnątrz. Nie podobało się jej to, że przeglądamy to wszystko – papiery i inne rzeczy.

– Co było w tych papierach?

– Wyglądały na urzędowe. Wszystkie po niemiecku. Zabraliśmy je na komendę, żeby je przetłumaczono.

– Wiem, czytałem raport. Co się z nimi potem stało?

– Nie wiem, *commissario* – powiedział Alvise. – Albo są u tłumacza, albo zostały odesłane signorze Wellauer.

– Riverre, mógłbyś pójść i sprawdzić?

– Teraz, *commissario*?

– Tak.

– Dobrze, *commissario*. – Riverre machnął w powietrzu ręką, jakby chciał zaszalować, i powoli odszedł od baru.

– Jeszcze jedno, Riverre! – zawołał za nim Brunetti. Policjant odwrócił się, licząc na to, że Brunetti zmienił zdanie i zaoszczędzi mu wędrówki na komendę i wspinaczki na drugie piętro. – Jeśli znajdziesz te papiery, powiedz, żeby przeniesiono je do mojego pokoju.

Brunetti wziął maślaną bułkę z talerzyka, który stał przed nim, i odgryzł kawałek. Dał znak Ariannie, żeby zaparzyła mu jeszcze jedną kawę.

– Gdy tam byliście – zapytał Alvisego – zauważyliście coś jeszcze?

– Co na przykład, *commissario*? – Można by sądzić, że policjanci mieli patrzeć tylko na to, co bezpośrednio wiąże się z wykonywanym zadaniem.

– Cokolwiek. Mówiłeś o napięciu między tymi dwiema kobietami. Czy któraś z nich zachowywała się dziwnie?

Alvise zastanowił się chwilę, ugryzł bułkę i odparł:

– Nie, *commissario*. – Widząc zawiedzioną minę Brunettiego, dodał: – Tylko wtedy, gdy zabieraliśmy papiery.

– A dlaczego tak było? Jak sądzisz?

– Nie wiem, *commissario*. Uderzyło mnie tylko to, że ona zachowywała się zupełnie inaczej, gdy przeglądaliśmy jego osobiste rzeczy – tak jakby to nie miało znaczenia. Wydaje mi się, że większość ludzi nie lubi, gdy się grzebie w czyichś ubraniach. Jakie znaczenie ma kupa papieru? – Widząc, że to ostatnie zdanie wzbudziło wyraźne zainteresowanie Brunettiego, Alvise rozwinął myśl. – Ale może chodzi o to, że on był geniuszem. Ja się nie znam na takiej muzyce. – Brunetti przygotował się na to, co musiało nastąpić. – Jediną śpiewaczką, jaką znam osobiście, jest Mina, ale ona nigdy z nim nie śpiewała. Jak już powiedziałem, ponieważ był sławny, być może te papiery są ważne. Może jest w nich coś na temat muzyki.

Akurat wtedy wrócił Riverre.

– Przykro mi, *commissario*, ale odesłano już te papiery.

– Jak? Poczta?

– Nie, tłumacz sam je zaniósł. Powiedział, że niektóre z nich mogą się przydać wdowie.

Brunetti odsunął się od baru i sięgnął po portfel. Zanim któryś z policjantów zdążył zaprotestować, położył na ladzie dziesięć tysięcy lirów.

– Dziękujemy, *commissario* – powiedzieli.

– Drobiazg.

Gdy odchodził, żaden z policjantów nie wykonał ruchu świadczącego, że wychodzą razem z nim, choć obaj zasalutowali.

Wartownik w komendzie poinformował Brunettiego, że zastępca komendanta chce się z nim natychmiast widzieć.

– *Gesù Bambino!* – wykrzyknął Brunetti pod nosem, naśladując swoją matkę, która także stosowała ten zwrot jedynie w sytuacjach, gdy była u kresu cierpliwości.

Znalazłszy się pod drzwiami do gabinetu szefa, zapukał i przezornie zaczekał, aż rozlegnie się okrzyk: – *Avanti!* – Jak się spodziewał, zastał Pate upozowanego za biurkiem, na którym leżał plik akt ułożonych w wachlarz. Przez chwilę Patta nie zwracał uwagi na Brunettiego, tylko dalej czytał trzymany w ręce dokument. Komisarz poprzestał na oglądaniu nikłych pozostałości fresku, który niegdyś pokrywał sufit.

Nagle Patta podniósł wzrok, udał zdziwienie na widok Brunettiego i zapytał:

– Gdzie pan jest?

Komisarz odpowiedział takim samym pozorowanym zdziwieniem, jakby pytanie wydało mu się dziwne, ale nie chciał skupiać na nim uwagi szefa.

– W pana gabinecie, *comandante*.

– Pytam, gdzie pan jest w prowadzonej sprawie. – Kiwnięciem ręki wskazał Brunettiemu jedno z niskich krzeseł z połączanego brązu, które stały przed biurkiem, po czym wziął do ręki pióro i zaczął stukać nim w blat.

– Przesłuchałem wdowę i dwie osoby, które były w garderobie. Rozmawiałem z lekarzem, który powiedział mi, co było przyczyną zgonu.

– To wszystko już wiem – odparł Patta, coraz szybciej stukając w blat i nie kryjąc swego poirytowania. – Innymi słowy, nie ma pan żadnych istotnych informacji?

– Można tak to ująć, *comandante*.

– Wie pan, Brunetti, wiele myślałem o tym śledztwie i zastanawiam się, czy nie odebrać panu tej sprawy. – W jego głosie wyraźnie czuło się groźbę, jak gdyby komendant spędził całą minioną noc na czytaniu Machiavellego.

– Rozumiem, *comandante*.

– Mógłbym przekazać prowadzenie śledztwa komuś innemu, może wówczas poczynilibyśmy znaczące postępy.

– O ile wiem, Mariani jest teraz wolny.

Ogromnym wysiłkiem woli Patta powstrzymał się przed grymasem, gdy tylko padło nazwisko młodszego z dwóch pozostałych komisarzy, człowieka o nieskazitelnym charakterze i niezgłębionej tępcie, który – o czym wszyscy wiedzieli – otrzymał to stanowisko jako część posagu swej żony, będącej siostrzenicą poprzedniego burmistrza. Drugi komisarz – jak Brunetti dobrze wiedział – był zajęty dochodzeniem w sprawie handlu narkotykami w portowym mieście Marghera.

– A może pan zajmie się tą sprawą? – zaproponował Brunetti i prowokacyjnie zawiesił głos, nim dodał obowiązkowe *comandante*.

– Taka możliwość zawsze istnieje – odrzekł Patta, nie zauważając niegrzeczności Brunettiego albo woląc ją zignorować. Wyjął z biurka paczkę rosyjskich papierosów w brązowych gilzach i osadził jednego w onyksowej cygarniczce. Bardzo gustowny dobór kolorów, pomyślał komisarz. – Wezwałem pana, ponieważ odebrałem kilka telefonów od prasy i Osób Wysooko Postawionych. – Patta wyraźnie zaznaczył wszystkie duże litery. – Byli bardzo zaniepokojeni tym, że jeszcze do niczego pan nie doszedł. – Tym razem intonacją głosu dobitnie zaakcentował liczbę pojedynczą. Delikatnie pociągał papierosa, wpatrując się w Brunettiego. – Słyszysz pan, co mówię? Oni są niezadowoleni.

– W pełni ich rozumiem, *comandante*. Mam martwego geniusza, ale nie mam człowieka, którego mógłbym obciążyć winą.

Czy mu się tylko wydawało, że Patta powtórzył bezgłośnie ostatnie zdanie, tak jakby chciał je wyćwiczyć, zanim zabłyśnie nim podczas dzisiejszego lunchu?

– Dokładnie w tym rzecz – powiedział komendant i jego usta jeszcze raz bezgłośnie się poruszyły. – Nie ma człowieka, którego można obciążyć winą. – Zniżył głos. – Chcę, żeby sytuacja się zmieniła. Chcę mieć człowieka, którego można obciążyć winą. – Brunetti nigdy dotąd nie słyszał, żeby jego szef tak jasno wyłożył swój pogląd na sprawiedliwość. Może on sam zabłyśnie tymi zdaniami podczas dzisiejszego lunchu.

– Na przyszłość, Brunetti, chcę mieć pisemny raport, codziennie o... – przerwał, by sobie przypomnieć, o której zaczyna się praca – ...o ósmej – dokończył, podając właściwą godzinę.

– Tak jest, *comandante*. Coś jeszcze? – Było mu wszystko jedno, czy musi przygotować pisemny raport, czy ustny, ponieważ i tak nie będzie miał nic do zakomunikowania, dopóki nie stworzy sobie jasnego obrazu człowieka, który został zabity. Czy był geniuszem, czy nie, rozwiązania sprawy zawsze należało szukać w osobie zmarłego.

– Tak. Co zamierza pan dzisiaj robić?

– Idę na pogrzeb. Ceremonia rozpoczyna się za dwadzieścia minut. A potem chciałbym sam przejrzeć papiery Wellauera.

– I to wszystko?

– Tak, *comandante*.

– Nic dziwnego, że stoimy w miejscu – prychnął Patta.

Brunetti uznał to stwierdzenie za sygnał zakończenia rozmowy. Wstał i poszedł w stronę drzwi, zastanawiając się, w jakiej odległości od nich przełożony przypomni mu o pisemnym raporcie. Na jakieś trzy kroki przed drzwiami – jak ocenił – usłyszał:

– Ósma rano, niech pan pamięta.

Patta zajął mu tyle czasu, że Brunetti przybył do kościoła San Moisè dopiero kilka minut przed dziesiątą. Czarną łódź z trumną pokrytą kwiatami przycumowano już do nabrzeża kanału i trzech mężczyzn w granatowych garniturach przenosili drewnianą trumnę na metalowy wózek, którym mieli ją zawieźć pod drzwi kościoła. Wśród ludzi licznie zebranych przed kościołem Brunetti rozpoznał kilka znanych w Wenecji twarzy, reporterów i fotografów z gazet, którzy zazwyczaj relacjonowali takie wydarzenia, ale nigdzie nie dostrzegł wdowy – pewno weszła już do kościoła.

Gdy trzech mężczyzn przewieźli trumnę pod drzwi, podszedł do nich czwarty i razem podnieśli ją, z wprawą oparli na ramionach i weszli po dwóch stopniach do kościoła. Wraz z pozostałymi ludźmi Brunetti poszedł za nimi. Patrzył, jak mężczyźni idą środkową nawą i stawiają trumnę na niskim katafalku przed głównym ołtarzem. Brunetti usiadł na końcu ławki w głębi zatłoczonego kościoła. Pomiedzy głowami znajdujących się przed nim ludzi z trudem dostrzegł ubraną na czarno wdowę, siedzącą w pierwszym rzędzie, między mężczyzną i kobietą: oboje mieli siwe włosy i prawdopodobnie byli tą samą parą, którą spotkał w towarzystwie pani Wellauer w teatrze. Za wdową siedziała samotnie w ławce ubrana w czerń kobieta, zapewne pokojówka. Choć Brunetti nie zastanawiał się wcześniej, jak będzie przebiegała msza, był zaskoczony jej surowością. Uderzył go całkowity brak muzyki, nawet nie grały organy. Znajome słowa niesły się nad głowami zgromadzonych; nastąpiło tradycyjne pokropienie trumny i udzielenie błogosławieństwa. Ceremonia była tak prosta, że msza szybko dobiegła końca.

Brunetti stał przy ławce, dopóki nie wyniesiono trumny, i czekał, aż główni żałobnicy wyjdą z kościoła. Na zewnątrz błyskały flesze aparatów fotograficznych, a reporterzy otoczyli wdowę, która kurczowo trzymała się ramienia starszego mężczyzny.

Nie zastanawiając się, Brunetti przecisnął się przez tłum i ujął wdowę pod drugie ramię. Rozpoznał kilku fotografów, którzy, jak zauważył, też go poznali, i kazał im się odsunąć. Oblegający wdowę mężczyźni cofnęli się, robiąc przejście w stronę łodzi przycumowanych z boku placu. Podtrzymu-

jąc wdowę, poprowadził ją do łodzi, pomógł jej wejść na pokład, a potem wszedł za nią do kabiny dla pasażerów.

Para, która towarzyszyła pani Wellauer w teatrze, też weszła do kabiny. Siwowłosa kobieta otoczyła wdowę ramieniem, a mężczyzna usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Brunetti stanął na zewnątrz przy drzwiach i patrzył, jak wioząca trumnę łódź odcumowała i wolno popłynęła wąskim kanałem. Gdy znaleźli się w sporej odległości od kościoła, Brunetti schylił głowę i wszedł do środka.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała pani Wellauer, nie kryjąc łez.

Brunetti nic nie odpowiedział.

Łódź wpłynęła do Canale Grande i skręciła w lewo, w stronę bazyliki San Marco, którą musieli minąć w drodze na cmentarz. Brunetti wyszedł na zewnątrz i znowu stanął przy drzwiach, patrząc przed siebie i nie chcąc, by jego natrętne spojrzenie zakłócało boleść żałobników. Minęli dzwonnice, a potem pociętą na kwadraty, prostokątną ścianę Pałacu Dożów i lekkie kopuły bazyliki. Gdy zbliżali się do kanału Arsenale, Brunetti wszedł po schodkach na pokład i poprosił przewoźnika, żeby zatrzymał się na przystani przy Palasport. Następnie wrócił do kabiny i w drzwiach usłyszał głosy trzech rozmawiających cicho osób.

– Panie komisarzu – odezwała się wdowa.

Odwrócił się w drzwiach i spojrzał na nią.

– Bardzo panu dziękuję. Gdyby nie pana pomoc, chyba nie dałabym sobie tam rady.

Kiwnął głową, potwierdzając jej przypuszczenie. Łódź zaczęła zataczać szeroki łuk w lewo, kierując się w stronę kanału Arsenale.

– Chciałbym z panią jeszcze raz porozmawiać – powiedział Brunetti – dogodnego dla pani dnia.

– Czy to konieczne?

– Tak sędzę.

Silnik zaczął terkotać, gdy łódź przybijała do pomostu po prawej stronie kanału.

– Kiedy?

– Może jutro?

Jeśli ta prośba zaskoczyła panią Wellauer i wzbudziła zgorszenie jej przyjaciół, żadne z nich nie dało tego po sobie poznać.

– Dobrze – odparła. – Po południu.

– Dziękuję pani – powiedział Brunetti. Łódź przybiła i kołysała się przy drewnianym pomoście. Ponieważ nikt się nie odezwał, wyszedł z kabiny i zeskoczył na pomost. Stał tam, patrząc, jak łódź wraca na tor i w ślad za trumną wypływa na głębokie wody laguny.

Rozdział 12

W pierwotnym zamyśle architektonicznym wejście do większości pałaców usytuowanych przy Canale Grande, także do *Palazzo Falier*, znajdowało się od strony kanału; goście przyplływali łodziami, schodzili na nabrzeże i po czterech niskich stopniach wchodzili do budynku. Ale to wejście od dawna było zamknięte ciężką metalową kratą, otwieraną jedynie wtedy, gdy do domów dostarczano łodziami duże przedmioty. W naszych żałosnych czasach goście przybywali pieszo, idąc od najbliższego przystanku *vaporetto* przy Ca Rezzonico albo z innych części miasta.

Brunetti przybył z Paolą do pałacu pieszo. Przeszli obok frontonu uniwersytetu, przecięli Campo San Barnaba, potem skręcili w lewo i drogą wzdłuż wąskiego kanału doszli do bocznego wejścia do pałacu. Nacisnęli dzwonek i w drzwiach pojawił się młody człowiek, który wprowadził ich na dziedziniec. Paola widziała tego człowieka po raz pierwszy i doszła do wniosku, że zapewne został wynajęty na ten wieczór.

– Przynajmniej nie ubrali go w spodnie zapinane pod kolanami i nie kazali mu włożyć peruki – zauważył Brunetti, gdy wchodzili po zewnętrznych schodach. Młody człowiek nawet nie spytał, kim są i czy mają zaproszenia. Albo zapamiętał całą listę gości i znał wszystkich z twarzy, albo – co bardziej prawdopodobne – mało go obchodziło, kogo wpuszcza do pałacu.

Znalazłszy się na szczycie schodów, usłyszeli muzykę dochodzącą z lewej strony, gdzie znajdowały się trzy ogromne sale przyjęć. Idąc za dźwiękami, skierowali się w dół korytarzem wyłożonym lustrami, w których odbijały się ich sylwetki. Ogromne dębowe drzwi prowadzące do pierwszego pokoju były otwarte na oścież. Z wnętrza płynęły strumienie światła, muzyka oraz zapachy drogich perfum i kwiatów.

Pokój wypełniało światło mnóstwa świec umieszczonych w lichtarzach pod ścianami oraz dwóch ogromnych szklanych kandelabrow z Murano, które były ozdobione swawolnymi aniołkami i kupidynami i zwisały z pokrytego freskiem sufitu. Muzyka płynęła z rogu sali, gdzie dyskretnie ustawione trio grało utwory Vivaldiego, łatwo rozpoznawalne po często stosowanej przez niego tonacji. Wonie zaś roztaczał rój kobiet, które gawędziły z ożywieniem niemal dorównującym żywości barw ich strojów i stanowiły ozdobę pomieszczenia.

Po kilku minutach hrabia dostrzegł nowo przybyłych gości, podszedł do nich, pochylił się, by ucałować Paolę w policzek, i wyciągnął rękę do swojego zięcia. Był wysokim mężczyzną zbliżającym się do siedemdziesiątki, który nie starał się ukryć faktu, że rzedną mu włosy, i strzygł je krótko wokół tonsury, przez co upodabniał się do rozmiłowanego w naukach mnicha. Paola odziedziczyła jego piwne oczy i szerokie usta, ale na szczęście nie miała wydatnego arystokratycznego nosa, który stanowił dominujący rys jego twarzy. Hrabia był ubrany w smoking tak doskonale skrojony, że nawet gdyby był różowego koloru, każdy zauważyłby jedynie jego krój.

– Matka jest zachwycona, że oboje mogliście do nas przyjść. – Delikatne podkreślenie słowa „oboje” było aluzją do faktu, że Brunetti po raz pierwszy uczestniczy w wydawanym przez nich przyjęciu. – Mam nadzieję, że będziecie dobrze się bawić.

– Jestem tego pewny – odparł Brunetti w imieniu ich obojga. Od siedemnastu lat wymyślał najrozmaitsze sposoby, by zwracając się do teścia, w żaden sposób go nie nazywać. Posługiwanie się tytułem było wykluczone, nie mógł też zmusić się, by nazywać go *papa*. Mówienie po imieniu, Orazio, byłoby nadmierną poufałością i daremnym skamleniem o uznanie ich równej pozycji na gruncie towarzyskim. W tej sytuacji Brunetti z mozołem unikał jakiegokolwiek nazwy, a nawet słowa „pan”. Mimo to obaj widzieli potrzebę kompromisu i rozmawiając ze sobą, używali potocznej formy *tu*, choć nawet to nie przychodziło im łatwo.

Hrabia dostrzegł swą żonę idącą przez salę. Uśmiechnął się i dał jej znak, by do nich dołączyła. Hrabina zręcznie manewrowała w tłumie, łącząc

wdzięk z obyciem towarzyskim – którego Brunetti jej zazdrościł – tu kogoś pocałowała w policzek, tam lekko dotknęła czyjegoś ramienia. Brunetti dość lubił hrabinę, która tego wieczoru wyglądała sztywno i oficjalnie w sutej sukni z szyfonu, ozdobionej sznurami pereł. Jak zwykle włożyła spiczaste pantofle na niebotycznie wysokich obcasach, ale mimo to nie sięgała mężowi do ramienia.

– Paola, Paola! – wykrzyknęła, nie kryjąc radości na widok jedynaczki. – Tak się cieszę, że wreszcie udało ci się przyprowadzić Guida. – Na chwilę przerwała, by ucałować oboje w policzek, i ciągnęła: – Jakże mi miło was tu widzieć z innej okazji niż Boże Narodzenie czy oglądanie tych okropnych fajerwerków. – Hrabina potrafiła wyrażać się bez ogródek.

– Chodź, Guido – powiedział hrabia. – Zapraszam na drinka.

– Dziękuję – odparł Brunetti i zwrócił się do Paoli i jej matki: – Czy możemy wam coś przynieść?

– Nie, nie. Potem sobie coś weźmiemy.

Hrabia Falier poprowadził Brunettiego przez salę, tu i ówdzie zatrzymując się, by kogoś powitać lub zamienić z kimś słowo. W barze poprosił o szampana dla siebie i o szkocką dla zięcia.

– Przypuszczam, że przyszedłeś tu z powodów zawodowych, prawda? – powiedział, podając zięciowi szklaneczkę.

– Rzeczywiście – odparł Brunetti, z ulgą przyjmując to bezpośrednie pytanie.

– Świetnie. W takim razie mój czas nie poszedł na marne.

– Nie rozumiem.

Skinąwszy głową obfitej damie, która właśnie zasiadła przy fortepianie, hrabia wyjaśnił:

– Paola mówiła mi, że zajmujesz się tą historią z Wellauerem. Taka zbrodnia jest niedobra dla miasta. – Mówiąc to, nie zdołał pohamować swej dezaprobaty dla dyrygenta, który dał się zabić, i to w okresie, gdy kwitnie życie towarzyskie. – W każdym razie, gdy dowiedziałem się, że telefono-

wała Paola i powiedziała, że oboje chcielibyście przyjść tu dzisiaj, zadzwoniłem do paru osób. Przypuszczam, że interesuje cię stan jego finansów.

– Tak, to prawda – przyznał Brunetti, zastanawiając się, czy jest taka informacja, której ten człowiek nie mógłby uzyskać jedynie przez podniesienie słuchawki i wykręcenie właściwego numeru. – Co wiadomo na ten temat, jeśli można zapytać?

– Wellauer nie był tak zamożnym człowiekiem, jak się powszechnie sądzi. – Brunetti odczekał, aż to stwierdzenie zostanie wyrażone w cyfrach dla niego zrozumiałych. Nie ulegało wątpliwości, że każdy z nich co innego rozumie przez słowo „zamożny”. – Jego całkowity majątek, ulokowany w akcjach, obligacjach i nieruchomościach, raczej nie przekracza dziesięciu milionów marek niemieckich. Ma cztery miliony franków na koncie w Szwajcarii, w Union Bank w Lugano, ale wątpię, by dowiedział się o tym niemiecki urząd podatkowy. – Brunetti szybko przeliczył, że zarobienie takiej sumy zajęłoby mu około trzystu pięćdziesięciu lat. – Jego honoraria za występy i nagrania wynoszą co najmniej trzy lub cztery miliony marek rocznie – dodał hrabia.

– Rozumiem – odparł Brunetti. – A jak wygląda jego testament?

– Niestety, nie udało mi się uzyskać kopii – rzekł hrabia przepaszającym tonem. Brunetti uznał, że jest to wybaczone, zważywszy, że śmierć nastąpiła zaledwie dwa dni temu. – Ale wiem, że jego majątek został rozdzielony równo między jego dzieci i żonę. Chodzą jednak słuchy, że na kilka tygodni przed śmiercią usiłował skontaktować się ze swoimi prawnikami. Nikt nie wie, co było tego powodem – może nie miało to związku z testamentem.

– Co to znaczy „usiłował się skontaktować”?

– Dzwonił do kancelarii swoich prawników w Berlinie, ale, jak się zdaje, nie mógł uzyskać połączenia i nie zadzwonił powtórnie.

– Czy ci rozmówcy mówili coś o jego życiu osobistym?

Kieliszek hrabiego zatrzymał się tuż przy jego wargach tak raptownie, że kilka kropelek jasnego płynu wylało się na klapy smokingu. Hrabia utkwiał w Brunettim zdumiony wzrok, tak jakby wszystkie zastrzeżenia, które zięć wzbudzał w nim przez niemal dwadzieścia lat, zostały potwierdzone.

– Czy ty uważasz, że jestem szpiegiem?

– Przepraszam – odparł Brunetti, podając hrabiemu chusteczkę, żeby wytarł kłapy. – Skrzywienie zawodowe. Zapomniałem się.

– Rozumiem. – Hrabia przyjął to wytłumaczenie, choć ton jego głosu świadczył o tym, że nic nie tłumaczy takiego zachowania. – Spróbuję odszukać Paolę i jej matkę. – Odszedł, zatrzymując chusteczkę, która – jak przypuszczał Brunetti – zostanie uprana, wykrochmalona, uprasowana i odesłana właścicielowi przez posłańca.

Brunetti odszedł od baru, przeciskając się przez tłum, i sam zaczął szukać Paoli w morzu ludzi. Znał wielu z nich, ale była to znajomość, by tak rzec, z drugiej ręki. Choć nigdy nie został przedstawiony większości tu obecnych, znał historie ich życia oraz skandale i intrygi, zarówno miłosne, jak i prawne, w które byli zamieszani. Było tak po części dlatego, że wykonywał zawód policjanta, ale głównie wynikało to stąd, że mieszkał tak naprawdę w prowincjonalnym mieście, gdzie plotkarstwo było kulturowym obyczajem, a panującym bóstwem – gdyby pominąć chrześcijańskie, przynajmniej z nazwy, nastawienie mieszkańców – była niewątpliwie Plotka.

Odszukanie Paoli zabrało mu ponad pięć minut i w tym czasie przywitał się z wieloma osobami i odrzucił wiele propozycji wypicia następnego drinka. Hrabina zniknęła z pola widzenia – z pewnością małżonek ostrzegł ją, że po salonach grasuje moralna zaraza.

Gdy Paola podeszła do niego, złapała go za ramię i szepnęła mu do ucha:

– Znalazłam to, czego szukasz.

Drogę do wyjścia? – powiedział w duchu, dobrze wiedząc, że w jej obecności musi okazywać powściągliwość.

– Co takiego? – zapytał.

– Wsłańca Plotki. Z krwi i kości. Byliśmy razem na uniwersytecie.

– Kto? Gdzie? – wypytywał się, po raz pierwszy tego wieczoru zainteresowany środowiskiem, w którym się znalazł.

– Stoi tam, przy drzwiach balkonowych. – Paola szturchnęła go łokciem i wskazała brodą mężczyznę stojącego po drugiej stronie sali, przy środkowym oknie wychodzącym na kanał. Wyglądał na rówieśnika Paoli, choć niewątpliwie osiągnięcie tego wieku przyszło mu z większym trudem niż jej. Z tej odległości Brunetti zauważył jedynie krótką brodę z pasemkami siwizny i czarną marynarkę, uszytą chyba z aksamitu.

– Chodź, przedstawię cię – przynagliła go i pociągnęła za ramię, prowadząc przez pokój w stronę mężczyzny, który uśmiechnął się na jej widok. Miał płaski nos, może kiedyś złamany, i smutne oczy, tak jakby kiedyś złamano mu serce. Przypominał robotnika portowego, który z zamyśleniem pisze wiersze.

– O, urocza Paola – powiedział, gdy znalazła się przy nim. Przełożył kiełiszek do lewej ręki i prawą ujął dłoń Paoli, po czym pochylił się, by złożyć pocałunek w powietrzu, tuż nad jej dłonią. – A to jest niewątpliwie słynny Guido – zwrócił się do Brunettiego – o którym lata temu – delikatność nie pozwala mi powiedzieć, jak dawno to było – Paola opowiadała nam do znużenia. – Ujął rękę Brunettiego i mocno nią potrząsnął, nie kryjąc, że przygląda się mu z zainteresowaniem.

– Daj spokój, Dami, i przestań gapić się na Guida jak na dzieło sztuki.

– Siła przyzwyczajenia, skarbie. Wnikam i przenikam wzrokiem wszystko, co się znajdzie przed moimi oczyma. Niewątpliwie zaraz ściągnę z niego marynarkę, by zobaczyć, gdzie jest naznaczony.

To wszystko brzmiało bezsensownie w uszach Brunettiego. Jego zakłopotanie musiało być tak widoczne dla pozostałych, że mężczyzna pospieszył z wyjaśnieniem.

– Jak widzę, Paola chyba nigdy nas sobie nie przedstawi. Najwyraźniej woli, by nasza wspólna przeszłość pozostała dla pana tajemnicą. – Zanim Brunetti zdążył zareagować na podsuniętą sugestię, mężczyzna powiedział: – Nazywam się Demetrio Padovani. Jestem dawnym kolegą pana pięknej żony i obecnie zajmuję się krytyką wszystkiego, co artystyczne – po czym lekko się skłonił.

Brunettiemu, jak większości Włochów, to nazwisko było znane. Mężczyzna był błyskotliwym krytykiem sztuki nowoczesnej, postrachem zarówno malarzy, jak i dyrektorów muzeów. Oboje z wielką przyjemnością czytali jego artykuły, ale Brunetti nie miał pojęcia, że krytyk jest kolegą Paoli ze studiów.

Mężczyzna chwycił kolejny kieliszek z tacy przechodzącego kelnera.

– Muszę prosić cię o wybaczenie, Guido – jeśli wolno mi mówić ci po imieniu już przy pierwszym spotkaniu i używać formy *tu*, będącej dowodem rosnącej rozwiązłości na gruncie towarzyskim i językowym – i wyznać, iż przez długie lata żywiłem do ciebie nienawiść. – Zakłopotanie Brunettiego tym stwierdzeniem sprawiło mu widoczną przyjemność. – W tamtych ciemnych studenckich czasach, kiedy wszyscy beznadziejnie kochaliśmy się w Paoli, skręcało nas z zazdrości i, muszę przyznać, obrzydzenia na myśl o tym Guidzie, który pojawił się znikąd i zabrał jej serce. Najpierw chciała wiedzieć o nim wszystko, potem pytała: „Czy zaprosi mnie na kawę?”, co szybko przemieniło się w pytanie: „Czy on mnie lubi?”, aż w końcu, choć uwielbialiśmy tę stukniętą dziewczynę, mieliśmy ochotę udusić ją pewnej ciemnej nocy i wrzucić do kanału tylko po to, by uwolnić się od tego tajemniczego demona o imieniu Guido i w spokoju przygotowywać się do egzaminów. – Uradowany widocznym zażenowaniem Paoli, ciągnął: – A potem ona wyszła za niego za mąż. To znaczy za ciebie. Ku naszej ogromnej radości, gdyż nie ma bardziej skutecznego lekarstwa na szalone wzloty wybujałej miłości – tu przerwał, by umoczyć usta w kieliszku – niż małżeństwo. – Zadowolony, że wywołał rumieniec na twarzy Paoli i skłonił Brunettiego do rozejrzenia się za następnym drinkiem, powiedział: – W gruncie rzeczy dobrze się stało, Guido, że się z nią ożeniłeś, w przeciwnym razie żaden z nas nie zaliczyłby tych egzaminów – tak byliśmy zadowoleni w tej dziewczynie.

– Było to moim wyłącznym celem, gdy składałem jej propozycję matrymonialną – odparł Brunetti.

Padovani uchwycił sens tego stwierdzenia i powiedział:

– I w podzięcie za ten akt miłosierdzia chciałbym zaproponować ci drinka. Czego się napijecie?

– Dwa razy szkocka – odparła Paola i zaraz dodała: – Tylko szybko wracaj. Chcę z tobą porozmawiać.

Padovani pochylił głowę z udawaną uległością i wyruszył na poszukiwanie kelnera, prześlizgując się przez tłum niczym wzór dworskiej uprzejmości. Za chwilę był już z powrotem, niosąc trzy szklaneczki.

– Wciąż piszesz do „L’Unità”? – zapytała Paola, gdy podawał jej drinka.

Usłyszawszy nazwę gazety, Padovani skulił głowę z udawanym przerażeniem i z miną spiskowca ukradkiem rozejrzał się po sali. Syknął znacząco i kiwnął na nich, by podeszli bliżej.

– Nie waź się wspominać o tej gazecie w tym domu – powiedział szeptem – jeśli nie chcesz, by twój ojciec wezwał służbę i kazał mnie wyrzucić. – Choć Padovani najwyraźniej żartował, Brunetti miał podejrzenia, że jego słowa są bliższe prawdy, niż przypuszcza.

Krytyk wyprostował się, wypił łyk i powiedział tym razem niemal deklamatorskim tonem:

– Moja droga Paolo, czy to możliwe, że porzuciłaś młodzińcze ideały i przestałaś słuchać głosu proletariatu, który rozbrzmiewa w organie Partii Komunistycznej? Przepraszam – poprawił się – Demokratycznej Partii Lewicy. – Na te słowa odwróciło się kilka głów, ale Padovani kontynuował: – Panie Boże na wysokości, nie chcesz chyba powiedzieć, Paolo, że pogodziłaś się ze swoim wiekiem i zaczęłaś czytać „Corriere” albo, co gorsza, „La Repubblica”, organ zgniłej klasy średniej, maskujący się jako organ zgniłej klasy niższej?

– Czytujemy „L’Osservatore Romano” – odparł Brunetti, wymieniając nazwę oficjalnego pisma Watykanu, w którym wciąż ciskano gromy na zwolenników rozwodów, aborcji i zgubnego mitu o równości kobiet.

– Słuszny wybór – pochwalił ich Padovani obłudnym tonem. – Ponieważ czytujecie te żarliwe artykuły, nie możecie wiedzieć, że wyrażam, z całą pokorą, sądy walczących mas na temat sztuki. – Zniżył głos i mówił dalej, do-

skonale imitując dźwięczny ton spikerów RAI, gdy podają najświeższe wiadomości o upadku rządu. – Jestem przedstawicielem trzeźwo patrzącego robotnika. Stoi przed wami krytyk o niewyparzonym języku i brudnych paluchach, który poszukuje prawdziwie proletariackich wartości artystycznych w chaosie nowoczesności. – Skinął głową i w milczeniu pozdrowił przechodzącą osobę. – Ogromna szkoda – ciągnął – że nie jesteście obeznani z moimi tekstami. Może wyślę wam kopie ostatnich artykułów. Szkoda, że nie noszę ich przy sobie, ale wydaje mi się, że nawet geniusz musi okazać pewną pokorę, choćby fałszywą. – Widząc, że jego słuchacze zaczęli dobrze się bawić tą oracją, mówił dalej: – Moim ulubionym tekstem, który napisałem w zeszłym miesiącu, jest recenzja z wystawy współczesnej sztuki kubańskiej – wiecie, traktory i szeroko uśmiechnięte ananasy. – Wydał usta w grymasie udawanego strapienia, usiłując przypomnieć sobie sformułowanie, którego użył w recenzji. – Zachwyciałem się... jak ja to ująłem?... „cudowną symetrią wyrafinowanej formy i ukierunkowanej wyobraźni”. – Pochylił się w przód i na tyle głośno, by Brunetti usłyszał, szepnął do ucha Paoli: – Zaczerpnąłem to z tekstu o polskich drzeworytach, napisanego dwa lata temu, w którym zachwyciałem się, o ile dobrze pamiętam, „wyrafinowaną symetrią ukierunkowanej formy”.

– Do pracy też chodzisz tak ubrany? – spytała Paola, spoglądając na jego aksamitną marynarkę.

– Widzę, że nie pozbyłaś się swojej wspaniałej kaśliwości. – Roześmiał się i pochylił ku niej, by lekko pocałować ją w policzek. – Odpowiedź na twoje pytanie, mój aniele, jest przecząca. Nie, nie uważam za właściwe afiszować się zamożnością w przybytkach klasy robotniczej. Odziewam się bardziej stosownie: wkładam okropne spodnie, których mąż mojej pokojówki nie chce już nosić, i kurtkę, którą mój siostrzeniec zamierzał oddać biednym. Ponadto – uniósł rękę, by powstrzymać swych rozmówców przed wtrąceniem jakiegokolwiek uwagi czy zadaniem pytania – nie jeżdżę już do pracy moim maserati. Uważam, że to byłoby w złym tonie, a poza tym w Rzymie tak trudno znaleźć miejsce do parkowania. Na pewien czas rozwiązałem ten problem w taki sposób, że jeździłem do pracy fiatem pożyczonym od poko-

jówki. Ale okazało się, że był cały oklejony mandatami za niewłaściwe parkowanie i traciłem mnóstwo czasu, regularnie zapraszając komisarza policji na lunch i prosząc, żeby się tym zajął. Wobec tego teraz wsiadam pod domem do taksówki i mówię kierowcy, żeby zatrzymał się o jedną ulicę przed biurem, gdzie oddaję moje cotygodniowe artykuły, potem narzekam na niesprawiedliwość społeczną i udaję się do uroczej, maleńkiej cukierni kawałek dalej, w której funduję sobie ciastko z masą bitej śmietany. Następnie wracam do domu, biorę długą, gorącą kąpiel i czytam Prousta. „I tak po obu stronach prosta prawda znika”² – powiedział, cytując fragment sonetu Szekspira, jednego z utworów, którym poświęcił siedem lat studiów w Oksfordzie, by otrzymać dyplom na wydziale literatury angielskiej. – Mam nieodparte wrażenie, moja najdroższa Paolo, że czegoś ode mnie chcesz, zapewne jakiejś informacji – stwierdził z bezpośredniością, która nie pasowała do jego charakteru, a przynajmniej do charakteru odgrywanej postaci. – Najpierw dzwoni do mnie twój ojciec, by osobiście zaprosić mnie na to przyjęcie, a potem ty przyklejasz się do mnie jak rzep, czego niewątpliwie byś nie zrobiła, gdybyś nie potrzebowała czegoś ode mnie. Co więcej, jest z tobą boski Guido. Można więc wysnuć uzasadniony wniosek, że potrzebujesz informacji. A ponieważ dobrze wiem, w jaki sposób Guido zarabia na życie, mogę przypuszczać, że sprawa ma związek ze zniknięciem z powierzchni ziemi pewnej niepożądanego osoby, co wywołało skandal, który wstrząsnął naszym pięknym miastem i wprowadził w osłupienie muzyczny świat.

Niedopowiedzenia zawarte w tej wypowiedzi odniosły zamierzony skutek – Paola i Brunetti stracili oddech ze zdumienia. Padovani przyłożył rękę do ust i zachichotał z czystej radości.

– Och, Dami, od razu wszystkiego się domyśliłeś. Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Choć Padovani odpowiedział na to pytanie spokojnym głosem, Brunetti dostrzegł jego roziskrzony wzrok – może sprawił to alkohol, a może co innego. Nie zamierzał dowieść przyczyny, jeśli tylko ten człowiek wyjaśni, dlaczego w taki sposób wypowiedział się o zmarłym.

– No, mów – zachęcała go Paola. – Jesteś jedyną znaną mi osobą, która na pewno wiele o nim wie.

Padovani zatrzymał na niej spojrzenie.

– I spodziewasz się, że będę oczerniał człowieka, którego dopiero co złożono do grobu?

– Jestem zaskoczona, że tak długo z tym zwlekałeś – odparła Paola.

Padovani potraktował jej stwierdzenie z należną uwagą.

– Masz rację, Paolo. Powiem ci wszystko – pod warunkiem że słodki Guido przyniesie nam trzy ogromne drinki. Jeśli nie zrobi tego szybko, zacznę pomstować na to nudne – jak było do przewidzenia – przyjęcie, które wydali twoi rodzice, narażając na cierpienia mnie i, jak dostrzegam ze zdumieniem, połowę uchodzących za sławy mieszkańców tego miasta. – Następnie zwrócił się do Brunettiego: – Byłoby jeszcze lepiej, Guido, gdybyś postarał się o całą butelkę. Moglibyśmy w trójkę przemknąć się do któregoś z tych bez gustu urządzonych pokoi, których, niestety, jest pełno w domu twoich rodziców. – Padovani jeszcze nie skończył i ponownie zwrócił się do Paoli: – A tam ty będziesz mogła wykorzystać siłę swojej urody, a twój mąż swe ohydne metody policyjne, i wspólnie wyciągniecie ze mnie plugawą, pikantną i banalną prawdę. A potem, jeśli będziesz miała na to ochotę, albo ty, albo też... – urwał i obrzucił Brunettiego przeciągłym spojrzeniem – oboje będziecie mogli zrobić ze mną, co tylko zechcecie.

A więc o to chodziło, nagle uprzytomnił sobie Brunetti, zaskoczony, że tak łatwo zignorował wszystkie aluzje.

Paola zupełnie niepotrzebnie posłała mężowi ostrzegawcze spojrzenie. Brunettiemu podobały się przegięcia Padovaniego. Nie miał wątpliwości, że ta propozycja, choć tak zuchwale wyrażona, jest absolutnie szczerą i nie powinna stanowić żadnego powodu do irytacji. Stosując się do polecenia, poszedł po butelkę szkockiej.

Gościnność hrabiego lub też niefrasobliwość służby zasługiwała na podziw, skoro Brunetti dostał butelkę glenfiddicha, gdy tylko o nią poprosił. Kiedy wrócił na salę, zobaczył, że Paola i Padovani stoją, trzymając się pod

rękę, i szepczą między sobą jak konspiratorzy. Padovani psyknął na Paolę i powiedział do Brunettiego:

– Właśnie pytałem ją, czy gdybym popełnił naprawdę ohydną zbrodnię – na przykład powiedział jej matce, co sędzę o tych kotarach – zabrałbyś mnie na komendę i biciem wymusił na mnie przyznanie się do winy.

– A jak myślisz, w jaki sposób to zdobyłem? – spytał Brunetti, unosząc butelkę.

Padovani i Paola wybuchnęli śmiechem.

– Zaprowadź nas, Paolo, tam – zarządził krytyk – gdzie rozmakujemy się w tym płynie, a może również – tu spojrzął na Brunettiego krowim wzrokiem – w sobie nawzajem.

Jak zawsze praktyczna, Paola odparła obojętnym tonem:

– Możemy iść do szwalni. – I wyprowadziła ich z sali, a następnie przeszła przez pokoje, oddzielone solidnymi podwójnymi drzwiami. Potem, niczym Ariadna, bezbłędnie poprowadziła ich korytarzem, skrzyła w lewo w następny korytarz, przeszła przez bibliotekę i wprowadziła do mniejszego pokoju, w którym znajdował się ogromny telewizor, a przed nim kilka zgrabnych, wyścielanych brokatem foteli ustawionych półkolem.

– To ma być szwalnia? – spytał Padovani.

– Z czasów przed *Dynastią*.

Padovani zwałił się na najpotężniejszy fotel w pokoju, zamaszystym ruchem oparł obute w lakierki nogi na stoliku z wkleślorzeźbionym kamiennym blatem i powiedział:

– Okej, kochani, zaczynajcie – używając angielskiego zwrotu zapewne na sam widok telewizora. Ponieważ nie padło żadne pytanie, sam podjął temat. – Co chcecie wiedzieć o zmarłym i, jak sędzę, przez nikogo nieopłakiwanym maestrze?

– Kto mógł chcieć jego śmierci? – zapytał Brunetti.

– Przystępujesz od razu do rzeczy. Nic dziwnego, że Paola z miejsca skapitulowała. Odpowiedzią na twoje pytanie będzie lista nazwisk tak długa jak książka telefoniczna. – Przerwał na chwilę i wyciągnął rękę ze szklanką.

Brunetti nalał mu szczerą miarkę whisky, napełnił swoją szklanekę i trochę mniej wlał do szklanki Paoli. – Chcesz, żebym wymienił ich w kolejności chronologicznej czy według narodowości, a może skali głosu lub skłonności seksualnych? – Postawił szklanekę na poręczu fotela i niespiesznie mówił dalej: – Wellauer ma za sobą długą historię i powody, dla których ludzie go nienawidzili, też sięgają dalekiej przeszłości. Pewno słyszałeś plotki, że podczas wojny był nazistą. Nie był w stanie położyć im kresu, więc jako dobry Niemiec po prostu nie zwracał na nie uwagi. Podobnie jak wszyscy inni. W ogóle ich to nie obchodziło. Ludzie przestali przejmować się takimi sprawami, nie sądzisz? Mamy przykład Waldheima.

– Słyszałem te pogłoski – odparł Brunetti.

Padovani wypił mały łyk whisky, zastanawiając się, jak ująć to, co ma do powiedzenia.

– No dobrze, zastosujmy kryterium narodowości. Mogę wymienić przy najmniej trzech Amerykanów, dwóch Niemców i z pół tuzina Włochów, którzy chętnie widzieliby go martwym.

– Ale to wcale nie znaczy, że któryś z nich go zabił – zauważyła Paola.

Padovani kiwnął głową, przyznając jej rację. Zrzucił buty i podwinął pod siebie nogi – choć bez żenady wyrażał swoją pogardę dla gustów hrabiny, nigdy nie ośmieliłby się pobrudzić jej nowych obić z brokatu.

– Wellauer był nazistą. Co do tego nie ma wątpliwości. Jego druga żona popełniła samobójstwo i może warto, żebyś dowiedział się trochę więcej na ten temat. Pierwsza żona rzuciła go po siedmiu latach małżeństwa. Choć jej ojciec był jednym z najbogatszych ludzi w Niemczech, Wellauer wypłacił jej znaczną sumę pieniędzy. Krążyły wtedy jakieś obrzydliwe historie, mające seksualny podtekst, ale było to w czasach – dodał, popijając whisky – kiedy ludziom wydawało się, że pewne sprawy związane z seksem mogą być obrzydliwe. Uprzedzę twoje pytanie i od razu powiem, że nie mam pojęcia, o co chodziło z tym seksem.

– A gdybyś wiedział, powiedziałbyś nam? – zapytał Brunetti.

Padovani wzruszył ramionami.

– Przejdźmy do spraw zawodowych. Wellauer notorycznie uprawiał seksualny szantaż. Weź byle jaką listę sopranów i mezzosopranów, które śpiewały pod jego batutą, a wyrobisz sobie pojęcie: bystre, młode, nikomu nieznanne osobki raptem występują jako Tosca czy Dorabella i równie nagle znikają. Wellauer był na tyle dobry, że tolerowano te sprawy. A poza tym większość ludzi i tak nie dostrzega różnicy między wielkim śpiewem i poprawnym śpiewem, więc niewielu to zauważyło i nic wielkiego się nie stało. Muszę mu przyznać, że zawsze dobierał śpiewaczki, które śpiewały poprawnie. Kilka z nich zostało nawet wielkimi śpiewaczkami, ale prawdopodobnie tak by się stało i bez jego pomocy.

Brunetti nie uważał, że takie powody wystarczają do popełnienia morderstwa.

– Ale liczba tych, którym pomógł zrobić karierę, jest zapewne równa liczbie tych, którym ją złamał, zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn o szczególnych skłonnościach i – dodał, popijając whisky – kobiet o podobnych gustach. Świętej pamięci maestro nie był w stanie uwierzyć, że są kobiety, dla których jest nieatrakcyjny. Gdybym był na twoim miejscu, zainteresowałbym się aspektem seksualnym jego życia. Może nie przyniesie to rozwiązania, którego szukasz, ale będzie dobrym punktem wyjścia. A to – wyciągnął rękę, w której trzymał szklanę, i wskazał ogromny telewizor stojący przed nimi – być może jest tylko reakcją na nadmierną presję tamtego.

Zdając sobie sprawę, że jego informacje są niezadowalające, powiedział:

– We Włoszech są przynajmniej trzy osoby, które miały istotne powody, by go nienawidzić. Ale żadna z nich nie byłaby w stanie mu zaszkodzić. Pierwsza to chórzysta w operze w Bari. Miał szansę zrobić karierę jako baryton w operach Verdiego, gdyby w tych okropnych latach sześćdziesiątych nie popełnił błędu i nie zwierzył się Wellauerowi ze swych seksualnych skłonności. Podobno nawet przystawiał się do niego, ale trudno mi uwierzyć, że można być aż tak głupim. To pewno bajka. W każdym razie mówi się, że maestro wspomniał o nim zaprzyjaźnionemu felietoniście, co dało początek serii artykułów. Na skutek tego człowiek śpiewa teraz w Bari. W chórze.

– Drugi uczy teorii muzyki w konserwatorium w Palermo – ciągnął Padovani. – Nie wiem, co między nimi zaszło, ale jakieś dziesięć lat temu występował jako dyrygent i miał dobrą prasę. Potem przez kilka miesięcy ukazywały się same druzgocące recenzje z jego występów i tak zakończył karierę. Muszę przyznać, że te informacje nie pochodzą z pierwszej ręki, ale gdy była mowa o tych artykułach, padało nazwisko Wellauera. Trzecia osoba pozostała w mojej plotkarskiej pamięci jedynie jako mgliste wspomnienie, ale chodzi o kogoś, kto podobno mieszka tutaj. – Widząc zdumione spojrzenia, poprawił się: – Nie, nie tutaj, w pałacu. W Wenecji. Ale ona nie byłaby w stanie czegokolwiek zrobić, gdyż ma chyba z osiemdziesiąt lat i podobno żyje jak pustelnica. Nie jestem nawet pewny, na ile prawdziwa jest ta historia i czy dobrze ją zapamiętałem.

Widząc spojrzenie Paoli, uniósł szklankę gwoli wyjaśnienia i powiedział:

– Gorzałka. Niszczy szare komórki. A może je pożera. – Zakołysał płynem w szklance i przypatrywał się drobnym falom, czekając na przyływ wspomnień.

– Powiem wam to, co pamiętam, a przynajmniej tak mi się wydaje. Ta kobieta nazywa się Clemenza Santina. – Zauważywszy, że to nazwisko żadnemu z nich nic nie mówi, wyjaśnił: – Była jedną z najsłynniejszych sopranistek tuż przed wybuchem wojny. Przydarzyło się jej to samo, co Rosie Ponselle w Ameryce – odkryto ją, gdy razem z dwiema siostrami występowała w teatrze rewiowym, i po kilku miesiącach już śpiewała w La Scali. Miała ten naturalny, doskonały głos, który spotyka się kilka razy na sto lat. Ale nigdy niczego nie nagrała, więc znamy ją jedynie ze wspomnień ludzi, którzy ją słyszeli, i z tego, co zapamiętali. – Widząc narastające zniecierpliwienie Paoli i Brunettiego, zmusił się do podjęcia głównego wątku. – Coś tam było między nią i Wellauerem, a może między nim i którąś z siostr. Nie pamiętam, o co chodziło i kto mi to opowiadał, ale ona chyba próbowała go zabić albo groziła, że to zrobi. – Zamachał szklanką w powietrzu i Brunetti uprzytomnił sobie, że Padovani jest już dobrze wstawiony. – W każdym razie mam wrażenie, że ktoś został zabity albo umarł, albo tylko padały takie groźby. Może jutro sobie przypomnę. A może to nieważne.

– Dlaczego pomyślałeś o niej? – zapytał Brunetti.

– Ponieważ śpiewała partię Violetty pod jego batutą. Przed wojną. Rozmawiałem z kimś... kto to był?... kto powiedział mi, że niedawno chciał zrobić z nią wywiad. Niech się chwilę zastanowię. – Zajrzał do szklanki i wróciła mu pamięć. – Już wiem: Narciso. Pisał artykuł o wielkich śpiewaczkach dawnych czasów. Poszedł do niej, ale nie chciała z nim rozmawiać. Potraktowała go bardzo nieprzyjemnie, nawet nie otworzyła mu drzwi – tak chyba mi mówił. A potem opowiedział mi tę przedwojenną historię o niej i o Wellauerze. To chyba działo się w Rzymie.

– Czy mówił, gdzie ona mieszka?

– Nie. Ale jutro rano mogę do niego zadzwonić i się dowiedzieć.

Albo alkohol, albo słabnąca rozmowa spowodowała, że na oczach Brunettiego gasła iskra w Padovanim. Jego fircykowatość powoli zniknęła i stał się brodatym i lekko już brzuchatym mężczyzną w średnim wieku, który siedzi z podwiniętymi nogami na fotelu i pokazuje kawałek łydki nad obrębem czarnych jedwabnych skarpetek. Paola wyglądała na zmęczoną, a może po prostu miała dość silenia się na studenckie żarty i przekomarzenia z dawnym kolegą ze studiów. Brunetti czuł, że osiągnął pewien etap odurzenia alkoholowego, kiedy to albo będzie pił dalej i wkrótce będzie kołowy i zadowolony, albo przestanie pić i równie szybko wytrzeźwieje i posmutnieje. Wybierając tę drugą ewentualność, postawił szklankę na podłodze pod fotelem, przekonany, że ktoś ze służby będzie się kręcił po domu i do rana ją znajdzie.

Paola też odstawiła szklankę i przesunęła się na skraj fotela. Spojrzała na Padovanię, czekając, by się ruszył, ale on machnął tylko ręką i sięgnął po stojącą na stole butelkę. Nalał sobie dużego drinka i powiedział:

– Wykończę ją, a potem wrócę na bankiet.

Brunettiemu przyszło na myśl, czy nie jest on równie znudzony sileniem się na błyskotliwą rozmowę jak Paola. Wszyscy troje wymienili kilka dowcipnych, choć pustych słów na pożegnanie, a Padovani obiecał zadzwonić następnego dnia, jeśli dowie się, gdzie mieszka sopranistka.

Paola poprowadziła Brunettiego przez labirynt pałacowych korytarzy, z powrotem do światła i muzyki. Gdy weszli do wielkiej sali, zauważyli, że przybyło wielu nowych gości, a natężenie muzyki wzmogło się wraz z narastającym szumem rozmów.

Brunetti rozejrzał się wokoło, przeczuwając, że zaraz ogarnie go znużenie na widok tych eleganckich, dobrze odżywionych i elokwentnych ludzi. Wyczuł, że Paola domyśliła się, co czuje, i ma zamiar zaproponować mu, by opuścili przyjęcie. Nagle zauważył znajomą osobę. Przy barze, z kieliszkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej, stała lekarka, która pierwsza zbadła Wellauera i stwierdziła zgon. Wtedy, w teatrze, Brunettiego zastanowiło, jak ktoś, kto nosi dżinsy, może znaleźć się wśród operowej publiczności siedzącej na parterze. Tego wieczoru też była podobnie ubrana: w szare spodnie i czarny żakiet. Brunetti aż nie mógł uwierzyć, że są Włoszki tak wyraźnie niezainteresowane swoim wyglądem.

Powiedział Paoli, że dostrzegł kogoś, z kim chciałby porozmawiać, na co ona odparła, że spróbuje poszukać swoich rodziców, żeby podziękować im za zaproszenie na przyjęcie. Rozdzielili się i Brunetti ruszył przez salę w stronę lekarki, usiłując przypomnieć sobie jej nazwisko. Lekarka nie kryła, że go poznaje i pamięta, kim jest.

– Dobry wieczór, panie *commissario* – powiedziała, gdy znalazł się przy niej.

– Dobry wieczór, pani doktor – odparł, po czym dodał: – Mam na imię Guido – uznając, że formalnościom stało się zadość.

– A ja Barbara.

– Jakże małe jest to miasto. – To banalne stwierdzenie pozwoliło mu, człowiekowi stosującemu się do wymogów etykiety, uniknąć w rozmowie z nią konieczności wyboru między formalnym *lei* i potocznym *tu*.

– Prędzej czy później wszyscy zawrą ze sobą znajomość – przytaknęła, z równą zręcznością obierając tę samą taktykę.

Brunetti doszedł do wniosku, że lepiej będzie pozostać przy formalnym *lei*, i powiedział:

– Przepraszam, *signora* Barbara, że wcześniej nie podziękowałem pani za pomoc udzieloną tamtego wieczoru.

Potraktowała to obojętnie i spytała:

– Czy moja diagnoza była trafna?

– Tak – odparł, zdziwiony, że tego nie wie, choć pisały o tym wszystkie gazety w kraju. – Trucizna była w kawie, jak pani powiedziała.

– Tak przypuszczałam. Ale muszę się przyznać, że rozpoznałam ten zapach tylko dzięki książkom Agathy Christie.

– Ja też. Po raz pierwszy stykam się z nim w prawdziwym życiu. – Oboje puścili mimo uszu niezręczność tego ostatniego wyrażenia.

Lekarka zgasiła papierosa w doniczce z palmą, wielką jak drzewko pomarańczowe.

– Jak można zdobyć cyjanek?

– O to samo chciałem zapytać panią.

Zastanowiła się chwilę, zanim rzuciła kilka możliwości.

– Może w aptece albo w laboratorium. Ale jestem przekonana, że jest to substancja podlegająca ścisłej kontroli.

– I tak, i nie.

Jako Włoszka natychmiast zrozumiała, co miał na myśli.

– Może zniknąć i nikt nie zapisze tego w raporcie ani nawet nie zauważy?

– Tak sędzę. Jeden z moich ludzi sprawdza miejskie apteki, ale nie zdołamy skontrolować wszystkich fabryk w Margherze czy Mestre.

– Cyjanek jest wykorzystywany przy wywoływaniu klisz filmowych, prawda?

– Tak. I w przemyśle petrochemicznym.

– W Margherze jest tego tyle, że pana człowiek będzie miał pełne ręce roboty.

– Obawiam się, że przez wiele dni.

Widząc, że lekarka ma pusty kieliszek, Brunetti spytał, czy nie napiłaby się czegoś.

– Nie, dziękuję – odparta. – Jak na jeden wieczór wypiałam już dość szampana hrabiego.

– Czy pani bywała tutaj przy innych okazjach? – spytał szczerze zaciekawiony.

– Tak, kilkakrotnie. Hrabia zawsze mnie zaprasza. Jeśli tylko mam czas, chętnie tu przychodzę.

– Dlaczego? – Pytanie wymknęło mu się z ust, zanim zdążył pomyśleć.

– On jest moim pacjentem.

– Pani jest jego lekarką? – Brunetti nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Roześmiała się. Co więcej, jej rozbawienie było całkowicie naturalne i nie sprawiała wrażenia, że poczuła się dotknięta jego reakcją.

– Skoro on jest moim pacjentem, to logiczne, że jestem jego lekarką. – Łagodniejszym już tonem wyjaśniła: – Mój gabinet znajduje się po drugiej stronie placu. Początkowo leczyłam służbę, ale jakiś rok temu, gdy mnie tu wezwano, poznałam hrabiego i zaczęliśmy rozmawiać.

– O czym? – Brunetti nie posiadał się ze zdumienia na myśl, że hrabia jest w stanie zająć się czymś tak przyziemnym jak zwykła rozmowa, i to z osobą tak skromną jak ta młoda kobieta.

– Podczas pierwszego spotkania rozmawialiśmy o służącym, który był chory na gripę. Ale potem rozmowa jakoś zesłała na grecką poezję, a z tego wywiązała się dyskusja – jeśli dobrze pamiętam – o greckich i rzymskich historykach. Hrabia bardzo lubi Tukidydesa. Ponieważ chodziłam do klasycznego gimnazjum, mogłam rozmawiać z nim na te tematy i nie zbłąźnić się. Hrabia wyciągnął z tego wniosek, że jestem dobrą lekarką. Teraz dość często przychodzi do mnie do gabinetu i rozmawiamy o Tukidydesie i o Strabonie. – Oparła się o ścianę i skrzyżowała nogi w kostkach. – Bardzo przypomina innych moich pacjentów. Większość z nich przychodzi, żeby porozmawiać o chorobach, których nie mają, i o bólach, których nie odczuwają. Rozmowy z hrabią są ciekawsze, ale tak naprawdę niewiele się

różnią od rozmów z pozostałymi pacjentami. Jest samotnym, starym człowiekiem, jak tamci, i chce z kimś porozmawiać.

Ta opinia o hrabim tak zdumiała Brunettiego, że nie mógł wydusić z siebie słowa. Samotny? Człowiek, który bierze za słuchawkę i łamie tajemnice szwajcarskiego banku? Człowiek, który zna treść testamentu, zanim zmarły zostanie pogrzebany? Tak samotny, że idzie do swojego lekarza, żeby porozmawiać o greckich historykach?

– Czasem mówi też o panu – ciągnęła lekarka. – O was wszystkich.

– Naprawdę?

– Tak. I nosi w portfelu wasze zdjęcia. Pokazywał mi je wiele razy. Pana, żony, dzieci.

– Dlaczego pani mi o tym mówi?

– Jak już wspominałam, jest samotnym, starym człowiekiem. Na dodatek moim pacjentem. I dlatego staram się robić wszystko, co tylko mogę, żeby mu pomóc.

Widząc, że Brunetti chce zaprotestować, dodała:

– Robić wszystko, co, jak sądzę, może mu pomóc.

– *Dottoressa*, czy ma pani w zwyczaju przyjmować prywatnych pacjentów?

Nawet jeśli lekarka wiedziała, do czego Brunetti zmierza, zadając takie pytanie, nie dała tego po sobie poznać.

– Większość moich pacjentów posiada ubezpieczenie społeczne.

– Ilu ma pani prywatnych pacjentów?

– To nie pana sprawa, komisarzu.

– Chyba tak. To nie moja sprawa – przyznał. – A odpowie pani na pytanie dotyczące pani poglądów politycznych? – We Włoszech zadanie tego pytania było sensowne, ponieważ partie polityczne jeszcze nie stały się podobne do siebie jak dwie krople wody.

– Oczywiście, że jestem komunistką, nawet po zmianie nazwy.

– I mimo to zgadza się pani być lekarką jednego z najbogatszych ludzi w Wenecji? Może w całych Włoszech?

– Oczywiście. Dlaczego miałabym go nie leczyć?

– Już powiedziałem. Ponieważ jest bardzo bogatym człowiekiem.

– Co to ma wspólnego z faktem, że zgodziłam się być jego lekarzem?

– Sądziłem, że...

– Ze nie powinnam się na to zgodzić, ponieważ jest bogaty i stać go na lepszego lekarza? Czy to miał pan na myśli, *commissario*? – zapytała nie kryjąc, że ją rozzłościł. – Pana słowa są dla mnie nie tylko obraźliwe, ale wskazują również, że pana wyobrażenie o tym świecie jest dość uproszczone. Ani jedno, ani drugie nie jest dla mnie zaskoczeniem. – Ta ostatnia uwaga kazała Brunettiemu zastanowić się, co też hrabia mógł jej o nim powiedzieć.

Miał wrażenie, że cała ta rozmowa wymknęła się mu spod kontroli. Wcale nie chciał obrazić tej kobiety ani nie chciał powiedzieć, że hrabia może sobie znaleźć lepszego lekarza. Był jedynie zaskoczony, że ta lekarka przyjęła go jako swojego pacjenta.

– *Dottoressa*, bardzo proszę – powiedział, wyciągając rękę. – Bardzo panią przepraszam, ale mój świat zawodowy jest dość uproszczony. Są w nim dobrzy ludzie... – Ponieważ dalej go słuchała, ośmielił się dodać z uśmiechem: – Tacy jak my. – Lekarka wykazała tyle taktu, że na jego uśmiech odpowiedziała uśmiechem. – I są ludzie, którzy łamią prawo.

– Ach tak – odparła, pokazując, że jej złość bynajmniej nie minęła. – I to upoważnia nas do dzielenia świata na dwie części: na tę, w której żyjemy, i na resztę? A ja mam leczyć tych, którzy podzielają moje poglądy polityczne, i pozwolić, by reszta umarła? To, co pan mówi, kojarzy mi się z filmem kowbojskim – są dobrzy faceci i gwałciciele prawa, a my zawsze potrafimy bez najmniejszego trudu ich rozróżnić.

Chcąc się jakoś obronić, wtrącił:

– Nie powiedziałem, jakie łamią prawo, ale tylko tyle, że je łamią.

– Przecież w pana wyobrażeniu o tym świecie jest tylko jedno prawo – prawo państwowe. – W jej głosie wyczuwało się wyraźną pogardę. Brunetti miał nadzieję, że jest to pogarda dla prawa państwowego, a nie dla niego.

– Nie zgodziłbym się z tym – powiedział.

Z desperacją uniosła w górę ręce.

– Jeśli teraz zamierza pan ściągnąć tego biednego, starego Boga z jego tronu w niebiesiech i włączyć go do tej rozmowy, będę musiała przynieść sobie szampana.

– Ja to zrobię – odparł Brunetti i wziął od niej kieliszek. Zaraz wrócił z pełnym kieliszkiem szampana, a sobie przyniósł wodę mineralną. Wzięła od niego kieliszek i podziękowała mu z całkowicie przyjaznym i normalnym uśmiechem.

Wypiła łyk i spytała:

– A jak wygląda to pana prawo? – Powiedziała to bez cienia złośliwości i z tak autentycznym zainteresowaniem, że ostatnia wymiana zdań między nimi poszła w niepamięć. Po obu stronach, uprzytomnił sobie Brunetti.

– To jasne, że nasze prawo jest niedostateczne – odparł, sam zdziwiony swoimi słowami, albowiem cała jego kariera zawodowa miała na celu obronę właśnie tego prawa. – Potrzebujemy bardziej ludzkiego... a może bardziej humanitarnego prawa. – Przerwał, gdy zdał sobie sprawę, jak głupio się czuje, mówiąc to, i co gorsza, rzeczywiście tak myśląc.

– Cudowna wizja – stwierdziła uprzejmie, co wzbudziło w nim natychmiastowe podejrzenia. – Tylko czy nie kłóciłaby się z pana pracą zawodową? Przecież polega ona na narzucaniu innego prawa – prawa państwowego.

– Tak naprawdę one się nie różnią. – Uprzytomnił sobie, że zabrzmiało to nieprzekonująco i głupio, i zaraz dodał: – Zazwyczaj tak jest.

– Ale nie zawsze?

– Nie, nie zawsze.

– A co się dzieje w sytuacji, gdy tak nie jest?

– Staram się dostrzec punkt, w którym się przecinają, są zbieżne.

– A jeśli się nie przecinają i nie są zbieżne?

– Robię to, co muszę.

Wybuchnęła tak spontanicznym śmiechem, że też się roześmiał, zdając sobie sprawę, że jego stwierdzenie zabrzmiało jak kwestia Johna Wayne'a, który szykuje się na rozstrzygający pojedynek.

– Przepraszam, że tak znęcałam się nad panem. Mówię to szczerze. Nie wiem, czy to pana pocieszy, ale lekarze też dokonują podobnych wyborów, choć nie tak często, między tym, co ich zdaniem jest słuszne, a tym, co nakazuje prawo.

Na szczęście dla niego, a właściwie dla nich obojga, tę trudną rozmowę przerwała Paola, która podeszła i spytała go, czy szykuje się do wyjścia.

– Paola – powiedział, chcąc przedstawić ją swej rozmówczyni i sądząc, że ma dla żony niespodziankę. – To jest lekarka twojego ojca.

– O, Barbara! – zawołała Paola. – Jak się cieszę z tego spotkania. Ojciec bez przerwy o tobie opowiada. Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać.

Brunetti obserwował je i przysłuchiwał się ich rozmowie, zdumiony, z jaką łatwością kobiety potrafią okazywać sobie sympatię i duże zaufanie już od pierwszego spotkania. Te dwie kobiety łączyła troska o człowieka, który zawsze wydawał mu się chłodny i pełen rezerwy, i rozmawiały ze sobą tak, jakby się znały od lat. Nie dokonywały surowej oceny swych postaw moralnych, tak jak to dało się wyczuć w jego rozmowie z lekarką. W jednej chwili oszacowały się i natychmiast doszły do przekonania, że się lubią. Brunetti często obserwował takie sytuacje, ale dręczyła go obawa, że nigdy nie zdoła ich zrozumieć. I on potrafił szybko zaprzyjaźnić się z drugim mężczyzną, ale wynikające z tego poczucie bliskości było dość powierzchowne. Natomiast bliskość, której teraz był świadkiem, sięgała dużo głębiej i zatrzymywała się w jakichś centralnych rejonach – a tak naprawdę nie zatrzymywała się, lecz gromadziła tam, by można było odwołać się do niej przy następnym spotkaniu.

Dopiero gdy zaczęły rozmawiać na temat Raffaelego, jedynego wnuka hrabiego, przypomniały sobie o Brunettim. Widząc, jak niespokojnie prze-

biera nogami, Paola domyśliła się, że jest zmęczony i chce pójść do domu. Powiedziała więc:

– Przepraszam, Barbaro, że zaprzątam ci głowę tą sprawą. Teraz będziesz przejmować się kłopotami przedstawicieli dwóch pokoleń, a nie tylko jednego.

– Nic nie szkodzi. Dobrze jest mieć różnorakie spojrzenie na dzieci. Hrabia ciągle się o nie zamartwia. Ale jest z was obojga bardzo dumny.

Dopiero po chwili Brunetti zdał sobie sprawę, że miała na myśli Paolę i jego. Kto by przypuszczał, że będzie to wieczór takich zadziwiających odkryć.

Nie zauważył, jak doszło do tego, iż obie kobiety uznały, że nadszedł czas, by rozejść się do domów. Lekarka postawiła kieliszek na stoliku obok, a Paola w tej samej chwili wzięła męża pod ramię. Pożegnali się i Brunetti po raz kolejny zauważył ze zdziwieniem, że lekarka okazuje dużo więcej ciepła Paoli niż jemu.

Rozdział 13

Los tak chciał, że następnego ranka, „o ósmej”, na biurku Patty miał leżeć pierwszy raport Brunettiego. Ale okazało się, że to polecenie nie zostanie wypełnione, ponieważ gdy komisarz obudził się i spojrzął na zegarek, wskazówki wskazywały ósmą piętnaście.

Pół godziny później, bardziej już przypominając człowieka, wszedł do kuchni i zastał tam Paolę, która czytała „L’Unita” – co uprzytomniło mu, że jest wtorek. Z niezrozumiałych dla niego powodów Paola czytała każdego dnia inną gazetę, ogarniając w ten sposób całe polityczne spektrum, od prawa do lewa, w językach angielskim i francuskim. Lata temu, gdy ją dopiero poznał i znał dużo mniej niż dziś, zapytał ją, dlaczego tak robi. Jej odpowiedź – jak stwierdził wiele lat później – była całkowicie sensowna. Chcę zobaczyć, na ile różnych sposobów można powiedzieć to samo kłamstwo, odparła. Wszystko, co od tamtego czasu przeczytał, jedynie potwierdzało jej nastawienie. Jednego dnia kłamali komuniści, następnego dnia przychodziła kolej na chrześcijańskich demokratów.

Pochylił się i pocałował ją w kark. Mruknęła coś, ale była zbyt zajęta, by podnieść głowę. W milczeniu wskazała ręką na lewo, gdzie na blacie stał talerz ze świeżymi bułkami maślanymi. Gdy przewróciła stronę, Brunetti nalał sobie kawy, wsypał trzy łyżeczki cukru i usiadł naprzeciw niej.

– Coś się wydarzyło? – zapytał, jedząc bułkę.

– Tak jakby. Już nie mamy tego samego rządu co wczoraj po południu. Prezydent stara się sformować nowy, ale wszystko wskazuje na to, że mu się nie uda. A rano w piekarni ludzie rozmawiali o tym, jak się oziębilo. Nic dziwnego, że mamy taki rząd: zasługujemy na niego. A może – dodała,

przyglądając się zdjęciu najnowszego premiera desygnowanego przez prezydenta – jednak nie zasługujemy. Nikt nie zasługuje na coś takiego.

– Co jeszcze? – spytał Brunetti, stosując się do uprawianego od dziesięciu lat rytuału. Dzięki temu nie musiał czytać gazet i wiedział, co się dzieje w świecie, a poza tym mógł się zorientować, w jakim nastroju jest żona.

– W przyszłym tygodniu strajk kolejarzy, jako protest przeciwko zwolnieniu z pracy ich kolegi, maszynisty, który upił się i wpadł na drugi pociąg. Ludzie, którzy z nim pracowali, od miesiący składali na niego skargi, ale nikt ich nie słuchał. W rezultacie trzy osoby poniosły śmierć. A teraz ci sami ludzie, którzy składali na niego skargi, grożą strajkiem, ponieważ został wyrzucony z pracy. – Przewróciła stronę. Brunetti wziął jeszcze jedną bułkę. – Kolejne groźby ataków terrorystycznych. Może to powstrzyma najazd turystów. – Znowu przewróciła stronę. – Recenzja z premiery w operze rzymskiej. Klapa. Beznadziejny dyrygent. Dami mówił mi wczoraj, że członkowie orkiestry narzekali na niego od tygodni, po każdej próbie, ale nikt ich nie słuchał. To zrozumiałe. Skoro nikt nie słucha motorniczych pociągów, to dlaczego ktokolwiek miałby słuchać muzyków, którzy muszą znosić złego dyrygenta podczas prób?

Brunetti postawił kubek na stole tak gwałtownym ruchem, że wylało się z niego trochę kawy. Jediną reakcją Paoli było to, że przysunęła do siebie gazetę.

– Co powiedziałaś?

– Proszę? – spytała, w ogóle go nie słysząc.

– Co powiedziałaś na temat tego dyrygenta?

Podniosła głowę, nie tyle w odpowiedzi na jego słowa, ile na ton głosu.

– Co?

– Co przed chwilą powiedziałaś o tym dyrygencie?

Jak każdego ranka, już zdążyła zapomnieć, co właśnie powiedziała. Wróciła do strony, na której zamieszczono artykuł, i spojrzała na niego.

– Aha, orkiestra. Gdyby ktoś wziął pod uwagę opinię muzyków, wiedziałby, że dyrygent jest kiepski. Przecież to oni najlepiej potrafią ocenić

muzyka, czyż nie tak?

– Paola – oświadczył Brunetti, odsuwając leżącą przed nią gazetę. – Gdybym nie był twoim mężem, rzuciłbym dla ciebie żonę.

Ucieszył się, widząc, że ją tak zaskoczył – rzadko mu się to udawało. Wyszedł, a ona siedziała zdziwiona, zerkając zza okularów do czytania, i zastanawiała się, co takiego zrobiła.

Brunetti zbiegł po dziewięćdziesięciu czterech stopniach, pełen energii, by rozpocząć pracę i wykonać kilka rozmów telefonicznych.

Gdy piętnaście minut później zjawił się w biurze, Patty jeszcze nie było. Podyktował więc sekretarce kilka zdań i polecił jej, by położyła kartkę na biurku przełożonego. Potem zadzwonił do redakcji „Il Gazzettino” i spytał, czy jest Salvatore Rezzonico, główny krytyk muzyczny. Powiedziano mu, że go nie ma, ale zapewne można go zastać albo w domu, albo w konserwatorium. Gdy wreszcie zastał go w domu i wyjaśnił, o co mu chodzi, Rezzonico zgodził się porozmawiać z nim później w konserwatorium, gdzie o jedenastej miał zajęcia. Następnie Brunetti zadzwonił do swojego dentysty, który kiedyś wspomniał mu, że jego kuzyn gra w orkiestrze La Fenice jako pierwszy skrzypek. Nazywał się Traverso. Brunetti zatelefonował do niego i umówił się na spotkanie tego samego wieczoru, przed przedstawieniem.

Pół godziny rozmawiał z Miottim, który niewiele dowiedział się od ludzi z teatru – tyle tylko, że jeden z chórzystów potwierdził uzyskaną poprzednio informację, iż Flavia Petrelli wchodziła do garderoby dyrygenta po pierwszym akcie. Poza tym Miotti skłonił wreszcie portiera, aby wyjaśnił mu powody jego antypatii do sopranistki: chodziło o to, że śpiewaczka jest jakoś związana z tą Amerykanką. To były wszystkie informacje, jakie uzyskał Miotti. Brunetti wysłał go do archiwum „Il Gazzettino”, aby dowiedział się czegoś o skandalu, w który był wmieszany maestro i pewna włoska śpiewaczka „w czasach przedwojennych”. Uciekł przed spojrzeniem Miottiego, które wyrażało zdziwienie tak nieprecyzyjnym określeniem czasu, i pocieszył policjanta, że być może w archiwum jest jakiś system katalogowania informacji, który ułatwi mu zadanie.

Odbywszy te rozmowy, Brunetti opuścił biuro i poszedł przez miasto do konserwatorium muzycznego, znajdującego się przy małym *campo* niedaleko mostu Accademia. Po długich poszukiwaniach znalazł na trzecim piętrze salę profesora, który czekał tam albo na niego, albo na swoich studentów.

Jak to się często zdarza w Wenecji, Brunetti poznał twarz profesora, gdyż wielokrotnie mijał go na ulicy, będąc w tej części miasta. Choć nigdy nie zamienili słowa, profesor powitał go serdecznie, dając do zrozumienia, że komisarz jest mu znajomy z tego samego powodu. Rezzonico był niskiego wzrostu, miał bladą twarz i pięknie wypielęgnowane paznokcie. Był starannie ogolony i nosił bardzo krótkie włosy; miał na sobie ciemnoszary garnitur i ciemny krawat, tak jakby chciał pokazać, że jest profesorem.

– W czym mogę panu pomóc, *commissario*? – zapytał, gdy Brunetti przedstawił się i usiadł przy jednym z wielu biurków w sali.

– Chciałbym porozmawiać o maistrze Wellauerze.

– Ach tak – odparł Rezzonico smutniejszym już głosem, czego można było się spodziewać. – Przykra strata dotknęła muzyczny świat. – I to powiedział człowiek, który napisał o nim pośmiertny artykuł, przeszło przez myśl Brunettiemu.

Odczekał stosowną chwilę i zadał kolejne pytanie:

– Czy zamierzał pan zamieścić w gazecie swoją recenzję z *Traviaty*, profesorze?

– Tak.

– Ale ona nigdy się nie ukazała?

– Nie, ponieważ doszliśmy do wniosku... to znaczy redaktor naczelny doszedł do wniosku... że przez wzgląd na maestra oraz to, że spektakl nie został dokończony, poczekamy na występ nowego dyrygenta i zamieścimy recenzję z przedstawienia pod jego batutą.

– I napisał pan tę nową recenzję?

– Tak, ukazała się dziś rano.

– Przepraszam, profesorze, ale jeszcze nie zdążyłem jej przeczytać. Czy była przychylna?

– W zasadzie tak. Śpiewacy są dobrzy, a Petrelli jest doskonała. Prawdopodobnie to jedyna prawdziwa sopranistka, jaką obecnie mamy, która potrafi śpiewać Verdiego. Tenor jest gorszy, ale to młody człowiek i sędzę, że jego głos jeszcze się rozwinie.

– A dyrygent?

– Wspomniałem o tym w recenzji. W takich okolicznościach każdy nowy dyrygent miałby wyjątkowo trudne zadanie. Niełatwo dyrygować orkiestrą, z którą ktoś inny prowadził próby.

– Tak, rozumiem.

– Ale zważywszy na wszystkie trudności, jakie napotkał – ciągnął profesor – dał sobie doskonale radę. To bardzo utalentowany młody człowiek i chyba darzy Verdiego głębokim uczuciem.

– A maestro Wellauer?

– Nie rozumiem.

– Gdyby napisał pan recenzję z premiery, z tej części spektaklu, którą poprowadził Wellauer, to co by pan napisał?

– O przedstawieniu w całości czy o Wellauerze?

– I o jednym, i o drugim.

Profesor był niewątpliwie zakłopotany tym pytaniem.

– Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Po śmierci Wellauera już nie musiałem się nad tym zastanawiać.

– Ale gdyby wtedy napisał pan tę recenzję, co by pan powiedział o jego występie?

Profesor przechylił się w tył razem z krzesłem i założył ręce za głowę – dokładnie tak, jak robili to profesorowie Brunettiego. Siedział w tej pozycji przez dłuższy czas, rozważając pytanie, a potem z trzaskiem opuścił krzesło na podłogę.

– Obawiam się, że napisałbym zupełnie inną recenzję.

– Pod jakim względem inną, profesorze?

– O śpiewakach napisałbym to samo. Pani Petrelli jest zawsze wspaniała. Tenor śpiewał dobrze, ale – jak już mówiłem – gdy nabędzie więcej doświadczenia scenicznego, z pewnością stanie się jeszcze lepszy. W dniu premiery śpiewali mniej więcej tak samo, ale efekt był inny. – Widząc, że Brunetti niewiele z tego rozumie, spróbował wyrazić się jaśniej: – Widzi pan, muszę wymazać z pamięci tyle lat jego kariery. Tego wieczoru trudno mi było słuchać muzyki i oddzielić wspomnienia jego genialnych wykonań od tego, co wtedy słyszałem. Postaram się wyjaśnić to panu inaczej. Podczas przedstawienia to dyrygent spaja wszystkie elementy – musi uważać, aby śpiewacy utrzymywali właściwe tempo, aby orkiestra ich wspierała, aby wejścia następowały w odpowiednim momencie, aby wszyscy ze sobą współpracowali. Musi także pilnować, żeby orkiestra nie grała zbyt głośno, żeby crescendo narastały i tworzyły dramatyczne efekty, a jednocześnie nie zagłuszały śpiewaków. Kiedy tak się zdarzy, dyrygent może uciszyć muzyków, wykonując gest ręką lub przykładając palec do ust. – Profesor pokazał ten gest, który Brunetti zauważył na wielu koncertach i przedstawieniach operowych. – I w każdej chwili musi nad wszystkim panować: nad chórem, śpiewakami, orkiestrą – utrzymywać między nimi doskonałą harmonię. Jeśli nie potrafi tego zrobić, całe przedstawienie się rozsypuje – publiczność słyszy poszczególne elementy, a nie całość, którą stanowi opera.

– A jak było tamtego wieczoru, kiedy umarł maestro?

– Nie panował nad całością. Chwilami orkiestra grała tak głośno, że nie słyszałem śpiewaków – i jestem przekonany, że i oni nie słyszeli się nawzajem. Były też takie chwile, gdy orkiestra grała za szybko i śpiewacy z trudem nadążali za muzykami. Albo na odwrót.

– Czy ktoś na sali zdawał sobie z tego sprawę, profesorze?

Rezzonico uniósł brwi i prychnął z niesmakiem.

– Nie wiem, jak dobrze zna pan wenecką publiczność, *commissario*, ale w najbardziej pochlebnych słowach można powiedzieć, że to efekciarze. Nie chodzą do opery po to, żeby posłuchać muzyki czy pięknego śpiewu. Idą tam, żeby popisać się nowymi strojami i pokazać się znajomym, którzy

przyszli z tych samych co oni powodów. Gdyby pan ściągnął jakąś kapekę z miasteczka na Sycylii, posadził ją w kanale dla orkiestry i kazał jej grać, nikt na widowni nie zauważyłby różnicy. Gwarancją sukcesu przedstawienia są bogate kostiumy i wystawna scenografia. Jeśli gramy współczesną operę albo zapraszamy zagranicznych śpiewaków, możemy mieć pewność, że zrobimy klapę. – Profesor uprzytomnił sobie, że wygłasza przemowę, zniżył więc głos i dodał: – Wracając do pańskiego pytania: wątpię, czy wiele osób na sali zdawało sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– A krytycy?

Profesor znowu prychnął.

– Wyłączając Narcisa, który pisze dla „La Repubblica”, żaden z nich nie ma wykształcenia muzycznego. Niektórzy chodzą tylko na próby, a potem piszą recenzje. Są i tacy, którzy nawet nie potrafią czytać nut. Nie są w stanie wydać żadnego osądu.

– Co pana zdaniem mogło być przyczyną niepowodzenia Wellauera, jeśli można tak to nazwać?

– Cokolwiek. Zły dzień. Był już przecież starym człowiekiem. Może był przygnębiony czymś, co się zdarzyło przed przedstawieniem. Albo – może zabrzmiało to śmiesznie – miał niestrawność. Powody mogły być rozmaite, ale jasne jest to, że tamtego wieczoru nie panował nad muzyką. Wymknęła mu się, muzycy robili to, co chcieli, a śpiewacy starali się podążać za nimi. Dyrygent nie panował nad sytuacją.

– Czy zauważył pan coś jeszcze, profesorze?

– W związku z muzyką?

– Tak, albo cokolwiek innego.

Rezzonico zamyślił się, tym razem splatając ręce na brzuchu. W końcu powiedział:

– To zapewne zabrzmiało dziwnie. Dla mnie samego brzmi to dziwnie, ponieważ nie wiem, dlaczego nasuwa mi się takie przypuszczenie. Sądzę jednak, że on wiedział.

– Słucham?

– Sądzę, że Wellauer wiedział.

– O tym, co się dzieje? O tym, że nie panuje nad muzyką?

– Tak.

– Na jakiej podstawie tak pan twierdzi, profesorze?

– W drugim akcie jest scena, kiedy Germont błaga Violetę, żeby wyrzekła się Alfreda. – Profesor obrzucił spojrzeniem Brunettiego, chcąc się zorientować, czy zna treść opery. Komisarz kiwnął głową i profesor kontynuował: – Po tej scenie zawsze padają gromkie brawa, zwłaszcza gdy śpiewacy są tak dobrzy jak Dardi i Petrelli. Śpiewacy byli dobrzy, więc nastąpiła długa owacja. Wtedy przyglądałem się Wellauerowi. Położył pałeczkę na pulpicie, a ja miałem osobliwe wrażenie, że chce odejść stamtąd, po prostu zejść z podium i wyjść. Może to widziałem, a może wyobraziłem sobie, ale wydawało mi się, że już zamierzał zrobić krok, gdy ucichły brawa i pierwsi skrzypkowie unieśli smyczki. Przedstawienie trwało dalej, ale wciąż mam wrażenie, że gdyby nie zauważył ruchu muzyków, po prostu odszedłby stamtąd.

– Czy spostrzegł to ktoś jeszcze?

– Nie wiem. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie mieli ochoty wypowiadać się o przedstawieniu, a jeśli już coś powiedzieli, to z ogromną ostrożnością. Siedziałem w pierwszym rzędzie łązy, po lewej stronie, więc dobrze go widziałem. Sądzę, że wszyscy patrzyli na śpiewaków. Potem, gdy ogłoszono, że nie może prowadzić spektaklu, przypuszczałem, że miał jakiś atak. Ale nie przyszło mi do głowy, że został zabity.

– Co mówili ci ludzie, z którymi pan rozmawiał?

– Jak już wspomniałem, wypowiadali się w wymijający sposób. Wiedzieli, że nie żyje, i unikali krytycznych wobec niego opinii. Ale parę osób z konserwatorium podzielało moje zdanie: byli rozczarowani przedstawieniem. To wszystko, co mówili.

– Czytałem pana artykuł o nim. Wyrażał się pan bardzo pochlebnie.

– Był jednym z największych muzyków tego wieku. Był geniuszem.

– Nie wspomniał pan o jego ostatnim występie.

– Nie można dyskwalifikować człowieka za to, że przytrafił mu się jeden zły dzień, *commissario*, zwłaszcza gdy ma za sobą tak wspaniałą karierę.

– Tak, oczywiście. Jeden zły dzień czy jeden zły uczynek nie przekreśla całego dorobku.

– Otóż to – przytaknął profesor i skierował swą uwagę na dwie młode kobiety, które weszły do pokoju, niosąc plik nut. – Pan wybaczy, *commissario*, ale schodzą się moi studenci i wkrótce rozpoczynam zajęcia.

– Naturalnie, *professore*. – Brunetti wstał i wyciągnął rękę. – Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas i okazał pomoc.

Profesor wymamrotał coś w odpowiedzi, już zajęty studentami. Brunetti opuścił pokój i wyszedł szerokimi schodami na Campo San Stefano.

Często przechodził przez ten plac i znał nie tylko ludzi, którzy tu pracowali – w barach i sklepach – ale także psy, które wałęsały się tu czy bawiły. W bladym słońcu wylegiwał się różowo-biały buldog, którego spłaszczony pysk zawsze wprawiał Brunettiego w niepokój. Opodal kręciło się też dziwaczne chińskie stworzenie, które kiedyś wyglądało jak bezkształtna masa futra, a wyrosło na zwierzę wyjątkowej brzydoty. Przed sklepem z ceramiką rozwaliał się czarny kundel, który potrafił przez cały dzień leżeć tam tak nieruchomo, że ludzie sądzili, iż jest jednym z przedmiotów wystawionych na sprzedaż.

Brunetti miał ochotę wypić kawę w Caffè Paolin. Stoliki stały jeszcze na zewnątrz, ale siedzieli przy nich wyłącznie cudzoziemcy, którzy koniecznie chcieli sobie wmówić, że jest dość ciepło, żeby na świeżym powietrzu wypić cappuccino. Rozsądni ludzie wchodzili do środka.

Brunetti wymienił pozdrowienia z barmanem, który miał dość taktu, by nie pytać o postępy w śledztwie. W mieście, w którym trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy, ludzie rozwijają w sobie umiejętność, by nie zadawać bezpośrednich pytań i nie komentować spraw nienależących do codziennych wydarzeń. Brunetti miał pewność, że niezależnie od tego, jak długo będzie ciągnęło się śledztwo, żaden barman, kioskarz czy kasjer w banku nie zagadnie go o tę sprawę.

Wypiwszy jednym haustem kawę z ekspresu, poczuł chęć do działania. Wcale nie miał ochoty na lunch, jak otaczający go ludzie, którzy w pośpiechu zmierzali do restauracji i barów. Zadzwoił do biura i dowiedział się, że telefonował pan Padovani i zostawił nazwisko i adres. Żadnej wiadomości, tylko nazwisko: Clemenza Santina – i adres: Corte Mosca, Giudecca.

Rozdział 14

Wyspa Giudecca stanowiła część Wenecji, w której Brunetti rzadko bywał. Widoczna z Piazza San Marco, a właściwie z całego południowego wybrzeża miasta, odległa od niego w niektórych miejscach zaledwie o sto metrów, mimo to żyła własnym życiem. Żenująco często pojawiały się w gazetach potworne historie o dzieciach pogryzionych tam przez szczury lub o ludziach, którzy zmarli z przedawkowania narkotyków. Nawet obecność zdetronizowanego monarchy czy gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych, będącej u schyłku sławy, nie zdołała rozbudzić w ludziach sympatii do tego ponurego i zaniedbanego rejonu miasta, gdzie działy się okropne rzeczy.

Brunetti, podobnie jak wielu mieszkańców Wenecji, zazwyczaj odwiedzał tę wyspę w lipcu, na święto Odkupiciela, kiedy to uroczyście obchodzono tam koniec plagi, która dotknęła miasto w 1576 roku. Przez dziesięć dni główna wyspa była połączona z Giudekką pontonowym mostem, umożliwiającym wiernym przejście do kościoła Odkupiciela, gdzie mogli wyrazić swą wdzięczność za jeszcze jedną boską interwencję, która w przeszłości wielokrotnie ocaliła albo oszczędziła miasto.

Lekko wzburzone fale rozbijały się o burtę tramwaju wodnego numer 8, gdy Brunetti stał na pokładzie, mając przed oczami piekielny widok przemysłowej miejscowości Marghera, gdzie z fabrycznych kominów wydobywały się gęste kłęby dymu, przepływającego powoli nad laguną i osiadającego na weneckich pałacach zbudowanych z białego marmuru z Istrii. Brunetti zastanawiał się, czy możliwe jest boskie orędownictwo, dzięki któremu zniknie warstwa ropy, tej współczesnej plagi, która pokrywa wody laguny i już doprowadziła do wyginięcia milionów krabów, w dzieciństwie dręczących go w koszmarnych snach. Czy możliwe jest nadejście takiego Odkupiciela, który zdejmie z miasta całun zielonawego dymu, stopniowo

nadającego marmurom wygląd bezy? Brunetti był człowiekiem małej wiary i nie potrafił wyobrazić sobie takiego wybawienia, pochodzącego czy to od Boga, czy od człowieka.

Wysiadł na przystanku Zittle, skręcił w lewo i szedł nabrzeżem, szukając wejścia do Corte Mosca. Po przeciwnej stronie kanału rozciągało się miasto, lśniące w bladym zimowym słońcu. Minął kościół, zamknięty, by Pan Bóg mógł odbyć popołudniową sjęstę, i tuż za nim dostrzegł wejście na dziedziniec. Wąskie, niskie i bardzo zacienione przejście cuchnęło kotami.

Na końcu kamiennego tunelu zobaczył skraj wybujałego ogrodu, który dziko porastał środek wewnętrznego dziedzińca. Po jednej stronie zwierzę podobne do kota wgryzało się w jakieś upierzone stworzenie. Na dźwięk jego kroków kot schował się pod krzakiem róży, ciągnąc za sobą ogryzane ptaka. Po drugiej stronie znajdowały się wypaczone drewniane drzwi. Przeszedł przez dziedziniec, od czasu do czasu uwalniając się od czepiających się ubrania kolców, i zapukał, a potem walnął w drzwi.

Po kilku minutach drzwi uchyliły się na szerokość dłoni i w szparze pojawiła się para oczu. Brunetti wyjaśnił, że szuka *signory* Santiny. Oczy bacznie mu się przyjrzały, zmrużone z niepewności, a potem trochę cofnęły w niezgłębioną ciemność panującą wewnątrz. Znając słabości podeszłego wieku, powtórzył pytanie, tym razem niemal krzycząc. Wtedy pod parą oczu rozwarła się szczelina i męski głos powiedział mu, że *signora* Santina mieszka po przeciwnej stronie dziedzińca.

Brunetti odwrócił się i spojrzał na drugą stronę ogrodu. Obok kamiennego przejścia znajdowały się niskie drzwi, niemal zakryte stosem gnijącej trawy i gałęzi. Gdy odwrócił się, by podziękować za informację, drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Ostrożnie przeszedł przez ogród i zapukał.

Tu musiał czekać jeszcze dłużej. Gdy drzwi się otworzyły, zobaczył parę oczu na tej samej wysokości co poprzednie i przyszło mu na myśl, czy ta istota nie zdołała jakoś przebiec do tej części budynku. Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że te oczy są jaśniejsze, a twarz niewątpliwie należy do kobiety, choć była tak samo jak tamta pokryta zmarszczkami i plamami po odmrożeniach.

– O co chodzi? – spytała kobieta, podnosząc na niego wzrok. Była drobną starowiną, zakutaną w swetry i szaliki. Spod najdłuższej spódnicy wyglądał chyba skraj flanelowej koszuli. Na nogach miała grube wełniane kapcie, takie same, jakie nosiła jego babka. Narzuciła na siebie męski płaszcz, który wisiał na niej, niezapięty na guziki.

– *Signora* Santina?

– Czego pan chce? – Głos był wysoki i ostry, jak u starców, i Brunetti nie mógł uwierzyć, że słyszy jedną z największych śpiewaczek przedwojennych czasów. W jej głosie kryła się również podejrzliwość, czy nie ma przed sobą przedstawiciela władzy, instynktowna u Włochów, zwłaszcza w podeszłym wieku. Znając powody tej podejrzliwości, Brunetti wołał odwlec chwilę, kiedy będzie musiał wyjawić, kim jest.

– *Signora* – powiedział, pochylając się w przód i mówiąc wyraźnie i donośnie. – Chciałbym porozmawiać z panią o maestrze Helmucie Wellauerze.

Wyraz jej twarzy nie wskazywał na to, by słyszała o śmierci maestra.

– Nie musi pan krzyczeć. Nie jestem głucha. Kim pan jest? Dziennikarzem, tak jak tamten?

– Nie, *signora*. Nie jestem dziennikarzem. Chciałbym porozmawiać z panią o maestrze. – Starannie dobierał teraz słowa, by wywołać pożądany efekt. – Wiem, że pani śpiewała pod jego batutą. W dniach pani chwały. – Słyszając to, obrzuciła go uważnym wzrokiem, który jakby nieco złagodniał.

Przyglądała się mu, usiłując rozpoznać w nim muzyka, mimo że miał tradycyjny granatowy krawat.

– Tak, śpiewałam pod jego batutą. Ale to było dawno temu.

– Wiem, *signora*. Byłbym zaszczycony, gdyby pani opowiedziała mi o swojej karierze.

– Zakładając, że będzie się to wiązać z jego karierą. Czy to chciał pan powiedzieć? – Wyraźnie dostrzegł, w którym momencie domyśliła się, kim jest. – Pan jest z policji, prawda? – spytała, tak jakby nie uderzyła jej ta

myśl, lecz zapach przybysza. Ściągnęła poły płaszcza i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Tak, *signora*, jestem policjantem, ale zawsze byłem pani wielbicielem.

– To dlaczego nie widziałam tu pana wcześniej? Kłamca z pana. – Powiedziała to gwoli wyjaśnienia, nie w złości. – Ale porozmawiam z panem. Jeśli tego nie zrobię, pan tu wróci z odpowiednimi papierami. – Raptownie odwróciła się i cofnęła w mrok mieszkania. – Niech pan wchodzi. Nie stać mnie na ogrzewanie całego dziedzińca.

Wszedł za nią i natychmiast poczuł, jak przenikają go wilgoć i chłód. Nie był pewien, czy jest to skutek raptownego zejścia ze słońca, ale w mieszkaniu było dużo zimniej niż na dziedzińcu. Szybko przecisnęła się obok niego i zatrzasnęła drzwi, całkowicie odcinając dopływ światła i wspomnienie ciepła. Nogą przesunęła grubą rulon flaneli, aby zasłonić wąską szczelinę pod drzwiami. Potem zamknęła drzwi na klucz, a następnie na zasuwkę. Mając w domu policjanta, zamknęła się na dwa zamki.

– Tędy – mruknęła i poszła długim korytarzem. Brunetti musiał zaczekać, aż oczy przyzwyczają się do mroku, i dopiero wtedy poszedł za nią wilgotnym przejściem, do małej, ciemnej kuchni, gdzie na środku stał starodawny grzejnik naftowy. Najniższy palnik ledwo migotał. Do grzejnika był przysunięty ciężki fotel, przykryty taką samą warstwą koców, jak kobieta warstwą swetrów.

– Pewno chce pan napić się kawy – powiedziała, zamykając drzwi do kuchni i znowu podsuwając zwinięte w rulon szmaty pod szparę.

– Byłbym pani bardzo wdzięczny – odparł Brunetti.

Wskazała mu krzesło z prostym oparciem, które stało naprzeciw niej. Brunetti przeszedł kilka kroków, by na nim usiąść, ale przedtem zauważył, że siedzenie z plecionej wikliny jest połamane albo przegryzione w wielu miejscach. Ostrożnie usiadł i rozejrzał się po kuchni. Dostrzegł oznaki skrajnej biedy: betonowy zlew z jednym tylko kranem, brak lodówki i kuchenki, ślady grzyba na ścianach. Wyczuł biedę bardziej węchem niż wzrokiem; w cuchnącym powietrzu unosił się smród kanalizacji, charakterystyczny dla weneckich mieszkań na parterze, zapach salami i sera, nieschło-

dzanego i leżącego bez opakowania na blacie; odróżnił te zapachy od ostrej woni niemytego ciała, która wydobywała się z koców i szalików przykrywających fotel starej kobiety.

Wykonując oszczędne ruchy, spowodowane wiekiem i ograniczoną przestrzenią, przelała kawę z ekspresu do małego garnka; utykając, podeszła do grzejnika i postawiła na nim garnek. Wolno podeszła z powrotem do betonowego blatu przy zlewie, skąd wzięła dwie wyszczerbione filiżanki i postawiła je na stole znajdującym się przy fotelu. Znowu podeszła do blatu i przyniosła małą kryształową cukierniczkę, na środku której znajdował się stożek brudnego, stwardniałego cukru. Włożyła palec do garnka, stwierdziła, że kawa ma odpowiednią temperaturę i wlała ją do filiżanek, z których jedną szorstkim ruchem przesunęła w stronę Brunettiego. Na koniec oblizała do czysta palec.

Pochyliła się, żeby odsunąć na bok przykrycie fotela, i wślizgnęła się pod nie tak, jakby wchodziła do łóżka. Koce automatycznie odpowiedziały na jej ruchy – zsunęły się z poręczy i oparcia fotela i przykryły ją.

Wyciągnęła rękę i bliżej przysunęła filiżankę z kawą. Brunetti dostrzegł zniekształcone artretyzmem stawy i tak bardzo powykręcane palce, że lewa dłoń przypominała niemal hak, z którego wystaje kciuk. Uprzytomnił sobie, że jej powolne ruchy również są wynikiem tej choroby. Gdy wilgoć i chłód zaczęły coraz silniej atakować jego ciało, zrozumiał, jak ta starszka musi czuć się w tym mieszkaniu.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, gdy kobieta przygotowywała kawę. Potem siedzieli przez chwilę w milczeniu, jakby znajdowali przyjemność we własnym towarzystwie, dopóki *signora* Santina nie zaproponowała, żeby posłodził sobie kawę.

Nic nie wskazywało na to, że zamierza wydostać się spod koców, wobec tego Brunetti wziął łyżeczkę, jedyną na stole, i odłupał kawałek cukru.

– Pani pozwoli – powiedział, po czym włożył cukier do jej filiżanki i zamieszał kawę. Odłupał drugi kawałek i włożył do swojej filiżanki; twarda bryłka opadła na dno i nie rozpuściła się. Wypił łyk gęstego, letniego i zabójczego płynu. Kawałek cukru uderzył go w zęby i wcale nie poprawił

cierpkiego smaku kawy. Wypił następny łyk i postawił filiżankę na stole. *Signora* Santina nie tknęła swojej kawy.

Oparł się plecami o tył krzesła i nie kryjąc ciekawości, rozejrzał się po pomieszczeniu. Gdyby spodziewał się zobaczyć oznaki kariery, równie błyskotliwej, co krótkiej, czekałoby go rozczarowanie. Na ścianach nie wisił ani jeden plakat z dawnych premier, ani jedno zdjęcie śpiewaczki w kostiumie. Jedynym wspomnieniem z przeszłości była zapewne duża portretowa fotografia w srebrnej ramie, która stała na odrapanym drewnianym sekretarzyku. Pokazywała trzy młode kobiety, właściwie jeszcze dziewczyny, które siedziały w sztywnych pozach, na krzesłach ustawionych w literę „V”, z uśmiechem spoglądając w obiektyw.

Dalej nie zwracając uwagi na stojącą przed nią kawę, *signora* Santina nagle zapytała:

– Co pan chce wiedzieć?

– Czy to prawda, że pani śpiewała pod jego batutą?

– Tak. Był to sezon 1937 roku. Ale nie tutaj.

– A gdzie?

– W Monachium.

– W jakiej operze?

– W *Don Giovannim*. Niemcy zawsze szaleli za tym, co ich własne. Austriacy też. Więc dawaliśmy im Mozarta. – Z lekkim i pogardliwym prychnięciem dodała: – No i Wagnera. Musieliśmy dać im Wagnera. On go uwielbiał.

– Kto? Wellauer?

– Nie. *L'imbianchino*. – Użyła słowa na określenie malarza pokojowego, wyrażając odczucia niegdyś podzielane przez miliony ludzi, którzy z ich powodu stracili życie.

– Czy maestro też lubił Wagnera?

– On lubił wszystko, co podobało się tamtemu – powiedziała z wyraźną pogardą. – Ale lubił go też dla niego samego. Lubiał Wagnera. On im się po-

dość, bo jest w nim tyle bolesnej zadumy. To do nich przemawia. Moim zdaniem oni lubują się w cierpieniu. Własnym i cudzym.

Brunetti nie podjął tego tematu i zapytał:

– Dobrze znała pani maestra?

Signora Santina odwróciła wzrok od Brunettiego i spojrzała na fotografię, a potem na swoje ręce, które trzymała w pewnej odległości od siebie, tak jakby przypadkowe ich zetknięcie się mogło spowodować ból.

– Tak, dobrze go znałam – odparła po chwili.

Dość długo, jak mu się zdawało, zwlekał z następnym pytaniem.

– Co może mi pani o nim powiedzieć?

– Był próżny – stwierdziła. – Ale miał po temu powody. Był największym z dyrygentów, z którymi pracowałam. Nie znałam wszystkich, bo moja kariera skończyła się zbyt szybko. Ale był najlepszy spośród tych, których znałam. Nie wiem, jak on to robił. Potrafił z każdego utworu, choćby najbardziej znanego, zrobić coś nowego, wywołać wrażenie, że to dzieło gra się lub słyszy po raz pierwszy. Muzycy zazwyczaj nie darzyli go sympatią, ale go szanowali. Wydobywał z nich anielską muzykę.

– Powiedziała pani, że jej kariera była zbyt krótka. Dlaczego się skończyła?

Obrzuciła go baczным spojrzeniem, ale nie spytała, jak to możliwe, żeby człowiek, który podaje się za jej wielbiciela, nie znał tej historii. Czyż nie jest policjantem? Ci zawsze kłamią. Na każdy temat.

– Nie chciałam śpiewać dla Il Duce. To było w Rzymie, otwarcie sezonu 1938 roku. *Norma*. Dyrektor wszedł za kulisy tuż przed podniesieniem kurtyny i powiedział, że mamy honor gościć na widowni Mussoliniego. I... – Jej głos ucichł, jakby szukała odpowiednich słów. – Byłam wtedy młoda i odważna i powiedziałam, że nie będę śpiewać. Byłam młoda i sławna, więc sądziłam, że moja sława ochroni mnie przed konsekwencjami. Myślałam, że Włosi tak bardzo kochają sztukę i muzykę, że nie dopuszczą, by coś mi groziło za takie postępowanie. – Potrząsnęła głową na tę myśl.

– I co było dalej?

– Nie zaśpiewałam. Nie wystąpiłam tamtego wieczoru i nigdy więcej nie wystąpiłam publicznie. On nie mógł mnie zabić za to, że nie chciałam śpiewać, ale mógł mnie aresztować. Do końca wojny siedziałam w domu w Rzymie. A po wojnie już nie występowałam. – Zaczęła wiercić się w fotelu. – Nie chcę już o tym rozmawiać.

– To porozmawiajmy o maistrze. Czy pamięta pani coś jeszcze, co wiąże się z jego osobą? – Choć żadne z nich nie wspomniało o jego śmierci, mówili o nim tak, jakby odszedł z tego świata.

– Nie, nic więcej.

– Czy to prawda, że doszło między panią a nim do osobistych nieporozumień?

– Zналиśmy się przed pięćdziesięciu laty – westchnęła. – Jakie to ma teraz znaczenie?

– *Signora*, chciałbym tylko bliżej poznać tego człowieka. To, co o nim wiem, dotyczy jego muzyki – niewątpliwie pięknej – i jego ciała, które widziałem i wcale nie było piękne. Im więcej dowiem się o nim samym, tym szybciej zrozumieję, jak doszło do jego śmierci.

– Otruto go, prawda?

– Tak.

– To dobrze. – W jej głosie nie zabrzmiała uraza czy zjadliwość. Z takim samym brakiem zaangażowania mogłaby wtrącić uwagę na temat utworu muzycznego czy przyrządzonego posiłku. Brunetti zauważył, że splotła ręce i nerwowo przebierała palcami. – Szkoda, że ktoś go zabił – powiedziała.

Tylko kto? – zadał sobie pytanie.

– Wolałabym, żeby popełnił samobójstwo, wtedy także jego dusza byłaby skazana na potępienie – wyjaśniła tym samym beznamiętnym i spokojnym tonem.

Brunettim wstrząsnął dreszcz i zaczął szczerkać zębami. Niemał bezwiednie wstał i zaczął przechadzać się po kuchni, żeby się rozgrzać. Zatrzymał się przed fotografią stojącą na sekretarzyku i zaczął się jej przyglądać. Trzy

dziewczyny ubrane były z przesadną elegancją, charakterystyczną dla lat trzydziestych: w długie, koronkowe suknie, które ciągnęły się po podłogę, i wycięte na czubku pantofle na niezwykle wysokich obcasach. Wszystkie miały takie same, ciemne i układające się w łuk usta oraz cieniutkie brwi. Nawet makijaż i ondulacja nie zdołały ukryć, że są bardzo młode. Upozowano je wedle wieku: od najstarszej po lewej stronie. Mogła mieć dwadzieścia parę lat; środkowa była o kilka lat młodsza; ostatnia wyglądała jeszcze na dziecko, może na nastolatkę.

– Pani jest którą z nich?

– Tą w środku. Byłam średnia.

– A pozostałe?

– Clara, najstarsza. I Camilla, jeszcze dziecko. Byliśmy dobrą włoską rodziną. Matka urodziła sześcioro dzieci w ciągu dwunastu lat: trzy dziewczynki i trzech chłopców.

– Czy pani siostry też śpiewały?

Westchnęła i prychnęła z niedowierzaniem.

– W tamtych czasach każdy Włoch znał trzy siostry Santina – nazywano nas Trzy C. Ale to było tak dawno temu, że nie ma powodu, by pan o nas wiedział.

Zauważył wyraz jej oczu, gdy przeniosła wzrok na fotografię, i przyszło mu na myśl, że wszystkie trzy są dla niej nadal takie jak na zdjęciu – piękne i młode.

– Na początku śpiewaliśmy w teatrach rewiowych, po projekcji filmu. Nasza rodzina była biedna, więc my, dziewczęta, śpiewaliśmy, żeby zarobić trochę pieniędzy. Potem poznano się na nas i przysły większe pieniądze. Jakoś zorientowałam się, że mam dobry głos, i zaczęłam śpiewać w teatrze, natomiast Camilla i Clara dalej śpiewały w teatrach rewiowych. – Umilkła, wzięła do ręki filiżankę i wypila kawę trzema szybkimi łykami, po czym schowała ręce, by grzać je pod kocem.

– Czy pani nieporozumienia z nim miały związek z pani siostrami?

W jej głosie niespodziewanie dały się słyszeć starość i zmęczenie.

– To było tak dawno temu. Czy to teraz ważne?

– Czy chodziło o pani siostry?

Nagle jej głos podniósł się do sopranu.

– Dlaczego pan o to pyta? Jakie to ma znaczenie? Oni leżą już w grobie.

– Otuliła się szczelnie kocami, chroniąc się przed zimnem i chłodnym tonem jego głosu. Czekał, by mówiła dalej, ale jego uszu dobiegły jedynie syki i ciche pyknięcia naftowego grzejnika, oznaki bezskutecznych prób pozbycia się zabójczego chłodu w pomieszczeniu.

Mijały minuty. Brunetti wciąż miał w ustach gorzki smak kawy i nie potrafił opanować uczucia zimna, które przenikało go do kości.

Wreszcie kobieta odezwała się kategorycznym tonem:

– Jeśli pan wypił kawę, może pan już iść.

Brunetti podszedł do stołu, wziął obie filiżanki i wstawił je do zlewu. Gdy się odwrócił, kobieta zdążyła wygrzebać się spod koców i stała przy drzwiach. Powłócząc nogami, poszła korytarzem, w którym, o ile to możliwe, zrobiło się jeszcze zimniej niż poprzednio. Wykoślawionymi dłońmi powoli otworzyła zamki, odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi na tyle, by zdołał się przez nie precisnąć. Gdy odwrócił się, by jej podziękować, usłyszał trzask zasuw przesuwanych na miejsce. Choć była wczesna zima, a dzień chłodny, westchnął z ulgą, czując na plecach przyjemne ciepło słabego, popołudniowego słońca.

Rozdział 15

Gdy Brunetti wracał *vaporetto* na główną wyspę, zastanawiał się, kto może powiedzieć mu, co się wydarzyło między śpiewaczką i Wellauerem. A także między nim i jej siostrami. Jediną osobą, która przyszła mu na myśl, był Michele Narasconi, jego przyjaciel mieszkający w Rzymie i jakoś zarabiający na życie pisaniem książek o podróżach i muzyce. Jego ojciec, będący już na emeryturze, zarabiał na życie w ten sam sposób, choć z dużo większym powodzeniem. Przez dwadzieścia lat był najbardziej znanym reporterem we Włoszech, który zajmował się zbieraniem zbędnych informacji, w tym kraju zawsze cieszących się popytem. Latami pisywał cotygodniowe felietony do „Gente” i „Oggi”, a miliony czytelników polegały na jego doniesieniach – wierność prawdzie nie była konieczna – o rozmaitych skandalach, w które wmieszana była rodzina Savoia albo gwiazdy sceny czy ekranu, lub cała masa pomniejszych książątek, gotowych wyemigrować do Włoch zarówno przed abdykacją, jak i po niej. Choć Brunetti nie potrafił sprecyzować, o jakie informacje mu chodzi, był pewien, że ojciec Michelego jest osobą, do której powinien się zwrócić.

Zadzwoił do niego dopiero po powrocie do biura. Tak dawno temu rozmawiał ostatni raz z Michelelem, że musiał poprosić telefonistkę z między-miastowej o podanie mu numeru. Wykręcając cyfry, zastanawiał się, jak wyrazić to, o co mu chodzi, a jednocześnie nie obrazić przyjaciela.

– *Pronto*, Narasconi – odezwał się kobiecy głos.

– *Ciao*, Roberta. Mówi Guido.

– O, Guido. Jak to miło cię słyszeć. Co u ciebie? Jak się miewają Paola i dzieci?

– Wszystko w porządku. Słuchaj, Roberta, czy jest Michele?

– Tak. Zaraz go poproszę.

Usłyszał głośny stuk odkładanej słuchawki, a potem głos Roberty wołającej do męża. Rozległ się jakiś brzęk i łoskot, a potem głos Michelego:

– *Ciao*, Guido. Jak się miewasz? Czego potrzebujesz do szczęścia? – Zaraz zabrzmiał śmiech, który wykluczył możliwość, że w pytaniu kryje się uraza.

Brunetti doszedł do wniosku, że nie musi tracić czasu ani energii i może od razu przejść do rzeczy.

– Słuchaj, Michele, tym razem chciałbym wykorzystać pamięć twojego ojca. Twoja nie sięga tak daleko. Jak on się miewa?

– Wciąż pracuje. RAI chce, żeby napisał scenariusz programu o początkach telewizji. Jeśli mu się uda, powiem ci, kiedy możesz go obejrzeć. Co chcesz wiedzieć? – Michele, reporter z zawodu i z natury, nie zwykł marnować czasu.

– Chciałbym wiedzieć, czy pamięta śpiewaczkę operową, która nazywa się Clemenza Santina. Śpiewała tuż przed wojną.

Michele mruknął coś cicho.

– Mgliście przypominam sobie to nazwisko, ale nie potrafię go z niczym skojarzyć. Jeśli to się działo przed wojną, tato na pewno będzie pamiętał.

– Miała dwie siostry. Też śpiewały – ciągnął Brunetti.

– Już sobie przypominam. Nazywano je Śpiewające C albo Urodziwe C, coś w tym rodzaju. Co chcesz o nich wiedzieć?

– Wszystko. Wszystko, co pamięta na ich temat.

– Czy to ma związek z Wellauerem? – spytał Michele, kierując się instynktem, który rzadko go zawodził.

– Tak.

Michele gwizdnął przeciągle i z podziwem.

– Twoja sprawa?

– Tak.

Gwizd rozległ się ponownie.

– Nie zazdroszczę ci, Guido. Dziennikarze zjedzą cię żywcem, jeśli nie znajdziesz sprawcy. Ujma dla kraju. Zbrodnia przeciwko sztuce. Te rzeczy.

Brunetti słyszał to od trzech dni, więc ograniczył się do stwierdzenia:

– Tak, wiem.

Michele natychmiast zreflektował się, że popełnił nietakt.

– O co mam spytać ojca?

– Spytaj, czy krążyły jakieś opowieści o Wellauerze i siostrach.

– Chodzi ci o zwykłą gadaninę?

– O to też. O wszelkiego rodzaju pogłoski. Był wtedy żonaty. Nie wiem, czy to jest istotne.

– Z tą kobietą, która popełniła samobójstwo? – A więc Michele też czytał gazety.

– Nie, to była jego druga żona. Wtedy był jeszcze żonaty z pierwszą. Dobrze by było, gdyby twój ojciec również powiedział, co wie na jej temat. To się działo przed wojną, gdzieś w 1938 albo w 1939 roku.

– Czy ona nie wpakowała się w jakieś polityczne kłopoty? Obraziła Hitlera czy coś w tym rodzaju?

– Mussoliniego. Przez całą wojnę przebywała w areszcie domowym. Gdyby obraziła Hitlera, toby ją zabito. Chciałbym wiedzieć o jej związkach z Wellauerem. I, jeśli to możliwe, jego związkach z siostrami.

– Na kiedy potrzebne ci są te informacje?

– Jak najszybciej.

– W porządku. Widziałem się z tatą dziś rano, ale mogę pójść do niego po południu. Będzie zachwycony. Poczuje się ważny, widząc, że komuś mogą się przydać wiadomości, które zachował w pamięci. Sam wiesz, jak bardzo lubi rozprawiać o przeszłości.

– Wiem. Był jedyną osobą, która przyszła mi na myśl.

Michele się roześmiał. Pochlebstwa zawsze odnoszą skutek, niezależnie od tego, jak bliskie są prawdy.

– Powiem mu to. – Gdy rozbawienie minęło, zapytał:

– A co z Wellaeurem? – Michele nigdy nie zdobyłby się na zadanie wprost bardziej dociekliwego pytania.

– Jeszcze nic. Kiedy to się stało, w teatrze było ponad tysiąc osób.

– Czy ma to związek z tą śpiewaczką?

– Nie wiem, Michele. Nie będę mógł odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie dowiem się, co pamięta twój ojciec.

– Dobrze. Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem, po rozmowie z nim. Pewno będzie późna pora. Czy mimo wszystko mam zadzwonić?

– Tak, powinienem być w domu. Jeśli nie, to będzie Paola. Dzięki, Michele.

– Nie ma za co, Guido. Poza tym ojciec będzie dumny, że pomyślałeś o nim.

– On jeden może mi pomóc.

– Na pewno mu to powtórzę.

Żaden z nich nie bawił się w konwenanse i nie powiedział, że wkrótce muszą się zobaczyć – ani jeden, ani drugi nie miał czasu, żeby przejechać przez pół kraju na spotkanie ze starym przyjacielem. Pożegnali się, życząc sobie nawzajem wszystkiego najlepszego.

Kiedy Brunetti skończył rozmawiać z Michele, stwierdził, że czas udać się do mieszkania Wellauera na ponowną rozmowę z wdową. Zostawił Miottiemu wiadomość, że po południu nie będzie go w biurze, i napisał krótką notatkę, którą dał sekretarce z prośbą, by o ósmej rano następnego dnia położyła ją na biurku Patty.

Dotarł do mieszkania maestra spóźniony o kilka minut. Tym razem drzwi otworzyła mu pokojówka – owa kobieta, która podczas mszy żałobnej siedziała w drugiej ławce. Przedstawił się, podał jej płaszcz i spytał, czy zechciałaby zamienić z nim kilka słów po jego rozmowie z panią. Kiwnęła głową, odpowiedziała krótko: – Si – i wprowadziła go do pokoju, gdzie dwa dni wcześniej rozmawiał z wdową.

Pani Wellauer wstała i przeszła przez pokój, by podać mu rękę. Dni, które minęły od tamtego spotkania, nie były dla niej łaskawe – pomyślał

Brunetti, widząc ciemne kręgi pod oczami i bardziej suchą i szorstką powierzchnię skóry. Ponownie usiadła na tym samym miejscu co poprzednio, gdzie – jak zauważył Brunetti – nic nie leżało: nie czytała książki czy czasopisma ani nie zajmowała się szyciem. Najwyraźniej siedziała tam, czekając na niego albo na to, co przyniesie przyszłość. Zapaliła papierosa i chciała go poczęstować, ale zaraz powiedziała po angielsku:

– O, przepraszam. Zapomniałam, że pan nie pali.

Usiadł na tym samym miejscu co poprzednim razem, ale teraz nie zamierzał bawić się notesem.

– Muszę zadać pani kilka pytań – powiedział. Ponieważ nie zareagowała na to, mówił dalej: – To będą drażliwe pytania i wolałbym ich nie zadawać, zwłaszcza w takich okolicznościach.

– Ale chce pan znać na nie odpowiedź, prawda?

– Tak.

– Więc, niestety, będzie pan musiał je zadać, komisarzu. – Brunetti wiedział, że nie chciała potraktować go surowo, a jedynie wyciągnęła logiczny wniosek, i pominął to milczeniem. – Dlaczego musi pan zadać te pytania?

– Ponieważ uzyskane informacje, być może, pomogą mi odnaleźć sprawcę śmierci pani męża.

– Jakie to ma znaczenie?

– Co mianowicie?

– Kto go zabił?

– Dla pani nie ma to znaczenia?

– Żadnego. Od początku było to dla mnie bez znaczenia. On nie żyje i nic go nie wróci. Co mnie to obchodzi, kto go zabił i dlaczego?

– Nie odczuwa pani chęci zemsty? – spytał i zaraz pomyślał, że przecież nie jest Włoszką.

Odchyliła głowę w tył i przyglądała się mu przez obłok papierosowego dymu.

– O tak, komisarzu, odczuwam silną chęć zemsty. To uczucie nigdy nie było mi obce. Uważam, że ludzie powinni ponosić karę za zło, które wyrządzają.

– Czy nie jest to równoznaczne z zemstą? – zapytał.

– Pan jest właściwą osobą, by to rozstrzygnąć – odparła, odwracając od niego głowę.

Zanim zdążył się powstrzymać, powiedział ze zniecierpliwieniem:

– Proszę pani, chciałbym zadać pani kilka pytań i oczekuję szczerych odpowiedzi.

– W takim razie niech pan pyta, a ja udzielę panu odpowiedzi.

– Zależy mi na uzyskaniu szczerych odpowiedzi.

– Dobrze, udzielę panu szczerych odpowiedzi.

– Chciałbym dowiedzieć się, jakie było nastawienie pani męża do pewnego rodzaju zachowań seksualnych?

Pytanie niewątpliwie ją zaskoczyło.

– Co pan ma na myśli?

– Podobno pani mąż był wyjątkowo nieprzychylnie nastawiony do homoseksualistów. – Brunetti wyczuł, że nie takiego pytania się spodziewała.

– Tak, to prawda.

– Czy zna pani powody takiego nastawienia?

Zgasiała papierosa, oparła się plecami o fotel i skrzyżowała ręce na pierśsiach.

– Bawi się pan w psychologa? Czyżby zamierzał pan zasugerować, że tak naprawdę Helmut był homoseksualistą i maskował swoje poczucie winy w klasyczny sposób, okazując wrogość wobec homoseksualistów? – W swojej karierze Brunetti zetknął się z wieloma takimi przypadkami, ale nie uważał, że i tu występuje ten sam mechanizm, i dlatego nic nie odpowiedział. Wymuszonym śmiechem pani Wellauer wyraziła pogardę dla takiego podejrzenia. – Niech pan mi wierzy, komisarzu, on nie był takim człowiekiem, jak pan przypuszcza.

Brunetti zdawał sobie sprawę, że ludzie rzadko są tacy, jak się przypuszcza. Czekał w milczeniu, ciekaw, co jeszcze mu powie.

– Nie przeczę, że Helmut nie lubił homoseksualistów. Każdy, kto z nim pracował, mógł się szybko o tym przekonać. Ale powodem nie był strach przed własnymi skłonnościami tego rodzaju. Przez dwa lata byłem jego żoną i wiem, że nie przejawiał żadnych skłonności homoseksualnych. Zapewniam pana. Sądzę, że homoseksualizm raził go dlatego, iż godził w jego koncepcję porządku wszechświata, w jakiś Platoński ideał ludzkiego zachowania. – Brunetti miał okazję zetknąć się z jeszcze dziwniejszymi wytłumaczeniami.

– Czy jego niechęć dotyczyła również lesbijek?

– Tak, ale bardziej razili go mężczyźni – może dlatego, że zachowują się tak wyzywająco. Przypuszczam, że lesbijki budziły w nim, co najwyżej, lubieżną ciekawość. Jak w większości mężczyzn. Ale nie jest to temat, który poruszaliśmy w naszych rozmowach.

W swojej karierze Brunetti rozmawiał z wieloma wdowami i wiele przesłuchiwał, ale tylko nieliczne potrafiły sprawić wrażenie, że wypowiadają się o mężu z takim obiektywizmem jak ona. Zaczął się zastanawiać, czy powód takiego nastawienia tkwi w niej samej czy też w mężczyźnie, którego śmierci zdawała się nie opłakiwać.

– Czy wypowiadał się ze szczególną niechęcią o jakimś konkretnym mężczyźnie, który był homoseksualistą?

– Nie – odparła bez chwili wahania. – To zależało od osoby, z którą akurat pracował.

– Czy miał zawodowe uprzedzenia wobec nich?

– W tym środowisku coś takiego nie jest możliwe. Jest ich zbyt wielu. Helmut ich nie lubił, ale potrafił z nimi współpracować, jeśli musiał.

– Czy współpracując z nimi, traktował ich inaczej niż pozostałych?

– Mam nadzieję, komisarzu, że nie usiłuje pan stworzyć scenariusza morderstwa na tle homoseksualnym, przyjmując, że Helmuta zabił człowiek rozgniewany jego okrutnymi słowami czy zerwanym kontraktem.

– Popełniano morderstwa z o wiele błahszych powodów.

– Nie warto o tym rozmawiać – odparła ostrym tonem. – Czy chce pan zapytać o coś jeszcze?

Brunetti zawahał się, sam zgorszony następnym pytaniem, które musi jej zadać. Przekonywał samego siebie, że spełnia rolę księdza czy lekarza i zachowuje dla siebie to, co ludzie mu mówią, ale wiedział też, że nie jest to prawda, że mógłby nadużyć czyjś zaufania, gdyby był pewien, że zaprowadzi go to do osoby, której szuka.

– Moje następne pytanie nie ma ogólnego charakteru i nie dotyczy jego poglądów. – Nie powiedział nic więcej, licząc na to, że go zrozumie i sama udzieli mu informacji. Ale nie przyszła mu z pomocą. – Chodzi mi o relacje między panią i mężem. Czy było w nich coś osobliwego?

Widział, że kobieta tłumi w sobie odruch, by wstać z krzesła. Nie zrobiła tego, tylko kilka razy przesunęła palcem prawej ręki po dolnej wardze, wspierając się na łokciu opartym o poręcz krzesła.

– Rozumiem, że ma pan na myśli nasze relacje seksualne. – Kiwnął głową. – Mogłabym się zirytować i spytać, co dla pana jest, w obecnym świecie i dzisiejszych czasach, „osobliwością”. Tyle tylko panu powiem: nie, w naszych relacjach seksualnych nie było nic „osobliwego” – i uważam, że ten temat został wyczerpany.

Udzieliła odpowiedzi na jego pytania. Czy powiedziała mu prawdę, to już inna sprawa, w którą teraz wolał nie wnikać.

– Czy pani mąż miał jakieś szczególne trudności w kontaktach ze śpiewakami występującymi w tym spektaklu albo z osobą, która uczestniczyła w wystawieniu opery?

– Nie większe niż zazwyczaj. Wiadomo, że reżyser jest homoseksualistą, a o sopranistce zaczęły krążyć pogłoski, że jest lesbijką.

– Czy pani ich zna?

– Nigdy nie rozmawiałam z Santorem, wymienialiśmy tylko pozdrowienia, gdy widywaliśmy się na próbach. Natomiast znam Flavię, choć jest to

raczej powierzchowna znajomość – spotykałyśmy się na przyjęciach i rozmawiałyśmy ze sobą.

– Co pani o niej sądzi?

– Uważam, podobnie jak Helmut, że jest doskonałą śpiewaczką – odparła, świadomie interpretując jego pytanie opacznie.

– A prywatnie?

– Uważam, że jest urocza. Czasem brak jej poczucia humoru, ale można z nią spędzić kilka przyjemnych godzin. I jest zadziwiająco inteligentna. W przeciwieństwie do większości śpiewaków. – Nie ulegało wątpliwości, że woli dalej rozumieć go opacznie i nie wyjawi swej opinii, dopóki on nie spyta jej wprost.

– Co pani sądzi o krążących pogłoskach?

– Nie przykładam do nich wagi i nie zastanawiam się nad tym.

– Jaki miał do nich stosunek pani mąż?

– Sądzę, że uznawał je za prawdziwe. Nie, skłamałam. Wiem, że uznał je za prawdziwe. Któregoś wieczoru powiedział coś, co miało taki wydźwięk. Już nie pamiętam jego słów, ale wyraził się jednoznacznie, że daje wiarę tym pogłoskom.

– Ale pani to nie przekonało?

– Panie komisarzu – powiedziała z udawaną cierpliwością – mam wrażenie, że pan mnie nie zrozumiał. Nieistotne jest to, czy Helmut zdołałby mnie przekonać o prawdziwości tych pogłosek. Istotne jest natomiast to, że nie mógł przekonać mnie, iż mają jakąkolwiek wagę. Puściłam całą sprawę w niepamięć, dopóki pan o niej nie wspomniał.

Nie dał po sobie poznać, że aprobuje takie stanowisko, i pytał dalej:

– A Santore? Czy pani mąż powiedział o nim coś szczególnego?

– Nie przypominam sobie. – Zapaliła kolejnego papierosa. – W tej sprawie mieliśmy odmienne zdania. Nie starczało mi cierpliwości, żeby znosić jego uprzedzenia, i on o tym wiedział. Wspólnie ustaliliśmy, że będziemy unikać rozmów na ten temat. Muzyka była dla Helmuta na tyle ważna, że nie kierował się względami osobistymi. I też za to go kochałam.

– Czy była mu pani wierna?

Bez wątpienia spodziewała się tego pytania.

– Tak sędzę – odparła po dłuŝszym milczeniu.

– Przepraszam, ale pani odpowiedź jest dla mnie niezrozumiała.

– Zależy, co się rozumie przez słowo „wierność”.

Zapewne tak – zgodził się w duchu Brunetti, choć uważał teŝ, że to słowo jest w miarę zrozumiałe, nawet we Włoszech. Nagle poczuł się bardzo zmęczony tą rozmową.

– Czy będąc jego żoną, utrzymywała pani stosunki seksualne z kimś innym?

– Nie – odparła natychmiast.

– W takim razie dlaczego powiedziała pani, iż sądzi, że była mu wierna?

– spytał, wiedząc, że to pytanie powinno paść.

– Bez powodu. Po prostu mam dość pytań, które można przewidzieć.

– A ja odpowiedzi, których nie można przewidzieć – wtrącił oschłym tonem.

– Wcale się panu nie dziwię. – Jej uśmiech sygnalizował zawieszenie broni.

Ponieważ w tej rozmowie nie chciał bawić się notesem, nie mógł dać znaku, że dobiega ona końca, poprzez włożenie go do kieszeni. Wstał więc i powiedział:

– Jeszcze jedna sprawa.

– Słucham.

– Wczoraj rano przywieziono tu dokumenty pani męża. Chciałbym, aby pozwoliła mi pani przejrzeć je jeszcze raz.

– Czy nie powinien pan być zrobić tego, gdy były w pana rękach? – powiedziała, nie kryjąc irytacji.

– W komendzie powstało trochę zamętu. Dokumenty zostały przejrzane przez tłumaczy, a potem zwrócone, zanim miałem okazję je zobaczyć. Przepraszam za tę niedogodność, ale, jeśli można, chciałbym przejrzeć je teraz.

A potem porozmawiać z pokojówką. Zamieniliśmy kilka słów, gdy przyszedłem, ale mam do niej kilka pytań.

– Dokumenty są w gabinecie Helmuta. Drugie drzwi na lewo. – Prośbę o pozwolenie na rozmowę z pokojówką pominęła milczeniem i nie ruszyła się z krzesła, aby podać mu rękę. Patrzyła za nim, gdy wychodził z pokoju, a potem znowu pogrążyła się w oczekiwaniu na to, co przyniesie przyszłość.

Brunetti poszedł korytarzem do drugich drzwi. Gdy wszedł do pokoju, natychmiast zauważył beżową kopertę z komendy, która leżała na biurku, nieotwarta i wypchana papierami. Usiadł przy biurku i przysunął ją do siebie. Dopiero wtedy spojrzał w okno i zobaczył dachy domów ciągnących się w dal. Dostrzegł spiczastą dzwonnice San Marco, a po lewej stronie ponurą fasadę opery. Przestał zwracać uwagę na widok za oknem i rozerwał kopertę.

Odłożył na bok te papiery, które już czytał w tłumaczeniu. Wiedział, że dotyczą kontraktów, występów i nagrań, i uznał je za nieistotne.

Wyjął trzy zdjęcia. Jak było do przewidzenia, w raporcie nie znalazł o nich wzmianki, może dlatego, że na ich odwrocie nie było nic napisane. Na pierwszym zdjęciu Wellauer stał ze swoją ostatnią żoną nad brzegiem jeziora. Sprawiali wrażenie opalonych i zdrowych. Brunetti musiał przywołać z pamięci fakt, że mężczyzna na zdjęciu ma ponad siedemdziesiąt lat, gdyż wyglądał na niewiele starszego niż on sam. Na drugim zdjęciu dziewczynka stała przy koniu, potulnym stworzeniu, równie szerokim, co wysokim. Jedną ręką ścisnęła uzdę, a nogę trzymała uniesioną w powietrzu, między ziemią i strzemieniem. Głowę miała nienaturalnie wykręconą, zapewne zaskoczona przez fotografa, który zawołał na nią, gdy wsiadała na konia. Była wysoka i wiotka i miała jasne włosy, jak jej matka, zaplecione w dwa długie warkocze, które zwisały spod toczka. Sfotografowana zniecka, nie miała czasu uśmiechnąć się i jej twarz zastygła w niezwykłym smutku.

Na trzecim zdjęciu byli we troje. Dziewczynka, niemal dorównująca wzrostem matce, wyglądająca nieporadnie nawet w swobodnej pozie, stała w środku, a tuż za nią dwoje dorosłych, złączonych w uścisku. Sprawiała

wrażenie trochę młodszej niż na poprzednim zdjęciu. Wszyscy troje uśmiechali się sztucznie do obiektywu.

Poza tym w kopercie był tylko oprawiony w skórę kalendarzyk, z rokiem wytłoczonym złotymi cyframi na okładce. Brunetti otworzył go i zaczął przeglądać. Dni tygodnia były napisane po niemiecku, a przy wielu z nich znajdowały się zapiski zrobione pochyłym gotykiem, który zapamiętał, oglądając wcześniej partyturę *Traviaty*. Większość notatek zawierała nazwy miejscowości, tytuły oper lub utworów prezentowanych na koncercie. Brunetti szybko rozszyfrował skróty: „Salz. – D.G.”, „Wiedeń – Balio”, „Bonn – Moz. 40”, „Ldn. – Cosi”. Inne zapisy dotyczyły osób albo w ogóle nie miały związku z muzyką: „Von S – godz. 17”, „Erich i H – 20”, „D i G – podwieczorek – Demel – 16”.

Zaczynając od kartki z datą śmierci dyrygenta, przewracał je wstecz, przeglądając zapiski z ostatnich trzech miesięcy. Stwierdził, że rozkład zajęć był tak wypełniony, iż mógł zmęczyć człowieka o połowę młodszego od Wellauera. Umówionych spotkań było tym więcej, im bardziej cofał się w czasie. Zaintrygowany tym faktem, wrócił do sierpnia i zaczął przerzucać kartki w przód. Zobaczył odwrotne zjawisko: częstotliwość spotkań z okazji kolacji, podwieczorku czy lunchu stopniowo się zmniejszała. Z szuflady biurka wyjął kartkę i szybko sklasyfikował zajęcia dyrygenta – prywatne spotkania zapisał po prawej stronie, a zawodowe zajęcia po lewej. W sierpniu i we wrześniu – z wyjątkiem dwutygodniowego okresu, gdy prawie nic nie zostało zanotowane – niemal każdego dnia Wellauer miał jakieś zobowiązania. W październiku stopniowo zaczęło ich ubywać, a pod koniec miesiąca nie miał prawie żadnych spotkań towarzyskich. Zmniejszyła się także liczba zawodowych zajęć – od przynajmniej dwóch tygodniowo do jednego lub dwóch co kilka tygodni.

Brunetti przerzucił kartki i zerknął na zapiski na przyszły rok, którego Wellauer miał nie dotrzeć. Znalazł notatkę na koniec stycznia: „Ldn. – Cosi”. Jego uwagę przykuł mały znaczek za tytułem opery. Czy był to znak zapytania, czy jedynie niedbale postawiony akcent?

Wyjął następną kartkę i sporządził drugą listę – wypisał prywatne zobowiązania, poczynając od początku października. Przy dacie szóstego października przeczytał: „Erich i H – 21”. Rozpoznał znane mu z poprzednich zapisów imiona. Siódmego – „Erich – godz. 8”. Piętnastego – „Petra i Nicolai – 20”, a potem brak zapisów aż do dwudziestego siódmego, gdzie przeczytał: „Erich – godz. 8”. Dziwnie wczesna pora na spotkanie z przyjacielem. Ostatnia tego rodzaju notatka została zrobiona na dwa dni przed wyjazdem do Wenecji: „Erich – godz. 9”.

To wszystko – jeszcze tylko ostatni zapis z trzynastego listopada: „Wenecja – Trav”.

Brunetti zamknął kalendarzyk i razem z fotografiami i dokumentami wsunął go do koperty. Złożył kartki z własnymi notatkami i wrócił do pokoju, gdzie zostawił panią Wellauer. Siedziała przed kominkiem i paliła papierosa, tak samo jak wtedy, gdy stamtąd wychodził.

– Już pan skończył? – spytała.

– Tak. – Trzymając w ręku kartki, powiedział: – Z notatek, które robił pani mąż w kalendarzyku, wynika, że w ostatnich miesiącach bardzo ograniczył swą aktywność. Czy miał po temu konkretne powody?

Po dłuższej chwili odparła:

– Helmut mówił, że czuje się zmęczony, nie ma już dawnej energii. Spotykaliśmy się z przyjaciółmi, ale – jak pan zauważył – nie tak często jak dawniej. Poza tym Helmut nie zapisywał w kalendarzyku wszystkiego, co robiliśmy.

– O tym nie wiedziałem. Ale interesuje mnie zmiana jego trybu życia. Kiedy rozmawiałem z panią na temat męża, nic pani o tym nie wspomniała.

– Jak pan pamięta, komisarzu, pana pytania dotyczyły naszego seksualnego pożycia. Niestety, takich rzeczy nie notował w kalendarzyku.

– Zauważyłem, że często pojawia się imię Erich.

– Dlaczego miałyby to być ważne?

– Nie mówię, że jest ważne. Stwierdzam tylko fakt, że w ostatnich miesiącach pani mąż często spotykał się z tą osobą. Przy tym imieniu również

występuje inicjał H, ale nie zawsze.

– Powtarzam panu, że nasze spotkania nie zawsze były zapisywane w kalendarzyku.

– Ale te były na tyle istotne, że pani mąż je zanotował. Czy mogę wiedzieć, kim jest ten Erich?

– To konkretna osoba. Erich i Hedwig Steinbrunnerowie byli najstarszymi przyjaciółmi Helmuta.

– Ale nie pani?

– Stali się również moimi przyjaciółmi, ale Helmut znał ich ponad czterdzieści lat, a ja jedynie dwa lata. Więc to zrozumiałe, że mówię o nich jako o przyjaciółach Helmuta, a nie moich.

– Oczywiście. Czy mógłbym prosić o ich adres?

– Komisarzu, nie mogę pojąć, dlaczego przykłada pan do tego taką wagę.

– Już wyjaśniłem, dlaczego uważam, że to ważne. Jeśli pani nie ma ochoty podać mi ich adresu, zapewne znajdę innych przyjaciół pani męża, którzy mi go podadzą.

Jednym tchem wymieniła nazwę ulicy, wyjaśniając, że znajduje się w Berlinie. Milczała, gdy Brunetti wyjął pióro i zatrzymał je nad kartką. Powtórzyła adres powoli, przeliterowując każde słowo, nawet strasse, co uznał za zbyteczny wyraz przeświadczenia o jego głupocie.

– Czy to wszystko? – spytała, gdy skończył pisać.

– Tak. Bardzo dziękuję. Czy mógłbym teraz porozmawiać z pokojówką?

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być konieczne.

Pominał milczeniem jej uwagę, mówiąc:

– Czy ona jest tutaj?

Bez słowa pani Wellauer wstała i podeszła do ściany, na której wisiał dzwonek na służbę. Także bez słowa pociągnęła za linkę, a potem stanęła przy oknie, skąd rozciągał się widok na dachy domów.

Wkrótce drzwi otworzyły się i weszła pokojówka. Brunetti czekał, aż pani Wellauer odezwie się, ale dalej stała nieruchomo przy oknie, nie zwracając uwagi.

cając na nich uwagi. W tej sytuacji zwrócił się do pokojówki na tyle głośno, by pani Wellauer go usłyszała.

– Jeśli można, chciałbym zamienić z panią kilka słów, *signora* Breddes.

Pokojówka w milczeniu kiwnęła głową.

– Może przejdziemy do gabinetu maestra – powiedział, ale nawet po tych słowach wdowa nie ugięła się i nie odwróciła od okna. Brunetti stanął przy drzwiach, gestem ręki przepuszczając przed sobą pokojówkę. Poszedł za nią korytarzem do znanego mu już pokoju. Gdy weszli do środka, zamknął drzwi i wskazał jej krzesło. Usiadła, a on zajął miejsce na krześle, na którym siedział, gdy przeglądał papiery.

Pokojówka miała pięćdziesiąt kilka lat i była ubrana w czarną suknię, która mogła być strojem do pracy albo oznaką żałoby. Długość do połowy łydki dawno już wyszła z mody, a krój sukni podkreślał kanciastą sylwetkę, wąskie ramiona i płaskie piersi. Jej twarz doskonale pasowała do reszty ciała – miała blisko osadzone oczy i odrobinę za długi nos. Gdy siedziała wyprostowana na krześle, przypominała mu jednego z tych morskich ptaków o długich nogach i długiej szyi, które siadywały na słupach wzdłuż kanałów.

– Chciałbym zadać pani kilka pytań, *signora* Breddes.

– Jestem niezamężna – poprawiła go odruchowo.

– Mam nadzieję, że bez trudu porozumiemy się po włosku.

– Oczywiście. Mieszkam tu od dziesięciu lat. – Oznajmiła to takim tonem, jakby poczuła się urażona jego słowami.

– Jak długo pracowała pani dla maestra?

– Dwadzieścia lat. Dziesięć w Niemczech i dziesięć tutaj. Kiedy maestro kupił to mieszkanie, poprosił mnie, żebym tu przyjechała i je prowadziła. Zgodziłam się. Dla maestra pojechałabym dokąd bądź. – Powiedziała to w taki sposób, jakby mieszkanie w dziesięciopokojowym apartamencie w Wenecji było dla niej swego rodzaju cierpieniem, które jest gotowa zność tylko dlatego, że jest tak bardzo oddana swemu panu.

– Czy zajmuje się pani domem?

– Tak. Wprowadziłam się tu niedługo po tym, jak to mieszkanie zostało kupione. Pan Wellauer przyjechał i wydał mi polecenia odnośnie jego umeblowania i odnowienia. Zajmowałam się urządzeniem pokoi, a potem utrzymywałam tu porządek, kiedy pana nie było.

– A kiedy tu mieszkał?

– Także.

– Jak często przyjeżdżał do Wenecji?

– Dwa albo trzy razy do roku. Rzadko kiedy częściej.

– Przyjeżdżał, żeby pracować? Prowadzić orkiestrę?

– Czasami tak. Ale także żeby odwiedzić przyjaciół, pójść na biennale. – Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o ziemskich próżnościach.

– Co należało do pani obowiązków, gdy maestro Wellauer tu mieszkał?

– Zajmowałam się gotowaniem, ale zatrudniano też włoskiego kucharza, gdy były wydawane przyjęcia. Ustawiałam świeże kwiaty w wazonach. Kierowałam pracą pokojówek. Są Włoszkami. – To wyjaśnienie, uznał Brunetti, pozwalało zrozumieć, dlaczego kierowanie ich pracą było konieczne.

– Kto zajmował się zakupami? Kupowaniem jedzenia i wina?

– Kiedy maestro tu mieszkał, planowałam posiłki i każdego rana wysyłałam pokojówki na bazar na Rialto po świeże warzywa.

Brunetti doszedł do wniosku, że po tym wstępie pani Breddes będzie gotowa udzielić mu odpowiedzi na właściwe pytania.

– A zatem maestro ożenił się, gdy pani dla niego pracowała.

– Tak.

– Czy spowodowało to jakieś zmiany? Gdy tu przyjeżdżał, oczywiście.

– Nie wiem, co pan ma na myśli – odparła, choć niewątpliwie domyśliła się, o co mu chodzi.

– Pytam o zmiany w prowadzeniu domu. Czy pani obowiązki zmieniły się po ślubie maestra?

– Nie. Czasem gotowała pani, ale rzadko.

– Tylko tyle?

– Tak.

– Czy obecność córki pani Wellauer powodowała jakieś kłopoty?

– Nie. Dziewczynka jadła dużo owoców. Ale nie sprawiała trudności.

– Tak, rozumiem – mruknął pod nosem Brunetti, wyjmując z kieszeni kartkę i niedbale coś zapisując. – Proszę mi powiedzieć, czy podczas ostatnich tygodni, gdy maestro tu przebywał, zauważyła pani jakąkolwiek zmianę w jego zachowaniu, coś, co panią uderzyło?

Siedziała w milczeniu, trzymając ręce splecione na podołku.

– Nie rozumiem – odparła w końcu.

– Czy wydał się pani dziwny? – Milczenie. – Jeśli nie dziwny – tu uśmiechnął się, prosząc, by okazała zrozumienie dla jego trudnej roli – to może inny niż zazwyczaj. – Gdy dalej milczała, dodał: – Pani znała maestra tak długo i niewątpliwie najlepiej ze wszystkich domowników, więc jestem przekonany, że zauważyłaby każdą zmianę. – Tym pochlebstwem połechtął jej próżność, wcale nie mając pewności, czy to przyniesie pożądany skutek.

– Ma pan na myśli jego pracę?

– To mogło wiązać się z pracą – powiedział, posyłając jej porozumiewawczy uśmiech – ale też z czymkolwiek innym, może ze sprawami prywatnymi, niekoniecznie z jego karierą czy muzyką. Łączyła panią wieloletnia zażyłość z maestrem i dlatego niewątpliwie była pani wyczulona na wszelkie tego rodzaju zmiany.

Widząc, że przynęta budzi jej zainteresowanie, dodał dla wzmocnienia efektu:

– Ponieważ, znała go pani tak długo, mogła pani zauważyć coś, co inni przeoczyli.

– Tak, to prawda – przyznała. Oblizwała nerwowo wargi, połechtana jego pochlebstwami. Siedział w milczeniu, nieruchomo, nie chcąc, by się spłoszyła. Bezwiednie bawiła się guzikami na przodzie sukni, kręcąc nimi raz w jedną stronę, raz w drugą. Wreszcie powiedziała: – Zauważyłam coś, ale nie wiem, czy to ważne.

– Kto wie, czy nie okaże się ważne. Proszę pamiętać, *signora* Breddes, że wszystko, co pani powie, może być pomocne dla maestra. – Był przekonany, że naiwność nie pozwoliła jej dostrzec wyjątkowej bezsensowności tego stwierdzenia. Odłożył pióro i splótł ręce w księzowskiemu geście, czekając, co powie.

– Zauważyłam dwie rzeczy. Od początku ostatniego pobytu tutaj wydawał się coraz bardziej roztargniony, tak jakby myślami był gdzie indziej. Nie, to nie tak, niezupełnie tak. Sprawiał wrażenie, jakby przestało obchodzić go to, co się wokół niego dzieje. – Umilkła, niezadowolona z siebie.

– Czy mogłaby pani podać mi przykład? – przycisnęła ją.

Zdegustowana, pokręciła przecząco głową.

– Nie, źle to ujęłam. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Dawniej zawsze mnie pytał, co się wydarzyło podczas jego nieobecności, pytał o dom, o pokojówki, o moje zajęcia. – Czyżby się zarumieniła? – przebiegło przez myśl Brunettiemu. – Maestro wiedział, że uwielbiam muzykę, że chodzę na koncerty i do opery, gdy go nie ma, i zawsze pytał, jak mi się podobały. Ale gdy przyjechał tym razem, nie zrobił niczego takiego. Przywitał się, spytał, jak się miewam, ale w ogóle nie zainteresował się tym, co mu miałam do powiedzenia. Kilka razy... nie, to zdarzyło się raz. Musiałam pójść do gabinetu, żeby zapytać go, o której mam podać obiad. Tamtego popołudnia miał próbę i nie wiedziałam, o której się skończy, więc poszłam do gabinetu, żeby go zapytać. Zapukałam i weszłam do środka – tak jak zawsze. Ale on nie zwrócił na mnie uwagi, udał, że mnie nie widzi, i kazał mi czekać kilka minut, dopóki nie skończył czegoś pisać. Nie wiem, dlaczego tak postąpił, ale kazał mi czekać jak służącej. Poczulałam się tak zażenowana, że miałam zamiar wyjść. Po tych dwudziestu latach nie powinien był tak mnie potraktować, musiałam stać tam jak przestępca przed sędzią. – Gdy mówiła te słowa, Brunetti dostrzegł w jej oczach udrękę. – Kiedy odwróciłam się, żeby wyjść, w końcu uniósł wzrok i udał, że dopiero teraz mnie zauważył. Udawał, że wyrosłam spod ziemi, żeby zadać mu pytanie. Zapytałam, o której wróci do domu. Przykro mi, ale powiedziałam to ze złością. Po raz pierwszy od dwudziestu lat podniosłam na niego głos. Ale on nie zwrócił na

to uwagi i podał mi godzinę powrotu. Potem pewno było mu przykro, że tak mnie potraktował, gdyż pochwalił kwiaty w wazonach. Zawsze lubił mieć wokół siebie kwiaty. – Umilkła, po czym dodała bez związku: – Przynoszą je z kwiaciarni Biancat, po drugiej stronie Canale Grande.

Brunetti nie potrafił osądzić, czy w tej historii przejawilo się jej oburzenie, czy boleść. Służąca, która przepracowała dwadzieścia lat u jednego pana, z pewnością zasłużyła na to, by nie traktował jej jak służącej.

– Były też inne rzeczy, ale nie przywiązywałam do nich wagi.

– Jakie rzeczy?

– Sprawiał wrażenie... – zaczęła takim tonem, jakby chciała coś powiedzieć, a jednocześnie wzbraniała się przed tym – ...postarzałego. Zdaję sobie sprawę, że nie widziałam go cały rok, ale zmienił się bardziej, niż można by przypuszczać. Zawsze był taki młody i pełen życia. Ale tym razem wydawał się starcem. – Na dowód tego dodała: – Zaczął nosić okulary. Ale nie do czytania.

– Zdziwiło to panią?

– Tak. Ludzie w moim wieku – powiedziała otwarcie – zwykle używają okularów do czytania, nie widzą rzeczy, które są blisko. Ale on nie wkładał ich do czytania.

– Skąd pani wie?

– Ponieważ czasem przynosiłam mu po południu herbatę i zastawiałam go przy czytaniu, i wtedy nie miał okularów. Gdy mnie zobaczył, brał je do ręki i wkładał na nos albo dawał tylko znak, żebym zostawiła tacę. Wyglądało to tak, jakby nie chciał, by ktoś mu przeszkadzał. – Po tych słowach umilkła.

– Powiedziała pani, że zauważyła dwie rzeczy. Jaka była druga?

– Wołałabym o tym nie mówić – odparła zdenerwowana.

– Jeśli pani spostrzeżenie jest nieistotne, nic się nie stanie. Ale jeśli okaże się istotne, być może ułatwi nam znalezienie sprawcy.

– Sama nie wiem. Nie jestem przekonana, czy mam rację. – Jej opór zaczynał słabnąć. – Wyczuwałam to instynktownie. Coś się działo między

nimi. – Sposób, w jaki wymówiła ostatnie słowo, nie pozostawiał wątpliwości, kim jest druga osoba spośród „nich”. Brunetti nie odzywał się, chcąc ją przetrzymać.

– Tym razem zachowywali się inaczej. Przedtem zawsze byli... Nie wiem, jak to opisać... Byli blisko siebie, zawsze blisko siebie – rozmawiali, wspólnie coś robili, dotykali się. – Ton jej głosu świadczył o tym, jak bardzo nie podoba się jej takie zachowanie małżonków. – Ale gdy przyjechali tu ostatnim razem, zachowywali się wobec siebie inaczej. Dla innych ludzi było to niezauważalne. Dalej traktowali się uprzejmie, ale przestali się dotykać, jak to robili wcześniej, gdy nikt ich nie widział. – Ale ona ich widziała, pomyślała. Podniosła wzrok na Brunettiego, mówiąc: – Nie wiem, czy to brzmi sensownie.

– Moim zdaniem tak. Jak pani myśli, co mogło spowodować takie ochłodzenie stosunków między nimi?

W jej oczach dostrzegł przebłysk odpowiedzi, a przynajmniej przypuszczalnej odpowiedzi, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Choć Brunetti zauważył to, nie miał pewności, czy pokojówka uchwyciła swą myśl.

– Może coś się pani nasuwa? – Zadał to pytanie i już wiedział, że posunął się za daleko.

– Nie. Nic. – Pokręciła głową, jakby chciała się od czegoś uwolnić.

– Nie wie pani, czy ktoś ze służby też to zauważył?

Jeszcze bardziej wyprostowała plecy.

– O takich sprawach nie rozmawiam ze służbą.

– Tak, oczywiście – wymamrotał. – Nie to miałem na myśli. – Wyczuł, że pokojówka już wyrzuca sobie, iż podzieliła się z nim swymi spostrzeżeniami, choć tak naprawdę powiedziała mu niewiele. Najlepiej będzie, jeśli zbagatelizuje jej słowa, aby nie obawiała się ich powtórzyć, gdyby to okazało się konieczne, czy uzupełnić, gdyby to było możliwe. – Cieszę się, że pani mi to powiedziała. Pani obserwacje potwierdzają to, co usłyszałem z innych źródeł. Nie muszę dodawać, że zachowam to w największej tajem-

nicy. Gdyby pani coś sobie przypomniała, proszę zadzwonić do mnie na komendę.

– Nie chcę, by pan pomyślał... – Urwała, nie mogąc zdobyć się na powiedzenie tego, co Brunetti mógłby sobie o niej pomyśleć.

– Zapewniam panią, że w moim przekonaniu jest pani bardzo lojalna wobec maestra. – Ponieważ rzeczywiście tak uważał, przynajmniej w ten sposób mógł ją podnieść na duchu. Zmarszczki na jej twarzy odrobinę się wygładziły. Wstał i wyciągnął rękę. Jej dłoń była mała i zaskakująco drobna. Poprowadziła go korytarzem do drzwi wyjściowych. Zniknęła na chwilę, by przynieść mu płaszcz.

– Chciałbym spytać, czy poczyniła pani jakieś plany na przyszłość. Zamierza pani pozostać w Wenecji?

Spojrzała na niego tak, jakby spotkała na ulicy szaleńca.

– Nie. Zamierzam wrócić do Ghent, gdy tylko będzie to możliwe.

– Kiedy może to nastąpić?

– Najpierw pani Wellauer musi zdecydować, co zrobi z mieszkaniem. Dopóki nie podejmie decyzji, będę tutaj, a potem wrócę do domu, gdzie jest moje miejsce. – Mówiąc to, otworzyła drzwi, by go wypuścić, i cicho je zamknęła.

Schodząc po schodach, Brunetti zatrzymał się na pierwszym półpiętrze i wyrzwał przez okno. Wieńczący dzwonnice anioł, widoczny w oddali, rozpostarł skrzydła, udzielając błogosławieństwa miastu i jego mieszkańcom. Nawet jeśli wygnaniec mieszka w najpiękniejszym mieście świata, pomyślał Brunetti, wciąż ma poczucie, że jest wygnańcem.

Rozdział 16

Ponieważ Brunetti znajdował się niedaleko teatru, od razu tam poszedł, wstępując po drodze do baru, by zjeść kanapkę i wypić piwo, choć właściwie nie był głodny – ale zawsze gdy przez dłuższy czas pozostawał bez jedzenia, ogarniał go dziwny niepokój.

Wszedł wejściem dla aktorów, pokazał legitymację i spytał, czy *signor* Traverso już przyszedł. Portier powiedział mu, że *signor* Traverso przybył piętnaście minut temu i czeka na komisarza w barze za kulisami. Brunetti zastał tam wysokiego mężczyznę o trupim wyglądzie, w którym przejawiało się rodzinne podobieństwo do jego kuzyna, dentysty. Kręcący się w barze ludzie, którzy wciąż wchodzili i wychodzili, jedni ubrani w kostiumy, a inni w swoich zwykłych ubraniach, robili tyle hałasu i zamieszania, że Brunetti zaproponował, by porozmawiali w spokojniejszym miejscu.

– Bardzo przepraszam – powiedział muzyk. – Powinienem być o tym pomyśleć. Jedyne spokojnym miejscem będzie któraś z nieużywanych garderób. Sądzę, że możemy pójść na górę. – Położył na kontuarze pieniądze i wziął pudło ze skrzypcami. Poprowadził go przez teatr, a potem w górę schodami, którymi Brunetti szedł tamtego pierwszego wieczoru. Na szczycie schodów natknęli się na postawną kobietę w niebieskim fartuchu, która spytała ich, czego tu szukają.

Traverso zamienił z nią kilka słów, wyjaśnił, kim jest Brunetti i dlaczego tu przyszli. Kobieta kiwnęła głową i poprowadziła ich wąskim korytarzem. Wyjęła z kieszeni pęk kluczy, otworzyła drzwi i stanęła z boku, by ich przepuścić. W małym pomieszczeniu nie było teatralnego przepychu – jedynie dwa fotele stojące naprzeciw siebie przy niskim stoliku i ławka przed lustrem. Usiedli na fotelach, twarzami do siebie.

– Czy podczas prób zauważył pan coś niecodziennego? – spytał Brunetti. Nie chciał sugerować, co ma na myśli, i dlatego sformułował pytanie tak ogólnie, że – jak sobie uzmysłowił – niemal straciło jakikolwiek sens.

– W związku z przedstawieniem czy w związku z maestrem?

– I jedno, i drugie.

– Cóż można powiedzieć o przedstawieniu – oklepana rzecz. Wystawienie i dekoracje były nowe, ale kostiumy wykorzystaliśmy już dwukrotnie. Za to śpiewacy byli dobrzy, pomijając tenora. Powinno się go zastrzelić. Choć to nie jego wina. Złe prowadzenie zespołu przez maestra. Nikt z nas nie miał pojęcia, czego się od nas oczekuje. Może nie od początku, ale gdzieś od drugiego tygodnia. Chyba graliśmy z pamięci – rozumie pan?

– Mógłby pan to sprecyzować?

– Wszystko przez Wellauera. Chyba nagle dopadła go starość. Dwa razy grałem pod jego batutą. Najlepszy dyrygent, z jakim pracowałem. Takich już dzisiaj nie ma, choć wielu go naśladuje. Przedtem graliśmy razem Così. Orkiestra nigdy nie brzmiała lepiej. Ale nie tym razem. Nagle zrobił się z niego starzec. Miało się wrażenie, że nie zwraca uwagi na to, co robi. Czasami, gdy następowało crescendo, unosił pałeczkę i wskazywał nią tego, kto spóźnił się zaledwie o jedną ósmą taktu. To było cudowne. Ale poza tym był po prostu kiepski. Nikt nie powiedział ani słowa. Sami musieliśmy decydować, jak grać, żeby być w zgodzie z partyturą, i zdaliśmy się na koncertmistrza. Chyba nam się udawało. Maestro sprawiał wrażenie zadowolonego. Ale nie było to tak jak kiedyś.

– Sądzi pan, że maestro zdawał sobie z tego sprawę?

– Że orkiestra źle brzmi?

– Tak.

– Na pewno. To niemożliwe, żeby najlepszy dyrygent na świecie nie słyszał, co robi jego orkiestra. Ale czułem, że przez większość czasu myśli o czym innym. Tak jakby był nieobecny, po prostu nie koncentrował się.

– A tego wieczoru, gdy odbył się spektakl? Czy zauważył pan coś osobliwego?

– Nie. Byliśmy zbyt zaabsorbowani tym, żeby grać równo i nie zrobić jeszcze gorszego wrażenia.

– Zupełnie nic? Nie zauważył pan, że dziwnie z kimś rozmawia?

– On w ogóle z nikim nie rozmawiał tego wieczoru. Zobaczyliśmy go dopiero w kanale dla orkiestry, gdy wszedł na podium. – Przerwał i zaczął grzebać w pamięci. – Może jedno, ale nie warto o tym wspominać.

– Co takiego?

– To było pod koniec drugiego aktu, po tej wspaniałej scenie, gdy Alfredo rzuca w Violetkę plikiem banknotów. Nie wiem, jak śpiewacy dali sobie z tym radę. My robiliśmy wszystko, co się da. Wreszcie akt się skończył, publiczność zaczęła bić brawo – ci ludzie są głusi – a maestro tak się jakoś delikatnie uśmiechnął, jakby właśnie usłyszał coś dowcipnego. I odłożył pałeczkę. Nie rzucił jej na podium, jak to miał w zwyczaju. Ostrożnie ją odłożył i znowu się uśmiechnął. Potem zszedł z podium i poszedł za kulisy. Wtedy widziałem go ostatni raz. Sądziłem, że uśmiecha się, gdyż akt dobiegł końca, i przypuszcza, że reszta pójdzie lepiej. Ale trzeci akt odbył się pod batutą innego dyrygenta. – Spojrzał na zegarek. – Nie wiem, czy to jest odpowiedź na pana pytanie.

Gdy sięgał po skrzypce, Brunetti powiedział:

– Jeszcze jedno. Czy muzycy to zauważyli? Nie uśmiech, ale zmianę, jaka w nim zaszła.

– Wielu to zauważyło. Głównie ci, którzy już grali pod jego batutą. A reszta? Trudno mi powiedzieć. Przyjeżdża tu tylu marnych dyrygentów, że sam nie wiem, czy potrafią dostrzec między nimi różnicę. A może to przez mojego ojca. – Widząc, że Brunetti nic nie rozumie, wyjaśnił: – Ojciec ma osiemdziesiąt siedem lat i też tak się zachowuje – patrzy na nas znad okularów, jakby chciał się dowiedzieć, co przed nim ukrywamy. – Znowu spojrzął na zegarek. – Muszę już iść. Za dziesięć minut podniosą kurtynę.

– Dziękuję panu za pomoc – powiedział Brunetti, choć nie wiedział, jak rozumieć to, co właśnie usłyszał od muzyka.

– Dla mnie brzmiało to jak plotki. Czyste plotki. Ale mam nadzieję, że coś to panu da.

– Czy mógłbym zostać w teatrze podczas przedstawienia? – spytał Brunetti.

– Czemu nie. Kiedy pan będzie wychodził, proszę powiedzieć Lucii, że może już zamknąć ten pokój. – W pośpiechu powtórzył: – Muszę już lecieć.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co. – Uścisnęli sobie dłonie i muzyk wyszedł z garderoby.

Brunetti został w pokoju, chcąc skorzystać z okazji i zobaczyć, ile ludzi kręci się za kulisami podczas przedstawienia i w czasie przerw i jak łatwo jest niepostrzeżenie wejść do garderoby dyrygenta i wyjść z niej.

Odczekał tam z piętnaście minut, zadowolony, że jest sam i nic nie zakłóca jego spokoju. Po chwili ucichły hałasy dochodzące przez drzwi. Doshedł do wniosku, że śpiewacy zeszli już na dół i szykowali się do wyjścia na scenę. Rozkoszując się ciszą, ociągał się z wyjściem z pokoju.

Gdy usłyszał dźwięki uwertury, rozchodzące się na schodach i przenikające przez ściany, uznał, że czas odszukać garderobę dyrygenta. Wyszedł na korytarz i zaczął rozglądać się za kobietą, która wpuściła ich do pokoju, ale nigdzie jej nie zobaczył. Ponieważ polecono mu dopilnować, żeby pokój został zamknięty, poszedł korytarzem i spojrział w dół na schody. – *Signora Lucia!* – zawołał, ale nikt się nie odezwał. Poshedł do drzwi pierwszej garderoby, zapukał i nie usłyszał odpowiedzi. W drugiej też panowała cisza. W trzeciej ktoś zawołał: – *Avanti!* – Brunetti otworzył drzwi i już miał powiedzieć, że pokój, z którego skorzystał, jest pusty i można go zamknąć.

– *Signora Lucia* – zaczął od wejścia, ale urwał, zobaczywszy Brett Lynch, wyciągniętą na fotelu, z otwartą książką na kolanach i kieliszkiem czerwonego wina w ręce.

Była równie zaskoczona jak Brunetti, ale szybciej ochłonęła.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – powiedziała. – W czym mogę panu pomóc? – Odstawiła kieliszek na stół, który znajdował się obok fotela, z trzaskiem zamknęła książkę i uśmiechnęła się.

– Chciałem powiedzieć signorze Lucii, że może już zamknąć garderobę – wyjaśnił.

– Pewno jest na dole i ogląda przedstawienie ze skrzydła. Jest ogromną wielbicielką Flavii. Kiedy wróci na górę, powiem jej, żeby zamknęła pokój. Proszę się nie przejmować, dopilnuję tego.

– To miło z pani strony. A pani nie ogląda przedstawienia?

– Nie – odparła. Widząc jego reakcję, zapytała: – Dziwi to pana?

– Sam nie wiem. Ale ponieważ zadałem to pytanie, więc pewnie jestem zdziwiony.

Szeroki uśmiech, jaki posłała mu w odpowiedzi, ucieszył go zarówno dlatego, że nie spodziewał się po niej takiej serdeczności, jak i dlatego, że złagodził kanciastość jej twarzy.

– Jeśli pan mi obieca, że nic nie powie Flavii, wyznam panu, że zbytnio nie lubię ani Verdiego, ani *Traviaty*.

– Dlaczego? – spytał, zaintrygowany tym, że sekretarka i przyjaciółka – wolał pozostać przy tych określeniach – najszynniejszej obecnie sopranistki, która śpiewa utwory Verdiego, przyznaje, iż nie gustuje w jego muzyce.

– Niech pan usiądzie, komisarzu – odparła, wskazując stojący naprzeciw niej fotel. – Niewiele będzie się działo przez następne – spojrzała na zegarek – dwadzieścia cztery minuty.

Usiadł na wskazanym miejscu, lekko przesunął fotel, żeby patrzeć prosto na nią, i zapytał:

– Dlaczego nie lubi pani Verdiego?

– To nie jest dokładnie tak. Lubię niektóre utwory Verdiego, na przykład *Otella*. Ale nie odpowiada mi muzyka tej epoki.

– A której? – zapytał, przekonany, że zna odpowiedź. Zamożna, nowoczesna Amerykanka z pewnością woli muzykę czasów, w których żyje, czasów, które ją stworzyły.

– Osiemnastego wieku. – Zaskoczyła go. – Mozarta i Handla, których, u licha, Flavia nie ma zbytniej ochoty śpiewać.

– Próbowала ją pani nakłonić?

Brett Lynch wzięła kieliszek, upiła łyk wina i odstawiła go na stół.

– Nakłoniłam ją do kilku rzeczy, ale nie udało mi się odciągnąć jej od Verdiego.

– To niepowodzenie jest naszym szczęściem – odparł, łatwo wpadając w jej ton, z którego więcej dało się wywnioskować niż z samych słów. – Natomiast powodzenie w innych sprawach jest szczęściem pani.

Ku zdziwieniu Brunettiego zachichotała, a on ku własnemu zdziwieniu zaśmiał się razem z nią.

– No i wszystko już wiadomo. Przyznałam się panu. Może teraz będziemy rozmawiać jak ludzie, a nie jak postacie z kiepskiej powieści.

– Bardzo bym chciał.

– Mam na imię Brett i wiem, że ty masz na imię Guido – powiedziała, rezygnując z formalności i przechodząc na ty.

Wstała z fotela i podeszła do małego zlewu w rogu pokoju. Na blacie stała butelka wina. Napełniła drugi kieliszek, wzięła go razem z butelką i podała Brunettiemu.

– Przyszedłeś tu, żeby porozmawiać z Flavią? – spytała.

– Nie miałem takiego zamiaru, ale prędzej czy później będę musiał z nią porozmawiać.

– Dlaczego?

– Żeby ją zapytać, po co przyszła do garderoby Wellauera po pierwszym akcie. – Brett Lynch nie dała po sobie poznać, czy zaskoczyło ją to stwierdzenie. – Masz jakieś przypuszczenia?

– Skąd wiesz, że tam była?

– Ponieważ przynajmniej dwie osoby widziały, że wchodziła do środka. Po pierwszym akcie.

– Ale nie po drugim?

– Nie, po drugim nie.

– W przerwie po drugim akcie była tutaj, razem ze mną.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałaś, że była tutaj, razem z tobą, także po pierwszym akcie. Co jest nieprawdą. Skoro wtedy skłamałaś, dlaczego mam wierzyć, że teraz mówisz prawdę? – Upił trochę wina. Barolo, bardzo dobre.

– Tak rzeczywiście było.

– Dlaczego mam w to uwierzyć?

– Chyba nie masz powodu – odparła, popijając wino. Zachowywała się tak, jakby zamierzali rozmawiać ze sobą przez cały wieczór. – Ale tak było. – Opróżniła kieliszek, wlała do niego trochę wina i powiedziała: – Rzeczywiście poszła zobaczyć się z nim po pierwszym akcie. Sama mi to powiedziała. Przez wiele dni drażnił się z nią i groził, że napisze do jej męża. I w końcu poszła do niego, żeby porozmawiać.

– Czy to nie dziwna pora? Podczas przedstawienia?

– Flavia już taka jest. Jak ma coś zrobić, to się nie zastanawia. Po prostu działa. Robi to, co chce. Między innymi dlatego jest wielką śpiewaczką.

– Z taką osobą chyba trudno żyć.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Zgadza się, ale są też i przyjemności.

– Co ci powiedziała? – Widząc, że nie rozumie pytania, dodał: – O tym spotkaniu.

– Że się pokłócili. Nie chciał jasno odpowiedzieć, czy napisał do jej męża. Tyle mniej więcej od niej usłyszałam, ale kiedy wróciła od niego, trzęsła się ze złości. Nie mogę pojąć, jak zdołała potem wystąpić na scenie.

– Rzeczywiście napisał do jej męża?

– Nie wiem. Od tego wieczoru nie rozmawiała już ze mną na ten temat. – Widząc jego zdziwienie, wyjaśniła: – Mówiłam ci, że ona już taka jest. Kiedy śpiewa, nie rozmawia o rzeczach, które ją dręczą. – Po chwili dodała ze smutkiem: – Co nie znaczy, że rozmawia o nich, kiedy nie występuje. Twierdzi, że myślenie o czymkolwiek innym niż muzyka utrudnia jej koncentrację. Przypuszczam, że wszyscy zawsze tolerowali takie jej zachowanie. Bóg mi świadkiem, że ja też.

– Czy on byłby zdolny do tego, żeby napisać do jej męża?

– Ten człowiek był zdolny do wszystkiego. Możesz mi wierzyć. Uważał się za obrońcę ludzkiej moralności. Nie mógł ścierpieć, gdy ludzie nie stosowali się do tego, co według jego definicji było słuszne. Dostawał szału, widząc, że mają śmiałość tak postępować. Był przekonany, że ma jakieś boskie prawo wymierzać im sprawiedliwość – wedle swojego poczucia sprawiedliwości.

– A ona do czego była zdolna?

– Flavia?

– Tak.

Nie zdziwiła się jego pytaniem.

– Nie wiem. Nie sądzę, by mogła to zrobić w ten sposób, z zimną krwią. Zrobiłaby wszystko, żeby zatrzymać przy sobie dzieci, ale nie przypuszczam... nie, nie w ten sposób. Poza tym trudno uwierzyć, że nosiła przy sobie truciznę, prawda? – Ta myśl przyniosła jej widoczną ulgę. – Ale sprawa nie skończy się na tym. Będzie proces albo coś w rodzaju przesłuchania i wtedy wyjdzie na jaw, o co się pokłócili. Czyż nie tak? – Komisarz kiwnął głową. – To wystarczy jej mężowi.

– Nie jestem taki pewny – odparł Brunetti.

– Och, nie udawaj Greka – burknęła. – Żyjemy we Włoszech, kraju szczęśliwej rodziny, uznanej za świętość. Pozwolono by jej mieć tylu kochanków, ilu by tylko chciała, pod warunkiem że byłiby to mężczyźni. Wówczas w jej domu znowu pojawiłby się ojciec, albo jego namiastka. Gdy ta sprawa wyjdzie na jaw, Flavia nie będzie miała przeciw niemu żadnych szans.

– Czy ty nie przesadzasz?

– W czym? – zapytała kategorię tonem. – Nigdy nie ukrywałam, jak żyję. Zawsze byłam zbyt zamożna, by mój sposób życia miał wpływ na to, co ludzie myślą i mówią na mój temat. Co nie znaczy, że powstrzymywali się od komentarzy. Nawet jeśli niczego nie będzie można nam udowodnić, tylko pomyśl, jak wykorzysta to sprytny prawnik: „Sopranistka za-

trudnia milionerkę w charakterze sekretarki”. Wrażenie, jakie wywołają te słowa, będzie zgodne z prawdą.

– Może skłamać – wtrącił Brunetti, sugerując krzywoprzysięstwo.

– Nie przypuszczam, aby dla włoskiego sędziego stanowiło to jakąkolwiek różnicę. A poza tym nie sądzę, by skłamała. To raczej wykluczone. Zwłaszcza w tej sprawie. Flavia naprawdę uważa, że stoi ponad prawem. – Widać było, że natychmiast pożałowała tych słów. – Ale to tylko zwykła gadanina, jak na scenie. Ona potrafi krzyczeć i złościć się na ludzi – ale to są tylko gesty. Nigdy nie widziałam, by wobec kogokolwiek uciekała się do przemocy. To tylko słowa.

Brunetti czuł się na tyle Włochem, by wiedzieć, w co mogą przemienić się słowa, gdy kobieta walczy o swoje dzieci – ale nie wyraził swej opinii głośno.

– Czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

Głęboko westchnęła, domyślając się, co nastąpi, i kiwnęła głową.

– Czy kiedykolwiek którąś z was szantażowano?

Najwyraźniej nie było to pytanie, którego się obawiała.

– Nie, ani mnie, ani Flavii. Przynajmniej nigdy mi o tym nie mówiła.

– A jak się układają twoje stosunki z dziećmi?

– Całkiem dobrze. Paolo ma trzynaście lat, Vittoria osiem – są na tyle duzi, że mogą zauważyć, co się dzieje. Ale i z nimi Flavia nigdy nie rozmawiała otwarcie, nigdy im nic nie powiedziała. – Brett Lynch okazała swą liberalność wzruszeniem ramion, przejawiając w tym geście całą swą amerykańską naturę, pozbawioną teraz jakiegokolwiek włoskiej domieszki.

– A przyszłość?

– Masz na myśli starość? Popijanie popołudniowej herbatki u Floriana?

Brunetti nie stworzył sobie w myślach aż tak statecznego obrazu ich życia, ale i ten mu wystarczył. Kiwnął więc głową.

– Nie mam pojęcia. Kiedy jestem z nią, nie mogę pracować, a zatem będę musiała się zastanowić, co chcę robić.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem archeologiem, specjalizuję się w kulturze chińskiej. Dzięki temu poznałam Flavię. Trzy lata temu pomagałam w przygotowywaniu wystawy sztuki chińskiej w Pałacu Dożów. Oficjele ściągnęli ją, ponieważ śpiewała partię Lucii w La Scali, a następnie przyprowadzili ją na przyjęcie po otwarciu wystawy. Potem musiałam wrócić do Xian – tam prowadzone są wykopaliska, przy których pracuję. W ekipie są tylko trzy osoby z Zachodu. Już trzy miesiące mnie tam nie ma. Jeśli nie wrócę do Chin, ktoś zajmie moje miejsce.

– To ci żołnierze? – spytał, mając w pamięci figury z terakoty, które widział na wystawie. Każda miała tak indywidualny charakter, że wyglądały jak portrety ludzi.

– To tylko początek – powiedziała. – Są ich tysiące, nawet nie możemy sobie wyobrazić, ilu ich jest. Jeszcze nie dotarliśmy do skarbcza w głównym grobowcu. Prace opóźnia szalona biurokracja. Ale zeszłej jesieni otrzymaliśmy pozwolenie od rządu na rozpoczęcie prac wewnątrz kopca, w którym mieści się skarbiec. Sądząc po tej niewielkiej części, którą widziałam, będzie to najważniejsze odkrycie archeologiczne od czasów, gdy znaleziono grobowiec Tutanchamona. A tak naprawdę rzeczy, które zaczniemy odgrzebywać, nie da się porównać z niczym nam znanym.

Brunetti zawsze sądził, że pasja naukowa jest wymysłem ludzi, którzy piszą książki, próbą pokazania naukowców w bardziej ludzkim świetle. Patrząc na Brett Lynch, przekonał się, jak bardzo się mylił.

– Nawet ich narzędzia są takie piękne, nawet te małe miseczki, z których jedli robotnicy.

– A jeśli tam nie wrócisz?

– To zaprzepaszczę wszystko. Nie chodzi o sławę. Ona należy się Chińczykom. Ale o szansę, by to wszystko zobaczyć, by tego dotknąć, by mieć prawdziwe wyobrażenie o ludziach, którzy to stworzyli. Jeśli tam nie wrócę, nie zaznam tego.

– Czy jest to dla ciebie ważniejsze niż to, co jest tutaj? – spytał, wskazując garderobę.

– To nie jest uczciwie postawione pytanie. – Zrobiła ten sam gest co Brunetti, szerokim łukiem obejmując stojące na blacie przedmioty do charakteryzacji, kostiumy wiszące za drzwiami i peruki na stojakach. – Nie w tym jest moja przyszłość, ale w garnkach, skorupach i pozostałościach cywilizacji, która ma tysiące lat. A Flavia jest tutaj, w środku tego wszystkiego. Za pięć lat będzie najsłynniejszą na świecie śpiewaczką utworów Verdiego. Nie sądzę, że znajdę w tym swoje miejsce. Ona jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, ale mówiłam ci, jaka jest – nie pomyśli o tym, dopóki tak się nie stanie.

– Ale ty już pomyślałaś.

– Oczywiście.

– I co zrobisz?

– Zobaczę, co się będzie tutaj działo, w tej sytuacji. – Znowu zatoczyła ręką koło i zawarła w tym geście również śmierć człowieka, która nastąpiła w tym teatrze przed czterema dniami. – A potem wrócę do Chin. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Ot tak?

– Nie, nie „ot tak”, ale mimo to wrócę.

– Uważasz, że warto?

– Co warto?

– Wracać do Chin.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Chiny to moja praca, to jest coś, co robię, i co w gruncie rzeczy również kocham. Nie mogę przez całe życie siedzieć w garderobie i czytać chińskiej poezji, czekając, aż skończy się opera, by potem móc żyć własnym życiem.

– Powiedziałaś jej to?

– Co mianowicie miała mi powiedzieć? – spytała kategorycznym tonem Flavia Petrelli, robiąc teatralne wejście i z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Przedefilowała przez pokój, ciągnąc za sobą tren bładoniebieskiej sukni. Była całkowicie przemieniona, promienna, tak piękna, jak piękna

może być dla Brunettiego kobieta. Nie przyczynił się do tego kostium czy makijaż – jej strój wyrażał to, kim jest i co robi. To właśnie tak ją odmie- niło. Powiodła oczami po pokoju i zauważyła dwa kieliszki oraz przyjazne nastawienie do siebie Brett Lynch i Brunettiego, widoczne w ich pozach. – Co mianowicie miała mi powiedzieć? – ostro spytała po raz drugi.

– Że nie lubi *Traviaty* – powiedział Brunetti. – Zdziwiłem się, widząc ją tutaj, pogrążoną w lekturze, gdy pani śpiewa. Wyjaśniła mi, że nie jest to jej ulubiona opera.

– A ja jestem zdziwiona, widząc tutaj pana, komisarzu. Poza tym wiem, że nie jest to jej ulubiona opera. – Nie dała po sobie poznać, czy uwierzyła jego słowom. Brunetti wstał, gdy weszła do pokoju. Przeszła przed nim, wzięła kieliszek stojący na blacie i napełniła go wodą mineralną, a potem wypła ją czterema dużymi łykami. Znowu go napełniła i wypła połowę. – Przez te wszystkie światła człowiek czuje się jak w saunie. – Opróżniła kie- liszek i odstawiła go. – O czym rozmawialiście?

– Słyszałaś, Flavio. O *Traviacie*.

– To nieprawda – burknęła. – Ale teraz nie mam czasu rozmawiać o tym. – Odwróciła się do Brunettiego i powiedziała wysokim głosem, jaki mają śpiewacy po występie, z trudem wydobywającym się ze ściśniętego ze zło- ści gardła: – Zechce pan wyjść z mojej garderoby, żebym mogła przebrać się do następnego aktu.

– Naturalnie, *signora* – odparł Brunetti tonem przepaszającym i ugrzecznionym, na jaki tylko było go stać. Skinął głową Brett, która odpo- wiedziała mu krótkim uśmiechem, choć nie wstała z fotela, i szybko wy- szedł z pokoju. Zatrzymał się na chwilę za drzwiami i przyłożył do nich ucho, wcale się tego nie wstydząc. Ale kobiety rozmawiały ze sobą przyci- szonym głosem.

Na szczycie schodów pojawiła się kobieta w niebieskim fartuchu. Bru- netti odskoczył od drzwi i podszedł do niej. Powiedział jej, że garderoba jest pusta, uśmiechnął się, podziękował i zszedł schodami prowadzącymi na tył sceny, gdzie zdumiało go panujące tam zamieszanie. Ludzie w strojach stali oparci o ściany i śmiali się albo palili papierosy. Mężczyźni w smokin-

gach rozmawiali o piłce nożnej. Pracownicy techniczni chodzili w tę i z powrotem, przenosząc papierowe paprotki i tace z mocno przyklejonymi do nich kieliszkami szampana.

W głębi krótkiego korytarza po prawej stronie znajdowały się drzwi do garderoby dyrygenta, które właśnie zamknęły się za następcą Wellauera. Brunetti stał na końcu korytarza przynajmniej przez dziesięć minut i nikt nie zapytał go, kim jest i co tu robi. W końcu rozległ się dzwonek i jakiś mężczyzna z brodą, ubrany w marynarkę i krawat, chodził po scenie od jednej grupy ludzi do drugiej, wskazując im, dokąd mają pójść i co robić.

Dyrygent wyszedł z garderoby, zamknął za sobą drzwi i przeszedł obok Brunettiego, nie zwracając na niego uwagi. Gdy zniknął, Brunetti swobodnym krokiem ruszył korytarzem i wszedł do pokoju. Nikt nie zauważył, że tam wszedł, ani, nawet jeśli ktoś go widział, nie spytał, co w nim robi.

Pokój wyglądał prawie tak samo jak tamtego wieczoru, tylko mała filiżanka i spodeczek stały na stoliku, a nie leżały na podłodze. Brunetti pozostał w pokoju jedynie przez chwilę, po czym zaraz wyszedł. Jego wyjście pozostało tak samo niezauważone jak wejście – i to zaledwie w cztery dni po tym, jak w tym pokoju umarł człowiek.

Rozdział 17

Kiedy Brunetti znalazł się w domu, było już za późno, żeby mógł spełnić swą obietnicę i zabrać Paolę i dzieci na kolację, a poza tym już wchodząc po schodach, czuł przemieszane zapachy czosnku i szałwi.

Po wejściu do mieszkania na moment stracił całkowicie orientację, dobiegł go bowiem głos Flavii Petrelli, którą jeszcze dwadzieścia minut temu słyszał w partii Violetty ze sceny teatru, a którą teraz słyszał we własnym salonie w końcowej części drugiego aktu. Zrobił dwa raptowne i bezwiedne kroki w przód i dopiero wtedy przypomniał sobie, że tego wieczoru spektakl jest transmitowany na żywo przez telewizję. Paola nie była gorącą wielbicieleką opery i prawdopodobnie oglądała przedstawienie po to, by rozpracować kwestię, który ze śpiewaków jest mordercą. Jej ciekawość z pewnością dzieliła miliony ludzi w całych Włoszech.

Usłyszał dochodzący z salonu głos jego córki Chiary, która zawołała:

– Tato wrócił! – a jednocześnie Violetta błagała Alfreda, żeby zostawił ją na zawsze.

Wszedł do salonu w momencie, gdy tenor rzucił garść banknotów w twarz Flavii Petrelli, a ta, zapłakana, z wdziękiem osunęła się na podłogę. Ojciec Alfreda ruszył z drugiego końca sceny, by go zganić, a w tym momencie Chiara zapytała:

– Tato, dlaczego on to zrobił? Myślałam, że ją kocha. – Spojrzała na ojca, unosząc głowę chyba znad zeszytu do matematyki, i nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzyła pytanie: – Dlaczego on to zrobił?

– Ponieważ sądził, że ona chodzi z innym mężczyzną – odparł Brunetti, nie mogąc wymyślić lepszego wyjaśnienia.

– No to co z tego? Przecież nie są małżeństwem ani nic w tym rodzaju.

– *Ciao, Guido!* – zawołała Paola z kuchni.

– No więc – naciskała Chiara – dlaczego tak się rozłościł?

Brunetti przeszedł przed nią i ściszył telewizor, zastanawiając się, co jest przyczyną głuchoty u wszystkich nastolatków. Widząc, jak trzyma przed sobą ołówek i obraca nim w powietrzu, domyślił się, że nie zadowolony jest jego odpowiedzią. Postanowił pójść na kompromis.

– Oni mieszkali razem. Zgadza się?

– Tak. I co z tego?

– Kiedy ludzie mieszkają razem, zwykle nie chodzą z kimś innym.

– Ale ona z nikim nie chodziła. Robiła to wszystko tylko po to, żeby on tak sądził.

– Przypuszczam, że uwierzył jej i zrobił się zazdrosny.

– On nie ma żadnego powodu do zazdrości. Ona naprawdę go kocha. Każdy to widzi. Palant z niego. A poza tym ona ma swoje pieniądze, prawda?

– Hmm – mruknął, próbując grać na zwłokę i przypomnieć sobie treść *Traviaty*.

– Dlaczego nie poszukał sobie jakiejś pracy? Skoro ona go utrzymuje, to ma prawo robić, co chce. – Na widowni rozległy się gromkie brawa.

– Nie zawsze, aniołku.

– Ale czasami, prawda, tato? Dlaczego by nie? U większości moich znajomych jest tak, że jeśli matki nie pracują – w przeciwieństwie do naszej mamy – to o wszystkim decydują ojcowie: na przykład o tym, dokąd pojedą na wakacje, i o wszystkich innych rzeczach. A niektórzy nawet mają kochanki. – To ostatnie zdanie powiedziała trochę ciszej, raczej tonem pytania niż stwierdzenia. – A one muszą się na to zgadzać, ponieważ oni zarabiają pieniądze i dlatego mogą kazać innym robić różne rzeczy. – Nawet Paola, pomyślał Brunetti, nie zdołałaby tak celnie przedstawić istoty systemu kapitalistycznego. Tak naprawdę przemówienie Chiary do złudzenia przypominało mu wypowiedzi jego żony.

– Sprawa nie jest taka prosta, serdeńko. – Brunetti rozluźnił krawat. – Czy mogłabyś zrobić przysługę twojemu staremu ojcu i przynieść mu z kuchni kieliszek wina?

– Jasne. – Rzuciła ołówek na stół, gotowa zrezygnować z tej rozmowy. – Białego czy czerwonego?

– Zobacz, czy jest jeszcze prosecco. Jeśli go nie znajdziesz, przynieść to, które twoim zdaniem będzie mi smakowało. – W żargonie rodzinnym oznaczało to, że ma przynieść to wino, którego chce posmakować.

Usiadł na kanapie, zrzucił buty i oparł nogi na niskim stoliku. Z telewizora dochodził go głos spikera, który, nie wiadomo po co, zaznajamiał słuchaczy z wydarzeniami ostatnich dni. Historia, opowiedana przejętym, upiornym głosem, brzmiała jak streszczenie opery, będącej przykładem weryzmu w sztuce i zawierającej elementy makabry.

Chiara wróciła do pokoju. Była wysoką dziewczyną, całkowicie pozbawioną gracji ruchów. Nawet gdy dwa pokoje dzieliły go od kuchni, Brunetti wiedział, że przyszła kolej Chiary na zmywanie naczyń, gdyż w całym mieszkaniu rozlegał się donośny brzęk i łoskot. Ale była ładna, może stanie się nawet piękna – miała szeroko osadzone oczy i miękki puszek pod uszami, który lśnił w blasku światła i sprawiał, że Brunettiemu serce topniało z czułości.

– Fragolino – usłyszał jej głos za plecami. Podała mu kieliszek, rozlewając tylko kropelkę, i to na podłogę. – Mogę łyka? Mama nie chciała go otworzyć. Powiedziała, że oprócz tej butelki jest tylko jedna. Ale powiedziałam jej, że jesteś bardzo zmęczony, i się zgodziła. – Nim zdążył wyrazić pozwolenie, wzięła od niego kieliszek i upiła łyk. – Tato, dlaczego wino pachnie jak truskawki? – Brunetti zaczął się zastanawiać, dlaczego tak już jest, że gdy dzieci cię kochają, znasz odpowiedź na wszystkie pytania, a gdy gniewają się na ciebie, nie wiesz nic?

– Dzięki winogronom. Pachną jak truskawki i dlatego wino też ma taki zapach. – Powąchał i posmakował wino, przekonując się o prawdziwości tego stwierdzenia. – Odrabiasz lekcje?

– Tak. Matematykę – odparła z ożywieniem, którego przyczyn nie był w stanie pojąć. Oto dziecko, które wyjaśniało mu, co zawiera wyciąg z jego konta bankowego przysyłany co trzy miesiące, i które pod koniec maja wypełni jego deklarację podatkową.

– Co to za zadania? – spytał z udawanym zainteresowaniem.

– Och, i tak nie zrozumiesz. – W lot skorzystała z okazji i spytała: – Kiedy kupisz mi komputer?

– Jak wygram na loterii. — Brunetti miał podstawy sądzić, że jego teść zamierza podarować jej laptopa w prezencie gwiazdkowym, i z niechęcią przyjmował fakt, że budzi to jego niechęć.

– Och, tato, zawsze tak mówisz. – Usiadła naprzeciw niego, zarzuciła nogi na stojący między nimi stół i przyłożyła stopy do jego stóp. Lekko pchnęła go nogą. – Maria Rinaldi już ma komputer, Fabrizio też. Nigdy nie będę dobrą uczennicą, tak naprawdę dobrą, jeśli nie będę miała komputera.

– Wydaje mi się, że doskonale dajesz sobie radę, korzystając z ołówka.

– Pewnie, ale to zabiera mi dużo czasu.

– Czy twój umysł nie będzie lepiej pracował, jeśli będziesz go ćwiczyć, a nie wyręczać się maszyną?

– Bzdury, tato. Umysł to nie mięsień. Uczyliśmy się tego na biologii. A poza tym czy ty idziesz na drugi koniec miasta, jeśli potrzebną ci informację możesz uzyskać przez telefon? – Lekko pchnął ją nogą, ale nie odpowiedział na pytanie. – No więc nie idziesz, prawda?

– Co zrobiłabyś z całym tym czasem zaoszczędzonym dzięki komputerowi?

– Rozwiązywałabym trudniejsze zadania. Za mnie komputer tego nie zrobi – słowo ci daję, tato. On tylko szybciej działa. Na tym polega jego zaleta – jest maszyną, która dodaje i odejmuje milion razy szybciej niż my.

– Czy ty sobie wyobrażasz, ile coś takiego kosztuje?

– Jasne. Taka mała toshiba, którą chciałabym mieć, kosztuje dwa miliony lirów.

Akurat wtedy, na szczęście, weszła do pokoju Paola. Gdyby tak się nie stało, musiałby powiedzieć Chiarze, jakie jest prawdopodobieństwo, że dostanie komputer od niego.

A ponieważ to mogłoby skłonić ją do napomknięcia w rozmowie o dziadku, Brunetti był podwójnie zadowolony, gdy zobaczył Paolę. Przyniosła butelkę fragolino i drugi kieliszek. Jednocześnie ucichła gadanina w telewizorze i rozległy się dźwięki uwertury do trzeciego aktu.

Paola postawiła butelkę i usiadła na bocznym oparciu kanapy, koło męża. Na ekranie uniosła się kurtyna i ukazał się surowo urządzone pokój. Z trudem rozpoznał Flavię Petrelli – widzianą w całej krasie niewiele ponad godzinę wcześniej – w słabowitej kobiecie, która leżała na otomanie, przykryta szalem, spuściwszy bezwładną rękę na podłogę. Bardziej przypominała signorę Santinę niż słynną kurtyzanę. Ciemne kręgi pod oczami i tragiczny wyraz zaciśniętych ust były przekonującym świadectwem choroby i rozpacz. Nawet w jej głosie, gdy prosiła Anninę o rozdanie resztek jej pieniędzy ubogim, dało się słyszeć słabość, boleść i opuszczenie.

– Ona jest świetna – powiedziała Paola. Brunetti psyknął na żonę. Ze skupieniem oglądali spektakl.

– A on jest głupkiem – wtrąciła Chiara, gdy Alfredo wpadł do pokoju i porwał Violetę w ramiona.

– Pst – oboje uciszyli córkę. Wróciła do matematyki, ale mruknęła pod nosem: – Palant – wystarczająco głośno, by rodzice ją usłyszeli.

Brunetti widział, jak Petrelli wpada w uniesienie na widok ukochanego i jak przeobraża się jej twarz, tryskająca teraz rumieńcem prawdziwego szczęścia. Aktorzy snuli marzenia o wspólnej przyszłości, która nie jest im dana, a głos Petrelli znowu nabrał siły i wyrazistości.

Przepełniona radością stanęła na nogi i uniosła ręce ku niebiosom.

– „Powraca życie i radość!”³ – zawołała, po czym – jak to w operze – padła i umarła.

– Dalej uważam, że to palant – skomentowała Chiara szlochami Alfreda, którym towarzyszyła huczna owacja publiczności. – Nawet gdyby przeżyła,

z czego by się utrzymywali? Miałaby wrócić do tego, co robiła, zanim go poznała? – Brunetti nie chciał wiedzieć, jakie rozeznanie w tego rodzaju sprawach ma jego córka. Wyraziwszy swoje zdanie, Chiara szybko napisała długi rząd cyfr na dole strony, wsunęła kartkę do podręcznika do matematyki i zamknęła go z trzaskiem.

– Nie miałam pojęcia, że jest taka dobra – stwierdziła z uznaniem Paola, nie zwracając żadnej uwagi na komentarze córki. – Opowiedz mi o niej – poprosiła, zachowując się w typowy dla siebie sposób. To, że ta kobieta była wmieszana w morderstwo, nie obudziło w Paoli zainteresowania, dopóki nie przekonała się o jej talencie.

– Jest po prostu śpiewaczką – odparł obojętnym tonem.

– A Reagan był po prostu aktorem – rzuciła od niechcienia. – Jaka ona jest?

– Jest arogancka, boi się stracić dzieci i często ubiera się na brązowo.

– Chodźmy jeść – powiedziała Chiara. – Umieram z głodu.

– To nakryj do stołu, a my zaraz przyjdziemy.

Ociągając się i okazując niezadowolenie, Chiara wstała z krzesła, ale z nim poszła do kuchni, stwierdziła:

– A teraz pewnie zmusisz tatę, żeby powiedział ci, jaka ona rzeczywiście jest, a mnie ominie to, co najciekawsze, jak zwykle. – Chiara nie mogła przeboleć, że nigdy nie zdołała wyciągnąć od ojca żadnych informacji, które przysporzyłyby jej popularności w szkole.

– Ciekawe, gdzie ona nauczyła się tak grać – powiedziała Paola, nalewając wino do kieliszków. – Miałam ciotkę, która dawno temu, kiedy byłam jeszcze małą, umarła na gruźlicę. Wciąż pamiętam, jak wyglądała i jak poruszała rękami – zawsze tak nerwowo, jak ona na scenie, i ciągle coś z nimi robiła, chwytając się jedną ręką za drugą. – Z charakterystyczną dla siebie obcesowością, nagle spytała: – Myślisz, że to zrobiła?

Wzruszył ramionami.

– Być może. Każdy chce mi wmówić, że ona ma taki południowy temperament, żyje emocjami, wbija nóż pod żebro, gdy tylko ktoś ją obrazi. Ale

sama widziałaś, że jest doskonałą aktorką. Więc nie da się powiedzieć, że nie jest zimną i wyrachowaną osobą, zdolną do popełnienia takiego morderstwa. A ponadto uważam, że jest inteligentna.

– A jej przyjaciółka?

– Ta Amerykanka?

– Tak.

– Tego nie wiem. Powiedziała mi, że po pierwszym akcie Petrelli poszła porozmawiać z nim i że skończyło się to kłótnią.

– O co?

– Groził, że powie jej eksmężowi o romansie z Brett.

Paola nie pokazała po sobie, czy jest zdziwiona, słysząc, że używa jej imienia.

– Mają dzieci?

– Tak. Dwoje.

– Więc groźba jest poważna. A tamta, ta Brett, jak ją nazywasz, czy mogła to zrobić?

– Nie sądzę. Nie uważa, by ten romans był zasadniczą sprawą w jej życiu, i nie dopuści, by tak się stało. Nie, to raczej nie ona.

– Wciąż nie odpowiedziałeś, czy podejrzewasz Petrelli.

– Daj spokój, Paola. Sama wiesz, że zawsze się myślę, gdy próbuję pracować zgodnie z tym, co podpowiada mi intuicja, gdy podejrzewam zbyt wiele albo zbyt wcześnie. Nie wiem, co o niej myśleć. Wiem tylko jedno: ta sprawa ma związek z jego przeszłością.

– No dobrze – zgodziła się porzucić ten temat. – Chodźmy jeść. Mam kurczaka, karczochy i butelkę soave.

– Chwała Bogu! – Wstał i wziął ją za rękę, pomagając jej podnieść się z bocznego oparcia kanapy. Razem weszli do kuchni.

Jak zwykle, gdy tylko obiad postawiono na stole i wszyscy byli gotowi, by zacząć jeść, ze swojego pokoju wyszedł Raffaele, pierworodny syn i spadkobierca Brunettiego. Miał piętnaście lat, był wysoki jak na swój

wiek i podobny do ojca z wyglądu i gestykulacji. Pod żadnym innym względem nie przypominał nikogo z rodziny, a sam stanowczo odrzuciłby sugestię, że jego zachowanie może przywołać na myśl kogokolwiek, spośród żyjących czy nieżyjących. Samodzielnie odkrył, że świat jest zdemoralizowany, a system niesprawiedliwy i że ludzie dzierżący władzę czynią to dla niej samej i tylko dla niej. Ponieważ był pierwszą osobą, która pojęła to z taką siłą i jasnością, całkowitą pogardę okazywał tym wszystkim, którym taka jasność widzenia nie była dana. Do nich zaliczył oczywiście swoją rodzinę, ewentualnie czyniąc ustępstwo wobec Chiary, której wybaczył ten brak świadomości społecznej, zważywszy na jej młody wiek oraz własne przekonanie, iż zawsze może dysponować połową jej kieszonkowego. Jego dziadkowi, jak się zdaje, również udało się prześlizgnąć przez to ucho igielne, choć powody tego były dla wszystkich niezrozumiałe.

Chodził do klasycznego gimnazjum, które miało przygotować go do podjęcia studiów na uniwersytecie, ale przez ostatni rok nie przykładał się do nauki i niedawno zaczął napomykać, że przestanie chodzić do szkoły, ponieważ „szkolnictwo jest częścią systemu, który ciemni robotników”. Jego dalsze plany, po przerwaniu nauki, nie przewidywały podjęcia pracy, gdyż wówczas uzależniłby się od „systemu, który ciemni robotników”. Z tego wynikało, że nie chcąc ciemnić innych, rezygnował ze zdobycia wykształcenia, a nie chcąc być ciemnionym, rezygnował z podjęcia pracy. Dla Brunettiego prostota tego rozumowania była godna jezuitów.

Raffaele osunął się na krzesło i oparł łokcie na stole. Brunetti spytał go, jak się miewa, uważając, że ten temat wciąż należy do bezpiecznych.

– Okej.

– Podaj mi chleb, Raffi. – To z ust Chiary.

– Zostaw ten ząbek czosnku, Chiaro. Jeśli go zjesz, będziesz cuchnęła przez kilka dni. – To z ust Paoli.

– Smaczny kurczak. – To z ust Brunettiego. – Mam otworzyć następną butelkę wina?

– Tak – pisnęła Chiara, trzymając kieliszek w wyciągniętej ręce. – Nic mi nie nałajeś.

Brunetti wyjął z lodówki drugą butelkę i otworzył ją. Obszedł stół i nalał wino do wszystkich kieliszków. Stając za plecami syna, oparł rękę na jego ramieniu, gdy pochylał się, żeby napełnić kieliszek. Raffaele strącił jego rękę i zaraz zamaskował ten gest, sięgając po karczochoy, których nigdy nie jadał.

– Co jest na deser? – spytała Chiara.

– Owoce.

– Nie ma ciasta?

– Łasuch – powiedział Raffaele tonem, który wyrażał obiektywny fakt, a nie krytyczną ocenę.

– Czy ktoś chce zagrać po obiedzie w „Monopol”? – spytała Paola. Nim dzieci zdążyły wyrazić chęć, ustaliła warunki. – Ale po odrobieniu wszystkich lekcji.

– Ja już odrobiłam – oświadczyła Chiara.

– Ja też – skłamał Raffaele.

– Ja będę trzymać bank – zażądała Chiara.

– Burżujka łasa na pieniądze – skomentował Raffaele.

– Najpierw pozmywacie naczynia – poleciła Paola dzieciom – a potem zagramy. – Słyszając pierwszy pisk protestu, obróciła się na krześle i powiedziała wprost do nich: – Nikt nie zagra przy tym stole w „Monopol”, dopóki wszystkie naczynia nie znikną stąd, nie zostaną umyte i schowane do kredensu. – Widząc, że Raffaele już otwiera usta, by zaprotestować, zwróciła się do niego: – Jeśli uważasz, że mam burżuazyjne wymagania, to cholerna szkoda. Jedzenie kurczaka też można uznać za burżuazyjny zwyczaj, ale z tego powodu jakoś nie słyszałam żadnych narzekań. Więc najpierw pozmywaj naczynia, a potem zagramy.

Brunetti nigdy nie mógł się nadziwić, że Paola potrafi zdobyć się na przemawianie takim tonem do syna i uchodzi jej to płazem. Gdy on zamierzał go skarcić, za każdym razem kończyło się to trzaskaniem drzwiami i dąsami, które trwały przez kilka dni. Raffaele, widząc, że nie ma szans, dał wyraz swej złości i chwycił stojące na stole talerze, po czym cisnął je na

blat przy zlewie. Brunetti zaś okazał złość, zabierając swój kieliszek i butelkę z winem do salonu, aby tam przeczekać nieuchronny łomot i brzęki, będące świadectwem posłuszeństwa jego dzieci.

– Przynajmniej nie konstruuje w swoim pokoju bomb – powiedziała mu na pocieszenie Paola, gdy weszła do salonu. Z kuchni docierały do nich stłumione odgłosy świadczące o tym, że Raffaele zmywa naczynia, oraz ostre brzęknięcia oznaczające, że Chiara wyciera je i chowa do kredensu. Co pewien czas słychać było wybuch śmiechu.

– Myślisz, że wyjdzie z tego? – spytał Brunetti.

– Dopóki ona pobudza go do śmiechu, nie mamy powodu do zmartwień. On nigdy nie skrzywdzi Chiary i wątpię, że podłoży komuś bombę. – Brunetti nie był przekonany, czy takie sądy zdołają w zasadniczy sposób zmniejszyć jego niepokój o syna, ale był gotów uznać, że tak się stanie.

Chiara zajrzała do pokoju i zawołała:

– Raffi już ustawił planszę! Chodźcie, zaczynamy!

Kiedy wszedł z Paolą do kuchni, plansza do gry w „Monopol” leżała na środku stołu, a Chiara, postawiwszy na swoim, trzymała bank i już zaczęła wykladać przed każdym z graczy stosik banknotów. Na mocy rodzinnego porozumienia Paoli zakazano trzymać bank, gdyż w minionych latach zbyt często przyłapywano ją na podbieraniu pieniędzy z kasy. Raffaele odmawiał przyjęcia tej funkcji, zapewne pełen niepokojem, że mógłby zostać posądzony o skąpstwo. A Brunetti, którego i tak wiele kosztowało skupianie się na grze, nie chciał brać na siebie dodatkowej odpowiedzialności za trzymanie banku. Wobec tego zawsze powierzali tę funkcję Chiarze, która uwielbiała liczyć, gromadzić, wypłacać i rozmieniać pieniądze.

Rzucili kostkę, żeby ustalić kolejność. Raffaele przegrał i miał wejść do gry jako ostatni, co wystarczyło, żeby już na początku przyprawić pozostałą trójkę o zdenerwowanie. Brunetti czuł się zaniepokojony, gdy widział, że chłopiec koniecznie chce wygrać, i często celowo grał źle, chcąc dać mu szansę.

Upłynęło pół godziny, a Chiara zajęła już wszystkie zielone pola: Via Roma, Corso Impero i Largo Augusto. Raffaele miał dwa czerwone pola

i do kompletu potrzebował tylko Via Marco Polo, wykupionej już przez Brunettiego. Po czterech następnych kolejkach Brunetti dał się nakłonić do sprzedania synowi brakującego czerwonego pola za Acquedotto z dopłatą w wysokości pięćdziesięciu tysięcy lirów. Panujące w rodzinie zasady nie pozwalały na robienie uwag, co nie powstrzymało Chiary przed poczęstowaniem brata silnym kopniakiem pod stołem.

Raffaele, jak było do przewidzenia, zaprotestował przeciwko takiej niesprawiedliwości, mówiąc:

– Przestań, Chiaro. Jeśli on chce zrobić kiepski interes, to jego sprawa. – I takie słowa padają z ust chłopaka, który chce obalić system kapitalistyczny, pomyślał Brunetti.

Brunetti zrzekł się prawa własności i Raffaele natychmiast postawił hotele na wszystkich trzech terenach. Gdy Raffaele był zajęty ich budowaniem i pilnowaniem, żeby Chiara dobrze wydała mu resztę, Brunetti zauważył, że Paola spokojnie zgarnęła małą kupkę banknotów o wartości dziesięciu tysięcy lirów każdy z puli banku i dołożyła je do swoich pieniędzy. Podniosła wzrok i domyśliła się, że mąż zauważył, jak okrada własne dzieci, po czym posłała mu promienny uśmiech. Tylko pomyśleć – on, policjant, ma za żonę złodziejkę, córka jest maniaczką komputerową, a syn anarchistą.

W następnej kolejce zatrzymał się na terenie, gdzie Raffaele postawił jeden z nowo wybudowanych hoteli, i musiał wypłacić synowi wszystkie posiadane pieniądze. Paola nagle odkryła, że ma wystarczającą ilość gotówki na wybudowanie sześciu hoteli, ale przynajmniej miała tyle wyczucia, by nie spojrzeć mu w oczy, gdy przekazywała pieniądze do banku.

Brunetti oparł się plecami o krzesło i patrzył, jak gra zmierza do nieuchronnego końca, do którego sam doprowadził, sprzedając synowi swoją własność. Łokieć Paoli zaczął się powoli przesuwac w stronę stosu banknotów o nominale dziesięciu tysięcy lirów, ale jego ruch zatrzymało lodowate spojrzenie Chiary. Chiarze z kolei nie udało się nakłonić brata, żeby sprzedał jej Parco della Vittoria. Musiała dwa razy z rzędu zatrzymać się na czerwonych polach, gdzie Raffaele postawił swoje hotele, i w końcu zbankrutowała. Paola przetrwała przez dwie następne kolejki, ale potem zatrzymała

się na Viale Constantino, gdzie Raffaele wybudował hotel, i nie miała pieniędzy, żeby mu zapłacić.

Gra dobiegła końca. Raffaele natychmiast przemienił się z ekspansywnego władcy imperium w nieprzejednanego wroga klasy panującej. Chiara poszła dokonać nalotu na lodówkę. Paola ziewnęła i powiedziała, że czas iść do łóżka. Brunetti poszedł za nią korytarzem, rozmyślając, jak to komisarz policji Republiki Weneckiej spędził kolejny wieczór na usilnym poszukiwaniu osoby odpowiedzialnej za śmierć najśłynniejszego muzyka naszych czasów.

Rozdział 18

Michele zadzwonił o pierwszej w nocy i wyrwał Brunettiego z mętnego, niespokojnego snu. Brunetti podniósł słuchawkę po czwartym dzwonku.

– Cześć, Guido. Mówi Michele.

– Michele – powtórzył otumaniony Brunetti, usiłując przypomnieć sobie, czy zna kogoś o tym imieniu. Zmusił się, żeby otworzyć oczy, i odzyskał pamięć. – A, Michele... świetnie. Cieszę się, że dzwonisz. – Zapalił lampkę przy łóżku i usiadł oparty o wezglowie. Paola spała obok niego jak kamień.

– Rozmawiałem z ojcem. Wszystko pamięta.

– Co powiedział?

– Miałeś całkowitą rację: on wie wszystko, co można wiedzieć.

– Już się tak nie zachłystuj i mów.

– O Wellauerze i jednej z tych sióstr, tej, która miała na imię Clemenza i śpiewała w operze, krążyły plotki. Tato nie pamięta, gdzie je rozpuszczono, ale powiada, że gdzieś w Niemczech, gdzie śpiewała pod jego batutą. Podobno doszło do spięcia między żoną Wellauera i Santiną podczas jakiegoś przyjęcia wydanego po spektaklu. Jedna drugą obraziła i Wellauer wyszedł... – Michele zawiesił głos, aby jego słowa zrobiły większe wrażenie – z Santiną. Gdy skończyły się jej występy – tato sądzi, że był to rok 1937 albo 1938 – Santina wróciła do Włoch, do Rzymu, a Wellauer musiał zacząć grać na inną nutę. – Michele zaśmiał się ze swego nie najlepszego dowcipu. Brunetti nie był rozbawiony.

– Chyba jakoś udało mu się skleić swoje małżeństwo, ale tato twierdzi, że sporo było tego klejenia zarówno wtedy, jak i potem.

– Czyżby był aż taki? – spytał Brunetti.

– Niewątpliwie tak. Tato twierdzi, że zaliczał się do najgorszych. Albo do najlepszych – to zależy od punktu widzenia. Rozwiedli się po wojnie.

– Z powodu tych historii?

– Tato nie jest pewny. Ale to prawdopodobne. A może opowiedział się po złej stronie.

– Co się działo po powrocie Santiny do Włoch?

– Przyjechał tu dyrygować *Normę*, to przedstawienie, w którym ona nie chciała wystąpić. Znasz tę sprawę?

– Tak. – Wiedział o tym od Clemenzy Santiny, a także z akt, które przyniósł mu Miotti, zawierających wycinki z rzymskich i weneckich gazet sprzed dziesiątek lat.

– Znaleźli inną sopranistkę i Wellauer odniósł sukces.

– I co z nimi? Dalej się z nim spotykała?

– Ich dalsze losy są niejasne, tak powiada tato. Jedni twierdzą, że jeszcze przez jakiś czas byli razem. Inni mówią, że zerwał z nią, gdy tylko przestała śpiewać.

– A co z siostrami?

– Wygląda na to, że gdy Clemenza przestała śpiewać, Wellauer dobrał się do jej siostry. – Michele zwykł wyrażać się dosadnie, zwłaszcza na temat kobiet.

– No i?

– Trwało to przez pewien czas, aż musiała „spędzić płód”, jak to się wtedy mawiało. Ojciec twierdzi, że nawet w tamtych czasach nie było to takie trudne do załatwienia, o ile miało się znajomości. A Wellauer je miał. Sprawę utrzymano w tajemnicy, ale dziewczyna umarła. Nie wiadomo, czy był ojcem dziecka, choć ludzie tak wtedy gadali.

– I co było potem?

– Mówiłem ci, umarła. Oczywiście, prasa nic o tym nie wspomniała. O takich sprawach nie pisano wtedy w gazetach. W nekrologu podano, że zmarła w wyniku „nagłej choroby”. W pewnym sensie tak było.

– A trzecia siostra?

– Tato mówi, że wyjechała do Argentyny, pod sam koniec wojny albo tuż po jej zakończeniu. Przypuszcza, że tam umarła – wiele lat później. Chcesz, żeby ojciec to sprawdził?

– Nie trzeba, Michele. Ona mnie nie interesuje. Co się stało z Clemenzą?

– Po wojnie próbowała wrócić na scenę, ale już nie miała takiego głosu. Przestała śpiewać. Tato twierdzi, że mieszka w Wenecji. To prawda?

– Tak. Rozmawiałem z nią. Czy ojciec pamięta coś jeszcze?

– Mówił, że tylko raz spotkał się z Wellauerem, jakieś piętnaście lat temu, ale nie poczuł do niego sympatii. Nie potrafił podać konkretnych powodów – po prostu nie polubił go.

Brunetti zauważył zmianę w tonie głosu Michelego, która oznaczała, że z przyjaciela stał się dziennikarzem.

– Będziesz miał pożytek z tych informacji?

– Nie wiem. Na razie chcę stworzyć sobie obraz człowieka i dowiedzieć się czegoś na temat Santiny.

– No to się dowiedziałeś – odparł sucho Michele, widząc, że w Brunettim odezwał się policjant.

– Posłuchaj, Michele, może coś w tym jest, ale nie mam jeszcze pewności.

– W porządku. Skoro tak mówisz. – Michele nie zwykł prosić nikogo o przysługę.

– Gdy będę coś wiedział, zadzwonię do ciebie.

– Dobra, zadzwoń. Zrobiło się późno, pewnie chcesz wrócić do łóżka. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń.

– Na pewno zadzwonię. Dzięki, Michele. I podziękuj ojcu.

– To on jest ci wdzięczny. Znowu poczuł się ważny. Dobranoc, Guido.

Brunetti usłyszał trzask odkładanej słuchawki, zanim zdążył się pożegnać. Wyłączył nocną lampkę i wsunął się pod kołdrę, dopiero wtedy uzmysławiając sobie, że w pokoju jest zimno. Leżąc w ciemnościach, przy-

pomnił sobie fotografię, którą widział w pokoju Clemenzy Santiny – trzy siostry tak upozowane, by tworzyły literę „V”. Jedna umarła przez Wellauera, druga zrujnowała sobie karierę w wyniku znajomości z nim. Tylko najstarszej udało się przed nim uciec – ale musiała wyjechać aż do Argentyny.

Rozdział 19

Wczesnym rankiem następnego dnia, na długo zanim Paola się obudziła, Brunetti cicho wszedł do kuchni i jeszcze nie w pełni przytomny, zaczął robić kawę. Potem poszedł do łazienki, spryskał twarz wodą i wytarł się, unikając wzroku człowieka widzianego w lustrze. Dopóki nie wypił kawy, nie ufał nikomu.

Wrócił do kuchni w chwili, gdy kawa zaczęła wylewać się z naczynia. Nawet nie zaklął, tylko szybko zdjął je z ognia i wyłączył gaz. Wlał kawę do kubka, wsypał trzy łyżeczki cukru i poszedł z kubkiem na taras, który wychodził na zachód. Liczył na to, że jeśli nie kawa, to poranny chłód na pewno go otrzeźwi.

Nieogolony i rozczochrany, stał na tarasie i wpatrywał się w to miejsce na horyzoncie, gdzie zaczynały się Dolomity. W nocy musiał padać rześisty deszcz, ponieważ góry były widoczne – nocą podkradły się do miasta i stały w czystym powietrzu. Nim zapadnie zmierzch, zabiorą się i znikną, zostaną zasłonięte chmurami dymu, który znowu wydobywał się z kominów fabrycznych na lądzie, albo oparami, które płynęły znad laguny.

Z lewej strony doszedł go dźwięk dzwonów kościoła San Paolo, bijących na mszę o szóstej trzydzieści. W dole, w domu po przeciwnej stronie *calle*, raptownie rozsunęły się w oknie zasłony i ukazał się nagi mężczyzna, całkowicie nieświadomy padającego z góry spojrzenia Brunettiego. Nagle z jego boków wyrosła druga para rąk, z umalowanymi na czerwono paznokciami, i objęła go od tyłu. Mężczyzna uśmiechnął się, odsunął od okna i zaciągnął kotary.

Przejęty porannym chłodem, Brunetti wszedł z powrotem do kuchni i z zadowoleniem przyjął panujące tam ciepło oraz obecność Paoli, która

siedziała przy stole i wyglądała o wiele przyjemniej, niż można się spodziewać po człowieku będącym na nogach przed dziewiątą.

Rzuciła mu pogodne „dzień dobry”, na co odpowiedział mruknięciem. Odstawił swój kubek do zlewu, a następnie wyjął drugi i wlał do niego gorące mleko, które Paola przygotowała mu i postawiła na blacie. Pierwsza kawa miała go dźwignąć do poziomu człowieka, druga miała dopełnić dzieła.

– To Michele dzwonił wczoraj wieczorem?

– Aha. – Brunetti potarł twarz i wypił trochę kawy. Paola wzięła leżące na końcu stołu czasopismo i zaczęła je przeglądać, popijając swoją kawę. Jeszcze nie ma siódmej, a ona ogląda żakiety od Armaniego – przeleciało przez myśl Brunettiemu. Przerzuciła następną stronę. Brunetti podrapał się w ramię. Czas mijał.

– To Michele dzwonił wczoraj wieczorem?

– Tak. – Paola z zadowoleniem przyjęła pierwsze pełne słowo od niego i nie zadała następnego pytania. – Opowiedział mi o Wellauerze i Santinie.

– Dawno to było?

– Ze czterdzieści lat temu, po wojnie. Nie, tuż przed wojną. W takim razie minęło już pięćdziesiąt lat.

– O co chodziło?

– Przez niego jej siostra zaszła w ciążę i umarła po zabiegu.

– Czy ta staruszka powiedziała ci to?

– Słowem nawet o tym nie wspomniała.

– I co zrobisz?

– Będę musiał znowu z nią porozmawiać.

– Dziś rano?

– Nie, najpierw muszę iść na komendę. Może po południu. Albo jutro. – Brunetti uzmysłowił sobie, że nie ma ochoty wracać do tego zimnego, niešťczęsnego miejsca.

– Gdy tam będziesz szedł, włóż brązowe buty. – Tak, ochronią go przed zimnem, ale nic i nikt nie ochroni go przed emanującą stamtąd niedolą.

– Dobrze, dzięki – odparł. – Chcesz pierwsza wziąć prysznic? – spytał, przypominając sobie, że Paola ma rano zajęcia.

– Nie, idź się myć, a ja dopiję kawę i zaparzę świeżą.

Przechodząc koło niej, pochylił się i pocałował ją w głowę, zastanawiając się, skąd w niej tyle uprzejmości, a nawet życzliwości wobec takiego mruka, jakim on jest tego ranka. Poczł kwiatowy zapach szamponu i zauważył, że tuż nad skronią jej włosy są lekko przyprószone siwizną. Dotychczas tego nie dostrzegł i jeszcze raz pochylił się, żeby pocałować ją w skroń, wzruszony kruchością tej kobiety.

Gdy znalazł się w biurze, zebrał wszystkie dokumenty i raporty, które przysyłano mu od dnia śmierci dyrygenta, i zaczął je czytać od nowa, niektóre po raz trzeci lub czwarty. Niemieckie raporty w tłumaczeniu na włoski doprowadzały go do szału. Pedantyczne skupienie się na szczegółach – widoczne w spisie przedmiotów ukradzionych z domu Wellauera podczas dwóch włamań – było dobitnym przykładem niemieckiej skuteczności działania. A przy tym całkowicie pominięto informacje o osobistym i zawodowym życiu dyrygenta podczas wojny, co również świadczyło o niemieckiej zdolności uciekania przed prawdą poprzez jej ignorowanie. Przypominając sobie o sprawie obecnego prezydenta Austrii, Brunetti musiał przyznać, że ta taktyka jest wyjątkowo skuteczna.

To Wellauer znalazł ciało swej drugiej żony. Zanim zeszła do piwnicy, żeby się powiesić, zadzwoniła do przyjaciółki i zaprosiła ją na kawę. Takie przemieszanie horroru i przyziemności irytowało Brunettiego za każdym razem, gdy czytał ten raport. Kobietę coś zatrzymało i gdy przyjechała, Wellauer znalazł już ciało żony i zadzwonił na policję. Oznaczało to, że Wellauer mógł bez trudu natknąć się na pozostawiony przez nią list lub coś w tym rodzaju – i go zniszczyć.

Tego ranka Paola podała mu numer telefonu Padovaniego i powiedziała, że dziennikarz wraca następnego dnia do Rzymu. Wiedząc, że rachunek za lunch może wliczyć w koszty służbowe jako „przesłuchanie świadka”, Bru-

netti zadzwonił do Padovaniego i zaprosił go na lunch do restauracji Galleggiante, dokąd lubił chodzić, choć rzadko było go na stać. Dziennikarz przyjął zaproszenie i umówili się na pierwszą.

Brunetti zadzwonił również do biura tłumaczy i poprosił, aby przysłano do jego pokoju tłumaczkę z niemieckiego. Zjawiała się młoda kobieta, którą wielokrotnie pozdrawiał skinieniem głowy, gdy spotykali się na schodach lub w korytarzach komendy. Wyjaśnił jej, że zamierza zadzwonić do Berlina i może potrzebować jej pomocy, gdyby osoba, z którą chce rozmawiać, nie znała angielskiego lub włoskiego.

Wykręcił numer podany mu przez panią Wellauer. Po czwartym sygnale słuchawkę podniosła kobieta, która powiedziała szorstkim głosem: – Steinbrunner. – W jego uszach głos Niemca zawsze brzmiał szorstko. Brunetti podał słuchawkę tłumaczce i z jej słów domyślił się, że doktor jest w gabinecie, a nie w domu, dokąd podano mu numer telefonu. Gestem pokazał tłumaczce, aby zadzwoniła do gabinetu, i przysłuchiwał się jej wyjaśnieniom, kim jest i w jakiej dzwoni sprawie. Tłumaczka uniosła rękę, dając mu znak, żeby poczekał, i kiwnęła głową. Gdy podała mu słuchawkę, przyszło mu na myśl, że zdarzył się cud i doktor Steinbrunner odpowiedział na telefon po włosku. Zamiast ludzkiego głosu usłyszał jednak stonowaną, łagodną muzykę, która dolatywała go zza Alp na koszt miasta Wenecji. Z powrotem oddał słuchawkę tłumaczce i patrzył, jak urozmaica sobie oczekiwanie, wybijając takt w powietrzu.

Nagle przycisnęła słuchawkę do ucha i powiedziała coś po niemiecku. Dodała jeszcze kilka zdań i zwróciła się do Brunettiego:

– Jego recepcjonistka ma przełączyć rozmowę. Mówi, że doktor zna angielski. Chce pan sam dalej rozmawiać?

Kiwnął głową, wziął słuchawkę, ale zatrzymał tłumaczkę gestem ręki.

– Zobaczymy, czy jego angielski jest tak dobry jak pani niemiecki.

Zanim dokończył zdanie, w słuchawce rozległ się szorstki głos.

– Mówi doktor Erich Steinbrunner. Z kim mam przyjemność?

Brunetti przedstawił się i dał znak tłumaczce, że może zostawić go samego. Zanim wyszła, sięgnęła przez biurko i podała mu bloczek i ołówek.

– Czym mogę służyć, panie komisarzu?

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci maestra Wellauera. Dowiedziałem się od wdowy po nim, że był pan jego bliskim przyjacielem.

– To prawda. Oboje z żoną przyjaźniliśmy się z nim przez wiele lat. Jego śmierć bardzo nas poruszyła.

– Jestem o tym przekonany, doktorze.

– Chciałem pojechać na pogrzeb, ale moja żona niedomaga i nie może latać samolotem. Nie chciałem zostawiać jej samej.

– Jestem przekonany, że pani Wellauer to zrozumie – odparł Brunetti, zważając ze zdziwieniem, że mówienie komunałów jest wspólne wielu nacjom.

– Dzwoniłem do Elizabeth – powiedział doktor. – Mam wrażenie, że dobrze to znosi.

Uderzony brzmieniem jego głosu, Brunetti powiedział:

– Gdy z nią rozmawiałem, zdawało mi się... nie wiem, jak to wyrazić... że nie ma ochoty podać mi pana numeru telefonu. – Gdy to stwierdzenie nie spotkało się z żadną reakcją ze strony doktora, dodał: – Może upłynęło zbyt mało czasu od jego śmierci, aby chciała wspominać szczęśliwsze chwile.

– Być może – odparł sucho doktor, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie podziela tego przypuszczenia.

– Mogę zadać panu kilka pytań, doktorze?

– Naturalnie.

– Gdy przeglądałem kalendarzyk maestra, zauważyłem, że w ostatnich kilku miesiącach życia często spotykał się z państwem.

– Tak, że trzy czy cztery razy umawialiśmy się na kolację.

– W kalendarzyku były też zaznaczone spotkania tylko z panem. Biorąc pod uwagę umówioną godzinę, można sądzić, że chodziło o poradę zawodową, to znaczy spotykał się z panem jako lekarzem, a nie przyjacielem. –

Trochę poniewczasie zapytał: – Jeśli można wiedzieć, doktorze, czy jest pan... – Urwał, nie chcąc urazić go pytaniem, czy jest lekarzem ogólnym, i zamiast tego powiedział: – Przepraszam, brak mi angielskiego słowa. Czy mógłbym wiedzieć, jaka jest pana specjalność?

– Ucho, nos i gardło. Zwłaszcza gardło. Dzięki temu doszło do naszego pierwszego spotkania. Wiele lat temu. – Na wspomnienie tego zdarzenia głos doktora zabrzmiał dużo cieplej. – Tu, w Niemczech, jestem znany jako „lekarz śpiewaków”.

Czy jest zdumiony, że w ogóle musi o tym wspominać? – przebiegło przez myśl Brunettiemu.

– Czy spotykał się z panem z powodu dolegliwości któregoś ze śpiewaków, z którymi współpracował? Czy też sam miał kłopoty z głosem?

– Jego gardło i głos były w jak najlepszym porządku. Pierwszy raz zaprosił mnie na śniadanie, żeby porozmawiać o jednej ze śpiewaczek.

– A potem, doktorze, były kolejne spotkania, które zapisał w kalendarzyku.

– Tak, widziałem się z nim dwukrotnie. Za pierwszym razem przyszedł do gabinetu i poprosił, żebym zrobił mu badania. W tydzień później przyszedł odebrać wyniki.

– Czy można wiedzieć, co wykazały?

– Zanim panu odpowiem, chciałbym wiedzieć, dlaczego przykłada pan do tego taką wagę.

– Przypuszczam, że maestro był czymś głęboko przejęty, czymś się martwił. Tak mi mówili moi rozmówcy. Chcę się dowiedzieć, co to było... co mogło wpłynąć na stan jego umysłu.

– Przykro mi, ale nie widzę związku między tymi sprawami – odparł doktor.

– Panie doktorze, staram się dowiedzieć jak najwięcej o stanie jego zdrowia. Proszę pamiętać, że to, czego się dowiem, może pomóc mi odnaleźć osobę winną jego śmierci i postawić ją przed sądem. – Paola często powtarzała mu, że jeśli chce się zaapelować do Niemca, jedynym sposobem jest

odwołanie się do jego poszanowania prawa. Natychmiastowa reakcja tego człowieka potwierdziła słusność jej opinii.

– W takim razie chętnie panu pomogę.

– Jakiego rodzaju badania pan przeprowadził?

– Jak już wspomniałem, głos i gardło były w porządku. Wzrok miał doskonały. Ale lekko niedosłyszał i dlatego prosił mnie, bym go przebadał.

– I co pan stwierdził, doktorze?

– Już mówiłem: minimalną utratę słuchu, która jest naturalna u człowieka w jego wieku. – Natychmiast się poprawił: – U człowieka w naszym wieku.

– Kiedy przeprowadzał pan te badania, doktorze? Spotkania, o których mówiłem, miały miejsce w październiku.

– To było mniej więcej wtedy. Musiałbym zajrzeć do kartoteki, żeby podać panu dokładne daty, ale było to gdzieś w tym czasie.

– Pamięta pan szczegółowe wyniki badań?

– Nie, nie pamiętam. Ale utrata słuchu nie była większa niż dziesięć procent. W przeciwnym razie bym zapamiętał.

– Czy to jest znacząca wada, doktorze?

– Nie.

– Czy jest zauważalna?

– W jakim sensie?

– Czy mogłaby przeszkadzać mu podczas dyrygowania?

– O to samo pytał Helmut. Powiedziałem mu, że tego rodzaju utrata słuchu, ledwo dająca się zmierzyć, nie powoduje takich następstw. Uwierzył mi. Ale tego samego ranka miałem mu do zakomunikowania inne wiadomości, które go zmartwiły.

– Co to były za wiadomości?

– Przysłał do mnie młodą śpiewaczkę, która miała kłopoty z głosem. Okazało się, że ma zgrubienia na strunach głosowych, które należy usunąć operacyjnie. Powiedziałem Helmutowi, że nie będzie mogła śpiewać przez

sześć miesięcy po operacji. Chciał, żeby zaśpiewała pod jego batutą jeszcze tej wiosny w Monachium, ale to byłoby niemożliwe.

– Czy przypomina pan sobie coś jeszcze?

– Nie, nic szczególnego nie przychodzi mi na myśl. Powiedział, że zobaczymy się po ich powrocie z Wenecji, ale zrozumiałem to jako propozycję towarzyskiego spotkania w czwórkę.

Brunetti wyczuł wahanie w jego głosie i spytał:

– Coś się panu przypomniało, doktorze?

– Spytał mnie, czy znam jakiegoś lekarza, który mieszka w Wenecji i którego mógłbym mu polecić. Powiedziałem mu, żeby przestał się wygłupiać i że ma końskie zdrowie. Gdyby zachorował, opera na pewno znalazłaby mu najlepszego lekarza. Ale on nalegał, koniecznie chciał, żebym mu kogoś polecił.

– Jakiegoś specjalistę?

– Tak. W końcu podałem mu nazwisko lekarza, z którym kilkakrotnie się konsultowałem. Wykłada na uniwersytecie w Padwie.

– A jak się nazywa?

– Valerio Treponti. Ma również prywatną praktykę w mieście. Niestety, nie znam jego telefonu. Helmut nie pytał o numer i zadowolił się samym nazwiskiem.

– Pamięta pan, czy zanotował nazwisko?

– Nie zanotował. Prawdę mówiąc, sądziłem wówczas, że po prostu chce dopiąć swego. A poza tym tak naprawdę rozmawialiśmy o śpiewaczce.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze.

– Słucham.

– Czy podczas tych kilku ostatnich spotkań zauważył pan w nim jakąś zmianę, która mogłaby świadczyć, że jest czymś przejęty albo zmartwiony?

Po długim milczeniu doktor odparł:

– Chyba odniosłem takie wrażenie, ale trudno mi je sprecyzować.

– Czy spytał pan maestra, co go trapi?

– W rozmowie z Helmutem takie pytanie byłoby niestosowne.

Brunetti powstrzymał się przed stwierdzeniem, że ludzie, którzy przyjaźnią się ponad czterdzieści lat, czasem zadają takie pytania. Spytał tylko:

– Jak pan myśli, co mogło go trapić?

Doktor milczał równie długo co poprzednim razem.

– Przypuszczałem, że może to mieć związek z Elizabeth i dlatego nie wspominałem o tym. Helmut był zawsze czuły na jej punkcie, przejmował się dzielącą ich różnicą wieku. Może na ten temat porozmawia pan z nią.

– Zamierzam to zrobić.

– Świetnie. Czy ma pan jeszcze jakieś pytanie? Jeśli nie, to będę musiał kończyć tę rozmowę i zająć się moimi pacjentami.

– To wszystko, doktorze. Jestem wdzięczny, że zechciał pan ze mną porozmawiać, i dziękuję za pomoc.

– Cieszę się, że mogłem panu pomóc. Mam nadzieję, że znajdzie pan sprawcę i postawi go przed sądem.

– Zrobię, co w mojej mocy, doktorze – odparł uprzejmie Brunetti, pomijając milczeniem fakt, że interesuje go tylko pierwsza kwestia, a druga nic go nie obchodzi. Ale Niemcy, być może, mają inny stosunek do tych spraw.

Gdy rozmowa dobiegła końca, Brunetti natychmiast zadzwonił do biura numerów i poprosił o telefon doktora Valeria Trepontiego w Padwie. Kiedy połączył się z jego gabinetem, recepcjonistka powiedziała mu, że doktor nie może podejść do telefonu, gdyż właśnie przyjmuje pacjenta. Brunetti wyjaśnił, kim jest, i dodał, że ma bardzo pilną sprawę. Recepcjonistka poprosiła, żeby zaczekał.

Trzymając słuchawkę przy uchu, Brunetti zaczął przeglądać poranne gazety. Sprawa Wellauera zniknęła z łam głównych gazet o zasięgu krajowym. Wspomniano o niej w „Il Gazzettino”, na drugiej stronie drugiej części, w związku ze stypendium jego imienia ufundowanym przez konserwatorium.

W słuchawce rozległ się trzask, a potem głęboki, dźwięczny głos lekarza, który podał swoje nazwisko.

– Mówi komisarz Brunetti z weneckiej policji.

– Tak mnie poinformowano. W jakiej sprawie pan dzwoni?

– Chciałbym wiedzieć, czy w ostatnim miesiącu zgłosił się do pana pacjent – wysoki, starszy mężczyzna, który mówił po włosku, doskonale znał język, ale miał niemiecki akcent.

– W jakim wieku?

– Koło siedemdziesiątki.

– Chodzi panu o tego Austriaka. Jakże on się nazywał? Doerr? Tak, Hilmar Doerr. Ale on nie był Niemcem, tylko Austriakiem. W gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Co pan chce o nim wiedzieć?

– Czy mógłby pan go opisać, *dottore*?

– Czy to naprawdę ważne? W poczekalni mam sześciu pacjentów, a za godzinę muszę być w szpitalu.

– Proszę go opisać, *dottore*.

– Już to zrobiłem: wysoki, niebieskie oczy, sześćdziesiąt parę lat.

– Kiedy zgłosił się do pana?

Brunetti usłyszał w słuchawce głos drugiej osoby, mówiącej coś w gabinecie. Potem wszystko ucichło, gdy doktor zakrył dłonią mikrofon telefonu. Po minucie znowu rozległ się jego głos, jeszcze bardziej zniecierpliwiony i rozgorączkowany.

– Teraz nie mogę z panem rozmawiać, *commissario*. Mam bardzo ważne sprawy.

Brunetti nie przejął się tym i spytał:

– Czy mógłby pan dzisiaj spotkać się ze mną, *dottore*? Przyjdę do gabinetu.

– O piątej po południu. Będę miał dla pana dwadzieścia minut. W gabinecie. – Odłożył słuchawkę, zanim Brunetti zdążył poprosić o adres. Zmuszając się do zachowania spokoju, komisarz cierpliwie wykręcił ten sam numer i spytał recepcjonistkę, gdzie mieści się gabinet doktora. Gdy podała mu adres, podziękował jej z całą uprzejmością i odłożył słuchawkę.

Dalej siedział przy biurku i zastanawiał się, jak najprościej dojechać do Padwy. Patta zapewne zamówiłby samochód z kierowcą, a do tego obstawę dwóch motocyklistów, na wypadek gdyby ruch terrorystów na autostradzie był tego dnia szczególnie wzmożony. Stanowisko Brunettiego uprawniało go do korzystania ze służbowego samochodu, ale chcąc zaoszczędzić sobie czas, wolał zadzwonić na dworzec i spytać, kiedy odjeżdżają popołudniowe pociągi do Padwy. Jeśli złapie ekspres do Mediolanu, zdąży do gabinetu doktora przed piątą. W takim razie będzie musiał pójść na dworzec zaraz po lunchu z Padovanim.

Rozdział 20

Gdy Brunetti przyszedł do restauracji, Padovani czekał już w środku. Stał między barem i szklaną gablotą, w której wystawiono rozmaite zakąski: małże, mątwy i krewetki. Uścisnęli sobie szybko ręce i w ślad za signorą Antonią – rządzącą tu wszechwładnie kelnerką majestatyczną jak Junona – poszli do stolika. Gdy już usiedli, odłożyli na później rozmowę o zbrodni i plotkach i najpierw omówili z signorą Antonią kwestię lunchu. Choć w restauracji była karta dań, wielu stałych gości nie zadawało sobie trudu, by ją czytać, a nawet nigdy nie miało jej w ręce. Potrawy i specjalności dnia były zapisane w głowie *signory* Antonii. Szybko wymieniła dania – co, jak dobrze wiedział Brunetti, było czystą formalnością – i w mig doszła do wniosku, że goście mają ochotę na zakąskę z owoców morza, risotto z krewetkami i świeżutkiego, pieczonego na grillu labraksa, tego ranka dostarczonego – jak ich zapewniła – z targu rybnego. Padovani spytał, czy mógłby ewentualnie poprosić – jeśli *signora* Antonia uważa to za słuszne – o zieloną sałatę. *Signora* Antonia potraktowała jego sugestię z należną uwagą, wyraziła zgodę i zaproponowała do lunchu butelkę białego wina będącego specjalnością restauracji, po które zaraz poszła.

Kiedy butelka stała już na stole i kieliszki zostały napełnione, Brunetti spytał Padovaniego, ile pracy czeka go przed wyjazdem z Wenecji. Krytyk odparł, że musi napisać dwie recenzje z nowo otwartych wystaw – jednej w Treviso, a drugiej w Mediolanie – ale prawdopodobnie uda mu się to zrobić telefonicznie.

– Zadzwońisz do redakcji w Rzymie i przedyktujesz im tekst? – spytał Brunetti.

– Skądże – odparł Padovani, przełamując kawałek chleba i zjadając porcję. – Napiszę je przez telefon.

– Recenzje z wystawy malarstwa? – upewnił się Brunetti.

– Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że będę marnował czas na jeżdżenie i oglądanie tych bohomazów. – Widząc zdumioną minę Brunettiego, wyjaśnił: – Znam prace obojga artystów i wiem, że są bezwartościowe. Oboje wynajęli te galerie i oboje przyślą tam swoich znajomych, którzy będą kupować ich prace. W Mediolanie wystawia swoje obrazy żona tamtejszego prawnika; w Treviso – syn tamtejszego neurochirurga, który prowadzi najdroższą prywatną klinikę w regionie. Oboje mają zbyt dużo wolnego czasu i nie wiedzą, co z nim zrobić, wobec tego postanowili zostać artystami. – Ostatnie słowo wymówił z nietajoną pogardą.

Padovani przerwał swą opowieść, by oprzeć się plecami o krzesło i szeroko uśmiechnąć do *signory* Antonii, która postawiła przed nim podłużny talerz z zakąską.

– Co piszesz w swoich recenzjach? – zainteresował się Brunetti.

– To zależy – odparł Padovani, nadziewając na widelec kawałek ośmiornicy. – O synu lekarza napiszę, że „wykazuje całkowitą nieumiejętność posługiwania się kolorem i kreską”. Prawnik jest jednak znajomym jednego z dyrektorów gazety i dlatego jego żona „po mistrzowsku opanowała zasady kompozycji i rysunku”, choć, prawdę mówiąc, gdyby kazano jej narysować kwadrat, byłby podobny do trójkąta.

– Nie przejmujesz się tym? – zapytał Brunetti.

– Czym? Że to, co piszę, jest niezgodne z tym, co myślę? – upewnił się Padovani i przełamał drugi kawałek chleba.

– No właśnie.

– Początkowo trochę mnie to trapiło, ale potem zdałem sobie sprawę, że tylko dzięki temu mogę swobodnie wypowiadać się w recenzjach, które są dla mnie naprawdę ważne. – Widząc minę Brunettiego, uśmiechnął się. – Daj spokój, Guido, nie próbuj mi wmówić, że nigdy nie przeoczyłeś jakiegoś dowodu czy nie napisałeś raportu, w którym chciałeś zasugerować coś innego niż to, na co wskazywały zebrane materiały.

Brunetti nie zdążył odpowiedzieć, gdyż znowu pojawiła się *signora* Antonia. Padovani zjadł ostatnią krewetkę i spojrzał z uśmiechem na kelnerkę.

– Delicje – powiedział. Antonia zabrała talerze.

Zaraz była z powrotem i podała parujące, sute risotto.

Widząc, że Padovani sięga po sól, powiedziała: – Nie będzie pan potrzebował soli – na co Padovani cofnął rękę jak oparzony i wziął widelec.

– Ale do rzeczy, Guido, nie zaprosiłeś mnie tutaj – na koszt miasta, mam nadzieję – żebyśmy sobie pogadali o przebiegu mojej kariery czy zanalizowali moje sumienie. Mówiłeś, że potrzebujesz dodatkowych informacji.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej o signorze Santinie?

Padovani ostrożnie wyjął z ust mały kawałek pancrzyka krewetki i położył go na brzegu talerza, mówiąc:

– Obawiam się, że w tej sytuacji będę musiał zapłacić za mój lunch.

– Dlaczego?

– Gdyż nie mam więcej informacji na jej temat. Narciso właśnie wychodził, gdy do niego zadzwoniłem, i zdążył mi podać tylko jej adres. Przykro mi, ale wiem jedynie to, co już ci powiedziałem.

W uszach Brunettiego uwaga Padovaniego o zapłaceniu za swój lunch zabrzmiała nieelegancko.

– W takim razie może coś mi powiesz o paru innych osobach.

– Muszę przyznać, że ostatnio pracowicie spędzałem czas. Obdzwoiłem masę znajomych tu, w Mediolanie, i w Rzymie. Wystarczy, żebyś podał nazwisko, a zasypię cię informacjami.

– Flavia Petrelli.

– Ach, boska Flavia! – zawołał Padovani i uniósł do ust widelec pełen risotta, po czym oznajmił, że jest wyśmienite. – Przypuszczam, że zależy ci także na informacjach o równie boskiej Brett Lynch.

– Chciałbym, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o jednej i o drugiej.

Krytyk zjadł jeszcze trochę risotta i odsunął talerz na bok.

– Będziesz zadawał mi konkretne pytania, czy mam sobie gadać?

– Chyba gadaj.

– Słusznie. Inni też są tego zdania. – Upił łyk wina i zaczął mówić. – Nie pamiętam, gdzie Flavia studiowała. Chyba w Rzymie. Tak czy owak, wydarzyło się to, czego nikt się nie spodziewał, a co jednak zawsze się zdarza – w ostatniej chwili poproszono ją, aby zastąpiła wiecznie niedomagającą Caballe. Zaśpiewała, krytycy oszaleli i natychmiast okryła się sławą. – Pochylił się w przód i palcem dotknął grzbietu dłoni Brunettiego. – Przyszło mi na myśl, że dla nadania większego dramatyzmu tej historii podzielę ją na dwie części: zawodową i prywatną.

Brunetti kiwnął głową.

– Tu kończy się opowieść o jej życiu zawodowym. Dostała sławy, utrwaliła ją i wciąż się nią cieszy.

Znowu upił łyk wina i napełnił sobie kieliszek.

– A teraz zajmijmy się jej życiem osobistym. Na scenie pojawia się mąż. Śpiewała wtedy w Gran Teatre del Liceu w Barcelonie. Było to ze dwa lub trzy lata po sukcesie w Rzymie. On był kimś ważnym w Hiszpanii. Sztuczne tworzywa, przemysł – tak mi się wydaje – coś bardzo nudnego i bardzo dochodowego. W każdym razie mnóstwo pieniędzy i tłum przyjaciół, którzy mieli wielkie domy i znane nazwiska. Bajkowy romans, girlandy kwiatów, fura tego, gdzie tylko zdarzyło się jej śpiewać, klejnoty, wszystkie znane nam pokusy, a Petrelli – która nawiasem mówiąc, jest prostą kobietą z jakiegoś małego miasteczka opodal Trento – zakochała się i poślubiła go. Razem z jego fabrykami, sztucznymi tworzywami i ważnymi przyjaciółmi.

Antonia podeszła do ich stolika, zabrała talerze i z wyraźną dezaprobatą spojrzała na w połowie pełny talerz Padovaniego.

– Dalej śpiewała i jej sława dalej rosła. A on chętnie towarzyszył jej w podróżach. Zapewne podobało mu się, że on, południowiec, jest mężem słynnej diwy, spotyka znanych ludzi, ogląda swoje zdjęcia w gazetach – ma wszystko, czego potrzebują ludzie z jego sfery. Potem pojawiły się dzieci, ale ona dalej śpiewała i jej sława jeszcze bardziej rosła. Ale wkrótce oka-

zało się, że życie nie jest tak sielankowe jak w miodowym miesiącu. Odwołała jedno przedstawienie, potem drugie, wkrótce przerwała występy na rok i wróciła z nim do Hiszpanii. I przez ten czas w ogóle nie śpiewała.

Antonia pojawiła się przy stoliku z długim stalowym półmiskiem, na którym leżał labraks. Postawiła go na małym wózku do serwowania potraw, ustawionym przy ich stoliku, i bardzo zgrabnie oddzieliła dwie porcje delikatnego białego mięsa. Położyła je na talerzach, mówiąc:

– Mam nadzieję, że będzie panom smakowało.

Wymianą spojrzeń obaj mężczyźni w milczeniu potwierdzili wiszącą nad nimi groźbę.

– Dziękuję – odparł Padovani. – Czy mógłbym prosić o sałatę, *signora*?

– Kiedy pan zje rybę – rzekła i wróciła do kuchni.

I to ma być jedna z najlepszych restauracji w mieście, stwierdził w duchu Brunetti.

Padovani zjadł kilka kęsów ryby.

– A potem wróciła na scenę tak nagle, jak z niej zniknęła. Po tej rocznej przerwie, gdy nie występowała publicznie, jej głos stał się jeszcze potężniejszy, mocniejszy i czystszy – taki jaki znamy dzisiaj. Tylko mąż zniknął z pola widzenia, potem nastąpiła cicha separacja, a po niej jeszcze cichszy rozwód, który otrzymała tutaj i z czasem, gdy to było już możliwe, w Hiszpanii.

– Co było powodem rozwodu? – zainteresował się Brunetti.

Padovani uniósł ostrzegawczo rękę.

– Wszystko w swoim czasie. Chcę, aby ta historia miała tempo i ton dziewiętnastowiecznej powieści. A zatem nasza Flavia znowu zaczęła śpiewać i, jak mówiłem, nigdy dotąd nie była równie wspaniała. Ale za to przestała się pokazywać – nie chodziła na kolacje, przyjęcia czy występy innych śpiewaków. Prowadziła pustelnicze życie, spokojnie mieszkała z dziećmi w Mediolanie, gdzie regularnie występowała. – Pochylił się przez stół. – Czy odczuwasz narastające napięcie?

– Ledwo wytrzymuję – odparł Brunetti i nałożył na widelec kawałek ryby. – Ale wracając do rozwodu.

– Paola ostrzegła mnie, że umiesz dopiąć swego. – Padovani się roześmiał. – No dobrze, już dobrze, wyjawię ci prawdę. Ale prawda, jak to często bywa, niestety jest dość prozaiczna. Okazało się, że Hiszpan ją bił, dość regularnie i dość brutalnie. Pewnie wyobrażał sobie, że prawdziwy mężczyzna powinien tak traktować żonę. – Wzruszył ramionami i dodał: – Nie mnie to wiedzieć.

– Więc go zostawiła? – spytał Brunetti.

– Dopiero wtedy, gdy przez niego wylądowała w szpitalu. Nawet w Hiszpanii są ludzie, którzy takiego postępowania nie zamierzają tolerować. Poszła z dziećmi do włoskiej ambasady bez pieniędzy i bez paszportów. Urzędujący wówczas ambasador – jak oni wszyscy – był wazeliniarzem i chciał odesłać ją z powrotem do męża. Ale jego żona, Sycylijka z pochodzenia – niech nikt nie waży się powiedzieć o nich złego słowa – wpadła jak burza do działu konsularnego i nie wyszła stamtąd, dopóki nie sporządzono trzech paszportów, a potem zawiozła Flavię z dziećmi na lotnisko, gdzie kupiła na koszt ambasady trzy bilety pierwszej klasy do Mediolanu, i czekała tam z nimi do samego odlotu. Okazało się, że trzy lata wcześniej widziała Flavię w partii Odabelli, i uważała, że przynajmniej w ten sposób może się jej odwdzięczyć.

Brunetti zaczął się zastanawiać, jaki związek może mieć ta historia ze śmiercią Wellauera, i mając na względzie ironiczny ton opowieści, podejrzewał, że nie wszystko w niej jest prawdą. Padovani, jakby czytając w jego myślach, pochylił się w przód i powiedział:

– To prawda. Możesz mi wierzyć.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Guido, po tylu latach przepracowanych w policji zdążyłeś się chyba przekonać, że gdy człowiek dostąpi sławy, jego życie przestaje być tajemnicą. – Brunetti uśmiechnął się potakująco, a Padovani ciągnął: – Teraz dochodzimy do interesującej części tej opowieści: nasza bohaterka budzi się

do życia. Jak to bywa w tego rodzaju opowieściach, powodem jest miłość. A przynajmniej – dodał po chwili zastanowienia – pożądanie.

Brunetti widział, jak wielką przyjemność sprawia krytykowi opowiadanie tej historii, i kusilo go, by w rewanżu powiedzieć signorze Antonii, że jego gość nie zjadł do końca ryby i ukrył ją w serwetce.

– Prawie przez trzy lata żyła w odosobnieniu, a potem zaczęła wdawać się w, nazwijmy to, romanse. Najpierw pojawił się tenor, z którym występowała. Tenor był fatalnym śpiewakiem, ale na szczęście dla niej bardzo miłym człowiekiem. Na jej nieszczęście miał równie miłą żonę, do której szybko wrócił. Potem w krótkich odstępach kolejno pojawili się – tu zaczął wyliczać na palcach – baryton, jeszcze jeden tenor, tancerz, a może był to reżyser, lekarz, który umknął powszechnej uwadze, i na koniec – kto by się spodziewał – kontratenor. I nagle te romanse urwały się równie niespodziewanie, jak się zaczęły. – Padovani też urwał, gdy Antonia postawiła przed nim miseczkę z sałatą. Zaczął przyprawiać ją do smaku, dodając zbyt dużo octu winnego, jak na gust komisarza. – Przez rok z nikim jej nie widziano. I nagle pojawiła się na scenie *l'americana*, która podbiła serce boskiej Flavii. – Wyczuwając zainteresowanie Brunettiego, spytał: – Znasz ją?

– Tak.

– I co o niej sądzisz?

– Lubię ją.

– Ja też – przytaknął Padovani. – Ta historia między nimi jest absurdalna.

Brunetti krępował się okazać zainteresowanie tą sprawą i dlatego nie poprosił krytyka o rozwinięcie tematu. Prośba i tak byłaby zbyt uczynna.

– Poznały się ze trzy lata temu, na wystawie sztuki chińskiej – ciągnął Padovani. – Kilkakrotnie widziano je razem: chodziły na lunch albo do teatru. Ale *l'americana* musiała wrócić do Chin.

W głosie krytyka zniknął udawany, żartobliwy ton.

– Czytałem jej książki o sztuce chińskiej. Dwie zostały przetłumaczone na włoski, a trzecia, ta krótka, ukazała się po angielsku. Jeśli ona nie jest obecnie najlepszym archeologiem działającym na tym polu, to wkrótce nim

będzie. Nie wiem, co ona widzi we Flavii. Flavia może i jest geniuszem, ale także prawdziwą żoną.

– A jeśli łączy je miłość? – spytał Brunetti i zaraz poprawił się, naśladowając Padovaniego. – Albo pożądanie?

– Tacy ludzie jak Flavia mogą sobie na to pozwolić – romanse nie odciągają ich od pracy. Ale ta Amerykanka ma szansę dokonać najważniejszego odkrycia archeologicznego naszych czasów. Moim zdaniem ma dość rozumu i umiejętności, żeby... – Padovani nagle przerwał, wziął kieliszek i wypił wino do dna. – Przepraszam. Rzadko mnie tak ponosi. Zapewne tak na mnie wpłynęła majestatyczna Antonia.

Brunetti nie mógł się powstrzymać, by nie zadać pytania, które nie miało nic wspólnego z prowadzonym śledztwem.

– Czy ona jest pierwszą... hmm... kochanką Petrelli?

– Nie sądzę, ale tamte romanse były przelotne.

– A ten jest inny?

– Dla której?

– Dla obu.

– Ponieważ trwa już trzy lata, więc przypuszczam, że sprawa jest poważna. Dla jednej i dla drugiej. – Padovani zjadł ostatni zielony listek leżący na dnie miseczki i powiedział: – Może jestem niesprawiedliwy wobec Flavii. Ten związek wiele ją kosztował.

– W jakim sensie?

– Wiele śpiewaczek jest lesbijkami – wyjaśnił. – Dziwna rzecz, lecz większość to mezzosoprany. Ale to nie ma znaczenia. Kłopot w tym, że ludzie okazują im dużo mniejszą tolerancję niż ich kolegom, którzy są gejami. I dlatego żadna z nich nie śmie otwarcie mówić o swoim życiu. Zazwyczaj zachowują się powściągliwie i wolą, by ich kochanki występowały w roli sekretarek lub agentek. Ale Brett nie da się narzucić żadnej roli. I ludzie zaczynają plotkować, a pewnie również wymieniać znaczące spojrzenia i wypowiedane szeptem uwagi, gdy obie wchodzą do pokoju.

Brunetti przypomniał sobie ton, jakim mówił o Flavii portier z teatru, i to mu wystarczyło, by uwierzyć Padovaniemu.

– Byłeś w ich mieszkaniu? – spytał.

– Te świetliki – rzucił Padovani i obaj się roześmieli.

– Jak ona tego dokonała? – powiedział Brunetti, przypominając sobie, że swego czasu nie uzyskał pozwolenia na wstawienie okien zabezpieczających przed utratą ciepła.

– Pochodzi z tej starej amerykańskiej rodziny, która ponad sto lat temu wzbogaciła się na grabieży i dlatego teraz cieszy się poważaniem. Jeden z wujów zostawił jej to mieszkanie, które chyba wygrał w karty z pięćdziesiąt lat temu. Wracając do okien – podobno chciała wynająć kogoś, kto je zainstaluje, ale nikt nie chciał ruszyć palcem, dopóki ona nie otrzyma pozwolenia na przeróbkę. W końcu sama weszła na dach, zdjęła dachówki, wycięła otwory i wstawiła futryny.

– I nikt jej nie zauważył? – spytał Brunetti, dobrze wiedząc, że w Wenecji wystarczy, aby człowiek wziął do ręki młotek i przyłożył go do fasady budynku, a wszyscy ludzie w okolicy chwycą za słuchawkę telefonu. – Nikt nie zadzwonił na policję?

– Sam wiesz, jaka jest wyniosła. Ktoś, kto zobaczył ją na dachu, nie mógł mieć pewności, co ona tam robi, i pewnie przypuszczał, że tylko sprawdza, czy wszystko jest w porządku, albo uszczelnia dachówki.

– I co było potem?

– Gdy już zamontowała okna, zadzwoniła do biura głównego planisty i powiedziała, co zrobiła. Poprosiła, żeby przysłali urzędnika, który określi wysokość grzywny.

– No i? – dopytywał się Brunetti, nie mogąc się nadziwić, że cudzoziemiec jest w stanie wymyślić tak włoskie w swej istocie rozwiązanie.

– Kilka miesięcy później rzeczywiście przysłali swoich ludzi. Ale ci, gdy weszli na dach i zobaczyli doskonale wykonaną robotę, nie chcieli uwierzyć, że zrobiła wszystko sama, i kazali jej podać nazwiska „wspólników”. Starła się ich przekonać, ale obstawali przy swoim. W końcu wzięła do

ręki słuchawkę i zadzwoniła do biura burmistrza, prosząc o połączenie z „Luciem”. Coś takiego zrobiła w obecności dwóch architektów z biura głównego planisty, którzy stali tam i trzymali w rękach liniały. Zamieniła kilka słów z „Luciem”, a następnie wręczyła słuchawkę jednemu z nich, mówiąc, że burmistrz chce z nim porozmawiać. – Padovani odegrał całą scenę i zakończył ją udawanym przekazaniem słuchawki nad stolikiem.

– Burmistrz zamienił z nim kilka słów, po czym architekci wyszli na dach, zmierzili świetliki i wyznaczyli wysokość grzywny. Brett wręczyła im czek i odesłała ich do biura.

Brunetti odrzucił w tył głowę i roześmiał się tak głośno, że ściągnął na siebie uwagę gości siedzących przy sąsiednich stolikach.

– To jeszcze nie koniec. Najlepsze będzie teraz – powiedział Padovani. – Czek należało zrealizować, ale Brett nigdy nie dostała potwierdzenia, że zapłaciła grzywnę. Podobno przerobiono plany w księgach wieczystych i naniesiono na nie świetliki. – Obaj wybuchnęli śmiechem, rozbawieni tym zwycięstwem pomysłowości nad władzami.

– Jak ona doszła do takich pieniędzy? – spytał Brunetti.

– Boże drogi, kto to wie? A jak Amerykanie dochodzą do pieniędzy? Stal. Koleje. Sam wiesz, jak tam jest. Nieważne, czy zbiłeś je, uciekając się do morderstwa czy kradzieży. Cała sztuka polega na tym, by siedzieć na nich przez sto lat, a potem jesteś już arystokratą.

– Czyżby u nas było inaczej? – zauważył Brunetti.

– Oczywiście – odparł z uśmiechem Padovani. – Tutaj trzeba siedzieć na pieniądzach przez pięćset lat i dopiero wtedy człowiek staje się arystokratą. Jest jeszcze jedna różnica. We Włoszech taki człowiek musi się dobrze ubierać. W Ameryce trudno odróżnić milionera od służącego. – Brunetti przypomniał sobie o botach Brett i już miał wyrazić swoje obiekcje, ale Padovaniemu nie sposób było zamknąć usta. – Mają tam takie pismo – ciągnął. – Nie pamiętam tytułu. Co roku publikują w nim listę najbogatszych Amerykanów. Tylko nazwiska i źródła bogactwa. Chyba boją się zamieszczać fotografie, ale sądząc po tych, które czasem zamieszczają, człowiek nabiera przekonania, że pieniądz jest rzeczywiście źródłem wszelkiego zła,

a przynajmniej złego smaku. Ich kobiety wyglądają tak, jakby smażyły je nad ogniem, żeby wyschły na wiór. A mężczyźni! Dobry Boże, u kogo oni się ubierają? Myślisz, że ci ludzie żywią się plastykiem?

Odpowiedź Brunettiego przerwało pojawienie się Antonii. Spytała, czy na deser życzą sobie owoce, czy ciastko. Stremowani, obaj powiedzieli, że dziękują za deser, za to chętnie wypiją kawę. Antonii to się nie spodobało, ale uprzątnęła stół.

– Wracając do twojego pytania – powiedział Padovani, gdy Antonia już odeszła. – Nie wiem, jak doszła do pieniędzy, ale niewątpliwie ma ich mnóstwo. Jej wuj hojnie wspierał różne szpitale i organizacje dobroczynne w mieście, a ona poszła za jego przykładem, choć głównie dotuje prace restauratorskie.

– To by wyjaśniało życzliwość, jaką okazał jej „Lucio”.

– Bez wątplenia.

– A co wiadomo o jej życiu prywatnym?

Padovani obrzucił Brunettiego dziwnym spojrzeniem, już od dłuższego czasu zdając sobie sprawę, że jego opowieści mają nikły związek z prowadzonym śledztwem. Mimo to nie mógł się powstrzymać, żeby nie podzielić się posiadanymi informacjami. Przecież największym urokiem plotkarstwa jest to, że nie przynosi nikomu najmniejszego pożytku.

– Niewiele – odparł. – A ściślej, niewiele wiadomo na pewno. Chyba zawsze przejawiała znane nam skłonności, ale jej życie przed przyjazdem tutaj pozostaje tajemnicą.

– Kiedy to nastąpiło?

– Jakieś siedem lat temu. To znaczy wtedy zamieszkała tu na stałe. Ale będąc dzieckiem, przez wiele lat mieszkała tutaj z wujem.

– To wyjaśnia, skąd ma wenecki akcent.

– Człowiek dziwnie się czuje, gdy słyszy go z ust kogoś, kto nie jest jednym z nas. Prawda?

– Masz rację.

Antonia przyniosła kawę, a do tego dwa kieliszki grappy na rachunek firmy, jak oznajmiła. Ani jeden, ani drugi nie miał ochoty na ten ognisty trunek, ale ostentacyjnie zaczęli go sączyć i rozkoszować się jego doskonałością. Odchodząc, Antonia obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem, a gdy była już w drzwiach kuchni, Brunetti zauważył, że odwróciła się w ich stronę, jakby chciała sprawdzić, czy nie wylewają trunku do butów.

– Czy coś jeszcze wiadomo o jej życiu prywatnym? – spytał szczerze zainteresowany Brunetti.

– Jest bardzo skryta. Mam w Nowym Jorku znajomego, który razem z nią studiował. Oczywiście na Harvardzie. Kontynuowała studia w Yale. Potem wyjechała na Tajwan, a następnie do samych Chin. Należała do grona pierwszych archeologów z Zachodu, których tam wpuszczono. To było chyba w 1983 albo 1984 roku. Kiedy znalazła się na Tajwanie, miała już za sobą pierwszą książkę.

– Jest taka młoda, a już tyle dokonała.

– No właśnie. Ale jest naprawdę bardzo dobra.

Antonia dumnie przeszła obok nich, niosąc kawę do sąsiedniego stolika. Gdy Brunetti zaczął pisać ręką w powietrzu, dając jej znak, że prosi o rachunek, kiwnęła głową.

– Mam nadzieję, że te informacje choć po części okażą się pożyteczne – powiedział z przekonaniem Padovani,

– Też na to liczę – odparł Brunetti. Wolał nie ujawniać, że tak naprawdę są dla niego zupełnie nieprzydatne, tak jak wolał nie ujawniać, że obie kobiety po prostu go zaciękawily.

– Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował – rzekł Padovani i dodał: – Moglibyśmy znowu spotkać się tutaj. Ale jeśli do tego dojdzie, masz zabrać ze sobą dwóch najroślejszych policjantów, żeby mnie bronili przed... A, *signora* Antonia – gładko zmienił temat, gdy kelnerka podeszła do stolika i położyła przed Brunettim rachunek. – Zostaliśmy wspólnie ugoszczeni i mam nadzieję, że wkrótce znowu tu przyjdziemy. – Efekt tego pochlebstwa zaskoczył Brunetti. Po raz pierwszy tego popołudnia *signora* Antonia obdarzyła ich promiennym uśmiechem, który wyrażał czy-

ste zadowolenie, a przy tym ujawnił głębokie dołeczki w kącikach ust i doskonałe, lśniące uzębienie. Taktyczne zagrywki krytyka wzbudziły zazdrość Brunettiego, który stwierdził, że mogą okazać się przydatne przy przesłuchiowaniu podejrzanych.

Rozdział 21

Pociąg intercity wolno jechał groblą, która łączyła Wenecję z lądem stałym, i wkrótce w oknach po prawej stronie ukazały się przemysłowe okropności Marghery. Brunetti zachował się jak człowiek, który nie potrafi powstrzymać się przed dotykaniem bolącego zęba językiem, i nie odwrócił wzroku od lasu dźwigów i kominów fabrycznych ani od smrodliwych wyziewów unoszących się nad laguną i płynących ku miastu, z którego wyjechał.

Tuż za Mestre przemysłową pustynię zastąpił widok gołych zimną pól, co i tak niewiele poprawiło ogólny wygląd krajobrazu. Po katastrofalnej suszy tego lata zboże wciąż stało na polach, ponieważ ich nawodnienie okazało się zbyt kosztowne, a rośliny były zbyt wypalone słońcem, żeby je skosić.

Pociąg przyjechał zaledwie z dziesięciominutowym opóźnieniem i Brunetti punktualnie przybył na umówione spotkanie z lekarzem, którego gabinet mieścił się w nowoczesnym budynku, opodal uniwersytetu. Brunetti, weneccjanin z urodzenia, nawet nie pomyślał, żeby skorzystać z windy, i wszedł po schodach na trzecie piętro. Gdy otworzył drzwi gabinetu, zobaczył pustą poczekalnię i biurko, za którym siedziała kobieta w białym fartuchu.

– *Dottore* zaraz pana przyjmie – powiedziała, nawet nie pytając, kim jest. Czyżby to było widoczne gołym okiem? – pomyślał nie po raz pierwszy.

Doktor Treponti był niski i schludny; miał krótką czarną brodę i piwne oczy, które za grubymi szklami okularów wyglądały na lekko powiększone, a do tego okrągłe, naprężone policzki jak wiewiórka ziemna i mały brzuszek jak torbaczk. Widząc Brunettiego, nie uśmiechnął się, ale podał mu rękę. Wskazał stojące przed biurkiem krzesło, poczekał, aż gość usiądzie, i dopiero wtedy zajął swoje miejsce.

– Co chciałby pan wiedzieć? – zapytał.

Brunetti wyjął z kieszeni małe, oficjalne zdjęcie dyrygenta i pokazał je lekarzowi.

– Czy to ten mężczyzna przyszedł do pana z wizytą i podał się za Austriaka?

Doktor wziął do ręki fotografię, przez chwilę się jej przyglądał i oddał ją komisarzowi.

– Tak, ten.

– Dlaczego chciał się z panem widzieć, *dottore*?

– Skoro zajęła się nim policja, a on nie nazywa się Hilmar Doerr, może wreszcie powie mi pan, kto to jest.

Brunetti był zdumiony, że ktoś, kto mieszka we Włoszech, mógł nie słyszeć o śmierci Wellauera.

– Powiem panu, gdy dowiem się, co pan o nim wie – stwierdził krótko. Zanim lekarz zdążył zaproponować, dodał: – Nie chcę, by ta wiadomość rzucała na to, co pan mi powie.

– To nie jest sprawa polityczna? – upewnił się lekarz. W jego głosie dało się wyczuć głęboką podejrzliwość, którą tylko Włosi mogą wyrazić w takim pytaniu.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z polityką. Ma pan moje słowo.

Nawet jeśli wartość tego towaru wydała się lekarzowi wątpliwa, przyjął to zapewnienie i otworzył brązowy skoroszyt leżący na biurku.

– Recepcjonistka zrobi panu kopię – powiedział.

– Bardzo dziękuję, *dottore*.

– Jak już wspomniałem, przedstawił się jako Hilmar Doerr i powiedział, że jest Austriakiem i mieszka w Wenecji. Ponieważ nie posiadał włoskiego ubezpieczenia zdrowotnego, zgłosił się do mnie jako prywatny pacjent. Nie miałem powodu mu nie wierzyć. – Jednocześnie przeglądał leżące przed nim notatki, sporządzone na papierze w linię i staranne, co Brunetti mógł stwierdzić, choć patrzył na nie z odwrotnej strony.

– Powiedział mi, że miesiąc wcześniej zaczął mieć kłopoty ze słuchem, i prosił, żebym go zbadał. To było... – Doktor wrócił do pierwszej strony i spojrzał na datę. – Trzeciego listopada. Wykonałem rutynowe badania i stwierdziłem znaczną utratę słuchu, tak jak przypuszczał pacjent. – Uprzedził pytanie Brunettiego i dodał: – Ocenilem, że wynosi ona jakieś trzydzieści do czterdziestu procent. Nie mogłem zrozumieć tylko jednego – pacjent twierdził, że kłopoty ze słuchem pojawiły się nagle, miesiąc wcześniej, i że przedtem ich nie miał.

– Czy tego rodzaju zaburzenia często występują u ludzi w jego wieku?

– Powiedział mi, że ma sześćdziesiąt dwa lata. Czy i to jest nieprawdą? Jeśli pan mi powie, ile naprawdę miał lat, będę mógł udzielić rzetelnej odpowiedzi.

– Siedemdziesiąt cztery.

Doktor Treponti znowu wrócił do pierwszej strony, przekreślił stare dane i wpisał nowe.

– Sądzę, że w zasadzie niczego to nie zmienia. Uszkodzenie pojawiło się nagle, a ponieważ nastąpiło w tkance nerwowej, było nieodwracalne.

– Jest pan tego pewien, *dottore*?

Lekarz zignorował to pytanie i mówił dalej:

– Zważywszy na charakter zaburzenia, powiedziałem mu, żeby przyszedł za dwa tygodnie. Powtórzyłem wówczas badania i stwierdziłem, że uszkodzenie słuchu powiększyło się, także w sposób nieodwracalny.

– Jak bardzo się powiększyło?

– Powiedziałbym... – zaczął i spojrzał na wykres z wynikami badań – że o kolejne dziesięć procent. Może trochę więcej.

– Czy mógł pan jakoś mu pomóc?

– Poradziłem mu, żeby zaczął nosić któryś z tych nowszych aparatów słuchowych. Miałem nadzieję... w zasadzie bardzo nikłą... że to mu pomoże.

– I pomogło?

– Nie wiem.

– Jak to?

– Więcej do mnie nie przyszedł.

Brunetti zaczął liczyć w myślach: druga wizyta miała miejsce, gdy próby opery były już zaawansowane.

– Czy mógłby pan powiedzieć mi coś więcej o tym aparacie słuchowym?

– Jest bardzo mały. Mocuje się go na oprawie zwykłych okularów, które mają szkła normalne albo optyczne. Działa w ten sposób... – Przerwał. – Nie rozumiem, jakie znaczenie mają te wyjaśnienia.

Brunetti nie wyjawiał powodów swego zainteresowania, tylko ponownie spytał:

– Czy ten aparat mógł mu pomóc?

– Trudno powiedzieć. Duża część dźwięków dociera do nas bynajmniej nie uchem. – Widząc zdziwioną minę komisarza, wyjaśnił: – Wiele czytamy z ruchu warg albo dopowiadamy sobie brakujące słowa na podstawie kontekstu, w jakim występują te, które usłyszeliśmy. Ludzie, którzy noszą aparat słuchowy, pogodzili się z myślą, że mają wadę słuchu. A to powoduje, że wszystkie pozostałe zmysły pracują dużo intensywniej, aby uzupełnić brakujące informacje i sygnały. Ponieważ zaczęli nosić aparat, uważają, że dzięki niemu słyszą lepiej, choć tak naprawdę to pozostałe zmysły funkcjonują na maksimum swoich możliwości, aby zastąpić słuch, który nie jest już taki dobry.

– Czy właśnie tak było w jego przypadku?

– Już panu mówiłem, że nie jestem pewny. W czasie drugiej wizyty dałem mu aparat i twierdził, że słyszy lepiej. Precyzyjniej odpowiadał na moje pytania, ale tak reagują wszyscy pacjenci, bez względu na to, czy nastąpiła poprawa w sensie fizycznym. Stoję przed nimi, kieruję pytania bezpośrednio do nich, patrzę na nich, a oni mnie widzą. W czasie badań, gdy dźwięki docierają do pacjenta poprzez słuchawki, a sygnały wzrokowe nie są odbierane, rzadko kiedy występuje poprawa słuchu – na pewno nie w takim przypadku, z jakim mamy tu do czynienia.

Brunetti zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał:

– Powiedział pan, że podczas drugiej wizyty stwierdził pan dalszą utratę słuchu. Co, pana zdaniem, mogło spowodować tak nagłe pogorszenie?

Lekarz uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że oczekiwał tego pytania. Splótł przed sobą dłonie, upodabniając się do pana doktora z seriali telewizyjnych.

– Mogło być spowodowane wiekiem, ale to tak naprawdę nie tłumaczy nagłej utraty słuchu. Mógł mieć infekcję ucha, ale wówczas odczuwałby zapewne ból, a na to się nie skarżał. Mógł mieć zaburzenia równowagi, ale twierdził, że niczego takiego nie zauważył. Powodem mogło być długotrwałe zażywanie środków moczopędnych, ale powiedział, że ich nie zażywał.

– Rozmawiał pan z nim na te tematy?

– Naturalnie. Nigdy wcześniej nie widziałem tak zaniepokojonego pacjenta. Każdy mój pacjent ma prawo uzyskać pełną informację.

– Tak, to oczywiste.

Udobruchany tym stwierdzeniem, mówił dalej:

– Wspomniałem mu, że taki skutek może przynieść zażywanie antybiotyków. Ta ewentualność zainteresowała go, więc dodałem, że musiałyby to być bardzo duże dawki.

– Tak działają antybiotyki? – zdziwił się Brunetti.

– Jednym z ubocznym skutków, rzadko występującym, choć możliwym, jest uszkodzenie nerwu słuchowego. Ale, jak wspomniałem, dawka musiałaby być potężna. Zapytałem go, czy zażywał antybiotyki, ale zaprzeczył. Skoro musimy wyeliminować wszystkie te możliwości, pozostaje nam sądzić, że powodem był jego wiek. Z medycznego punktu widzenia takie wyjaśnienie mnie nie zadowoliło i wciąż nie zadowala. – Zerknął na kalendarz. – Od ostatniej wizyty minęło już dość czasu i gdybym teraz go zbadał, mógłbym przynajmniej stwierdzić, jak szybko jego stan się pogarsza. Gdyby następowało to w tym samym tempie, jakie zaobserwowałem podczas drugiego badania, teraz byłby prawie głuchy. Oczywiście trzeba założyć, że mogłem się pomylić i nie zauważyć infekcji, której również nie wy-

kazały przeprowadzone badania. – Zamknął skoroszyt i spytał: – Czy istnieje możliwość, by ten człowiek przyszedł do mnie na jeszcze jedno badanie?

– On nie żyje – oznajmił Brunetti matowym głosem.

Oczy lekarza ani drgnęły.

– Można wiedzieć, co było przyczyną śmierci? – spytał i dodał pośpieszenie: – Chciałbym się tylko zorientować, czy nie przeoczyłem jakiejś infekcji.

– Został otruty.

– Otruty – powtórzył lekarz. – Ach tak, rozumiem. – Zastanawiał się chwilę, po czym spytał, dziwnie nieśmiałym tonem, jakby zdawał sobie sprawę, że ustępuje pola Brunettiemu: – Czym go otruto, jeśli wolno spytać?

– Cyjankiem.

– Ach tak – odparł zawiedziony.

– Czy to jest istotne, *dottore*?

– Gdyby otruto go arsenikiem, wystąpiłaby pewna utrata słuchu, tego samego rodzaju co u niego. Oczywiście arsenik musiałby być podawany przez dłuższy czas. Ale cyjanek tak nie działa, raczej nie. – Zamyślił się, otworzył skoroszyt, zrobił krótką notatkę i podkreślił grubą, poziomą kreską. – Czy przeprowadzono sekcję zwłok? W takich wypadkach jest to chyba konieczne.

– Tak.

– Czy napisano coś o jego słuchu?

– Wątpię, czy zrobiono szczegółowe badania.

– Szkoda – powiedział doktor, ale zaraz dodał: – Choć przypuszczam, że i tak nic by nie wykazały. – Zamknął oczy i Brunetti domyślił się, że kartkuje w myślach podręczniki, zatrzymuje się tu i tam i z uwagą czyta jakiś fragment. W końcu otworzył oczy i spojrzał na Brunettiego. – Nie, to nie byłoby widoczne.

Brunetti wstał.

– Gdyby pan zechciał zlecić recepcjonistce, żeby zrobiła kopię historii choroby, to więcej bym już pana nie absorbował.

– Tak, oczywiście. – Lekarz wstał i poszedł za Brunettim do drzwi. W poczekalni wręczył skoroszyt recepcjonistce i poprosił ją, żeby skopiowała komisarzowi dokumenty, a następnie zwrócił się do pacjentki, która przyszała podczas rozmowy. – Proszę wejść, *signora* Mosca – powiedział. Skinął głową Brunettiemu i wszedł za kobietą do gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili pielęgniarka wróciła z jeszcze ciepłymi odbitkami. Brunetti podziękował jej i wyszedł. W windzie, z której tym razem nie zapomniał skorzystać, zajrzał w papiery i przeczytał ostatnią notatkę: „Pacjent zmarł w wyniku otrucia cyjankiem. Wyniki zaleconego leczenia są nieznane”.

Rozdział 22

Brunetti dotarł do domu przed ósmą, ale nikogo nie zastał, ponieważ Paola zabrała dzieci do kina. Zostawiła mu kartkę z wiadomością, że jakaś kobieta dwa razy dzwoniła po południu, ale nie podała nazwiska. Przeszukał lodówkę i znalazł tylko salami, ser i czarne oliwki w plastikowej torebce. Wyłożył to wszystko na stół i podszedł z powrotem do blatu, żeby wziąć butelkę czerwonego wina i kieliszek. Włożył oliwkę do ust, napełnił kieliszek winem i wypluł pestkę do ręki. Rozglądając się, gdzie ją odłożyć, zjadł następną oliwkę, a potem jeszcze jedną. W końcu wrzucił pestki do kosza na śmieci znajdującego się pod zlewem.

Ukroił dwa kawałki chleba, przełożył je salami i dolał sobie wina. Na stole leżał egzemplarz pisma „Epoca” z tego tygodnia, który Paola pewnie przeglądała. Usiadł przy stole, otworzył czasopismo i ugryzł kanapkę. Wtedy zadzwonił telefon.

Przeżuwając kanapkę, wolnym krokiem poszedł do salonu, mając nadzieję, że dzwonienie ustanie, zanim dojdzie do telefonu. Po siódmym dzwonku podniósł słuchawkę i podał swoje nazwisko.

– Mówi Brett – usłyszał pospieszny głos. – Przepraszam, że dzwonię do domu, ale chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli to możliwe.

– Czy to coś ważnego? – spytał. Wiedział, że to musi być ważne, skoro w ogóle zadzwoniła, ale mimo to łudził się nadzieją, że sprawa nie jest pilna.

– Tak. Chodzi o Flavię. – Tego też się domyślił. – Dostała list od jego adwokata. – Nie potrzebował pytać, od czyjego adwokata. – I rozmawialiśmy o tej sprzeczce, do której między nimi doszło. – Uprzytomnił sobie, że teraz

mówiła o Wellauerze. Wiedział, że powinien zaproponować jej, żeby się spotkali, ale nie mógł się na to zdobyć.

– Guido, jesteś tam? – W jej głosie wyczuł napięcie i staranie, żeby zachować spokój.

– Tak. Skąd dzwonisz?

– Z domu. Ale nie mogę spotkać się z tobą tutaj. – Jej głos załamał się i Brunetti nagle nabrał ochoty na rozmowę z nią.

– Słuchaj, Brett – powiedział. – Wiesz, gdzie jest bar Giro, ten obok Santa Marina?

– Wiem.

– Będę tam za piętnaście minut.

– Dziękuję, Guido.

– Za piętnaście minut – powtórzył i odłożył słuchawkę. Napisał do Paoli kartkę, że musi wyjść, i schodząc po schodach, dokończył kanapkę.

Bar Giro był zadymiony i ponury, ale za to należał do nielicznych w mieście, które były otwarte po dziesiątej wieczorem. Kilka miesięcy temu nastali tam nowi właściciele, którzy zrobili, co mogli, żeby podnieść poziom lokalu, zawiesili białe zasłonki i puszczali chwytliwą muzykę. Ale mimo to nie stał się on popularnym lokalem, a przy tym stracił charakter lokalnego baru, gdzie znajomi spotykają się, by wypić kawę czy drinka. Nie miał ani klasy, ani uroku, za to było tam dużo dymu i wygórowane ceny wina.

Brunetti dostrzegł Brett, gdy tylko wszedł. Siedziała w głębi przy stoliku i spoglądała na drzwi, a na nią z kolei spoglądało trzech lub czterech młodych mężczyzn, którzy stali przy kontuarze, popijali czerwone wino z małych szklaneczek i tak ze sobą rozmawiali, by ich głosy dotarły do niej i wywarły wrażenie. Brunetti poczuł na sobie ich spojrzenia, gdy szedł w stronę stolika. Widząc jej ciepły uśmiech, ucieszył się z tego spotkania.

– Dziękuję – powiedziała krótko.

– Opowiedz mi o tym liście.

Spojrzała w dół na swoje ręce, leżące na stole, i tak je trzymała, mówiąc do niego.

– Przysłał go adwokat z Mediolanu, ten sam, który występował w sprawie rozwodowej. Píše, iż powiadomiono go, że Flavia „żyje w sposób niemoralny i nienaturalny” – tak się wyraził. Pokazała mi ten list. „Żyje w sposób niemoralny i nienaturalny”. – Spojrzała na Brunettiego i próbowała się uśmiechnąć. – To chyba chodzi o mnie, co? – Uniosła rękę i chwyciła w dłoń powietrze. – Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała, kręcąc głową. – Napisał, że zamierzają wnieść sprawę przeciwko niej i prosić... domagać się, aby dzieci zostały przekazane pod opiekę ojcu. Ten list jest oficjalnym zawiadomieniem o ich zamiarach. – Przerwała i zasłoniła dłonią oczy. – Formalnie nas powiadamiają. – Przesunęła rękę i przyłożyła ją do ust, jakby chciała zatrzymać w nich słowa. – Nie, nie nas, tylko Flavię. Tylko przeciw niej... zamierzają wznowić sprawę.

Brunetti wyczuł, że zbliża się kelner, i zirytowany, oddalił go machnięciem ręki. Gdy mężczyzna odszedł dostatecznie daleko, że nie mógł ich słyszeć, Brunetti spytał:

– Co jeszcze?

Bardzo się starała. Widział, że chce wydusić z siebie słowa, ale nie daje rady. Uniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się szeroki, nerwowy uśmiech, taki sam, jaki rzucała mu Chiara, kiedy zrobiła coś złego i musiała się do tego przyznać. Coś mruknęła i spuściła głowę.

– Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem.

Patrzyła na blat stołu.

– Musiałam komuś powiedzieć. Nie mam nikogo.

Nie ma nikogo? – powtórzył w myślach Brunetti. Przeżyła sporą część życia w tym mieście i nie ma nikogo, komu może to powiedzieć, i w końcu zwraca się z tym do policjanta, który ma za zadanie stwierdzić, czy jej kochanka jest morderczynią?

– Nikogo?

– Nikomu nie powiedziałam o Flavii – wyznała, teraz patrząc mu w oczy. – Nie chciała, żeby zaczęły krążyć plotki, które mogłyby zniszczyć jej karierę. Nikomu nie mówiłam o niej. O nas. – W tej samej chwili Brunetti

przypomniał sobie opowieść Padovaniego o pierwszym rumieńcu zakocha-nej Paoli, o tym, jak się zachowywała, że opowiadała o nim wszystkim zna-jomym i nie potrafiła rozmawiać o niczym innym. Ludzie pozwolili jej wy-razić swą radość, publicznie. A ta kobieta jest zakochana już od trzech lat – co do tego nie ma wątpliwości – i nikomu tego nie wyjawiała. Tylko jemu. Policjantowi.

– Czy w tym liście zostało wymienione twoje nazwisko?

Potrząsnęła przecząco głową.

– A Flavia? Co mówiła po otrzymaniu listu?

Przygryzając wargę, Brett uniosła rękę i wskazała palcem swoje serce.

– Obarczyła ciebie winą?

Tak samo jak Chiara, kiwnęła głową i przesunęła wierzchem dłoni pod nosem. Skóra na ręce zawilgotniała i załśniła. Brunetti wyjął chusteczkę i podał jej. Wzięła ją, ale zachowała się tak, jakby nie miała pojęcia, co z nią zrobić. Siedziała, trzymając ją w ręce, a łzy spływały po twarzy i cie- kło jej z nosa. Odczuwając spore zażenowanie, ale pamiętając, że sam jest ojcem, Brunetti wziął chusteczkę i wytarł jej twarz. Odsunęła się gwałtow- nie i wyjęła mu z ręki chusteczkę. Wytarła oczy, wydmuchała nos i włożyła ją do kieszeni – w ciągu tego tygodnia stracił drugą chusteczkę.

– Powiedziała, że to moja wina, że gdyby nie ja, do tego by nie doszło. – Jej głos był spięty i chrapliwy, twarz wykrzywiona. – Najgorsze, że to prawda. Wiem, że w rzeczywistości nie jest to prawdą, ale ja nie potrafię sprawić, by to, co ona mówi, nie było prawdą.

– Czy w tym liście było napisane, skąd pochodzą te informacje?

– Nie, ale to pewne, że od Wellauera.

– Świetnie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i powiedziała:

– Jak to? Adwokat mówi, że wytoczą sprawę, że wszystko wyjdzie na jaw.

– Brett – powiedział Brunetti spokojnym, opanowanym głosem. – Tylko pomyśl. Jeśli ich świadkiem jest Wellauer, musiałyby złożyć zeznania. A on,

nawet gdyby jeszcze żył, nigdy nie dałby się wciągnąć w coś takiego. To tylko pogrożki.

– Ale jeśli oni wytoczą sprawę...

– On chce was tylko nastraszyć. Nie widzisz, że już mu się to udało. Żaden sąd, nawet we Włoszech, nie oprze się na pogłoskach, a ten list nic nie znaczy, jeśli osoba, która go napisała, nie ma dowodów. – Przyglądał się jej, gdy rozważała jego słowa. – A przecież nie ma żadnych dowodów, prawda?

– Co rozumiesz przez „dowody”?

– Listy... bo ja wiem... rozmowy.

– Nie ma takich dowodów. Nigdy do niej nie pisałam, nawet z Chin. A Flavia jest zbyt zajęta, żeby pisać listy.

– A jej przyjaciele? Czy się orientują?

– Nie wiem. Ludzie niechętnie rozmawiają na ten temat.

– Wobec tego uważam, że nie masz powodu do zmartwień.

Próbowała się uśmiechnąć, próbowała przekonać samą siebie, że udało mu się wyciągnąć ją z rozpaczki i dać poczucie bezpieczeństwa.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała.

– Naprawdę – odparł z uśmiechem. – Często miałem do czynienia z prawnikami i jestem pewien, że ten chce was nastraszyć i przerazić.

– No tak... – powiedziała ze śmiechem, który przeszedł w czkawkę – niewątpliwie to mu się udało. – A potem dodała pod nosem: – Co za drań.

Słyszając to, Brunetti doszedł do wniosku, że może zamówić dwa kieliszki brandy, które kelner natychmiast przyniósł. Trzymając kieliszek w ręku, Brett powiedziała:

– Ona była okropna.

Brunetti wypił łyk i nie przerywał jej.

– Mówiła potworne rzeczy.

– Każdemu z nas to się zdarza.

– Mnie nie – natychmiast zaoponowała. Brunetti przypuszczał, że jej rzeczywiście to się nie zdarza, że dla niej słowa są raczej narzędziem, a nie

bronią.

– Ona o tym zapomni, Brett. Ludzie, którzy mówią takie rzeczy, zawsze szybko o nich zapominają.

Wzruszyła ramionami, z lekceważeniem traktując tę uwagę. Ona z pewnością nie zapomni.

– Co masz zamiar zrobić? – spytał, naprawdę ciekaw jej odpowiedzi.

– Wrócę do domu. Zobaczę, czy ona tam jest. Zobaczę, co będzie dalej.

Brunetti uprzytomnił sobie, że w ogóle nie zastanawiał się, czy Petrelli ma w mieście własne mieszkanie, nie próbował dociec, jak się zachowywała przed czy po śmierci Wellauera. Czy tak łatwo sprowadzić go na manowce? Czy tak niewiele różni się od innych mężczyzn – wystarczy ładna buzia, trochę łez, pozory inteligencji i uczciwości, a on zaraz odrzuca możliwość, że ta kobieta zamordowała człowieka albo kocha kogoś, kto popełnił to morderstwo?

Przestraszył się, uświadamiając sobie, jak łatwo go rozbroiła. Wyjął z kieszeni kilka banknotów i położył na stole.

– Tak, to dobry pomysł – powiedział. Odsunął krzesło i wstał.

Zauważył, że nagle poczuła się niepewnie, widząc, że tak szybko z przyjaciela przemienił się w obcego człowieka.

– Poczekaj, możemy pójść razem aż do bazyliki San Giovanni e Paolo.

Gdy wyszli na zewnątrz, nocna pora i przyzwyczajenie sprawiły, że wziął ją pod rękę. Oboje milczeli. Brunetti miał silne poczucie jej kobiecości, świadomość większej wypukłości jej bioder, przyjemności, jaką by odczuł, gdyby przysunęła się do niego, mijając ludzi w wąskiej uliczce. Z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę, gdy odprowadzał ją do domu, do jej kochanki.

Pod pomnikiem Colleonego pożegnali się, powiedzieli sobie „do widzenia” i nic więcej.

Rozdział 23

Brunetti wracał pieszo przez ciche miasto, przejęty tym, co niedawno usłyszał. Wydawało mu się, że wie, co to miłość, że nauczył się tego, żyjąc z Paolą. Czy wobec tego jest aż takim konserwatystą, skoro miłość, którą odczuwa ta kobieta – bo przecież nie ma wątpliwości, że to miłość – jest obcym mu uczuciem, gdyż nie pasuje do jego wyobrażeń? Odsunął od siebie te myśli, uważając, że są przejawem sentymentalizmu w najgorszym wydaniu, i skupił się na pytaniu, które zadał sobie w barze: czy jego uczucia do tej kobiety i pociąg, jaki w nim wzbudzała, nie przysłoniły mu zadań, które miał wykonać. Flavia Petrelli nie sprawiała wrażenia osoby, która potrafi zabić z zimną krwią. Ale nie miał wątpliwości, że w uniesieniu czy pasji byłaby zdolna zabić człowieka – jak większość ludzi. Choć raczej dźgnęłaby ofiarę pod żebro lub zepchnęła ze schodów, nie zaś na zimno, beznamiętnie podała jej truciznę.

W takim razie kto to zrobił? Siostra z Argentyny? Wróciła tu, by zemścić się za śmierć najmłodszej siostry? Po upływie niemal pół wieku? To absurdalne.

A zatem kto? Przecież nie reżyser Santore. Niedotrzymanie umowy dotyczącej występów jego przyjaciela było zbyt błahym powodem. Po tylu latach pracy w teatrze na pewno miał dość znajomości, żeby załatwić przyjacielowi angaż, nawet gdyby jego talenty śpiewacze były mierne. A nawet gdyby w ogóle ich nie miał.

Pozostaje wdowa. Ale instynkt podpowiadał Brunettiemu, że jej boleść jest autentyczna, a brak zainteresowania znalezieniem sprawcy nie ma nic wspólnego z osłanianiem siebie samej. Bardziej prawdopodobne jest to, że osłania zmarłego. Takie rozumowanie zaprowadziło Brunettiego do punktu wyjścia – znowu czuł, że powinien zebrać więcej informacji o przeszłości

Wellauera i o jego charakterze, zrozumieć, dlaczego skaza na tak starannie pozorowanej reputacji człowieka prawego moralnie skłoniła kogoś do podania mu trucizny w kawie.

Brunettiego gnębił fakt, że nie darzy Wellauera sympatią i nie odczuwa współczucia ani gniewu, jak zawsze w stosunku do tych, którym odebrano życie. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Wellauer w jakimś sensie był uwikłany we własną śmierć – inaczej nie potrafił tego ująć. Prychnął ze zniecierpliwieniem, przekonany, że każdy jest uwikłany we własną śmierć. Ale mimo starań nie potrafił pozbyć się tej myśli ani jej sprecyzować i dlatego wciąż szukał pobudki, która skłoniła kogoś do zadania śmierci. I wciąż nie mógł jej znaleźć.

Następnego ranka obudził się w nastroju równie ponurym jak świat widziany za oknem. W nocy miasto spowiała gęsta mgła; nie spływała od morza, lecz wisiała nad wodą, na której zbudowano miasto. Kiedy Brunetti wyszedł z domu, zimne macki mgły owiły się wokół jego twarzy i wpełzły za kołnierz. Wzrokiem sięgał jedynie na odległość kilku metrów, a dalej wszystko było zamazane, budynki znikwały z pola widzenia, tak jakby odchodziły w dal, a nie tonęły we mgle. Zjawy, odziane w lśniąca szarość, mijały go na ulicy, przepływały obok niego, pozbawione cielesnej powłoki. Kiedy odwrócił się, by powieść za nimi spojrzeniem, znikwały, pochłonięte przez gęste opary, które wypełniały wąskie uliczki i wisiały nad wodą jak kłątwa. Wieloletnie doświadczenie i przecucie mówiły mu, że komunikacja wodna po Canale Grande jest zawieszona ze względu na warunki atmosferyczne. Szedł na ślepo, pozwalając, by nogi same go prowadziły, i polegając na swojej znajomości mostów, ulic i zakrętów. Kierował się w stronę Zattere, gdzie znajdował się przystanek *vaporetto* numer 8 i 5, płynących na Giudekkę.

Komunikacja była ograniczona; tramwaje nie kursowały zgodnie z rozkładem i nagle wynurzały się z kłębow mgły z radarem obracającym się na dachu. Brunetti czekał piętnaście minut, zanim wyłonił się tramwaj numer 5, który podpłynął do nabrzeża i tak mocno walnął w obmurowanie, że pomost zakołysał się, a czekający pasażerowie stracili równowagę i powpadali

na siebie. Tylko dzięki radarowi łódź dopłynęła na drugi brzeg; ludzie, ślepi jak krety, schronili się w kabinie.

Gdy Brunetti wysiadł, jedyne, co mógł zrobić, to iść prosto przed siebie, aż dotknie ręką domów stojących wzdłuż brzegu. Trzymając się murów na odległość wyciągniętej ręki, skierował się w stronę sklepionego przejścia na dziedziniec. Gdy znalazł się przy bramie, skręcił w nią, choć wcale nie był pewien, czy doszedł do Corte Mosca – napis namalowany na murze, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad jego głową, był niewidoczny.

Z powodu wilgoci zapach kotów wzmógł się, a zimno jeszcze bardziej go zaostrzyło. Uschłe rośliny na dziedzińcu przykrywał płaszcz mgły. Brunetti zapukał do drzwi, potem jeszcze raz, głośniejsze, i wreszcie rozległ się głos *signory Santiny*.

– Kto tam?

– Komisarz Brunetti.

Znowu usłyszał powolne, nieprzyjemne zgrzytanie metalu o metal, gdy odciągała ciężkie zasuwę. Pociągnęła ku sobie drzwi. Nagły wzrost wilgotności wypaczył je i musiała ostro szarpnąć je do góry, żeby przesunąć nad nierównościami podłogi. Tak jak przedtem miała na sobie płaszcz, tym razem zapięty na wszystkie guziki. Nawet nie spytała go, po co przyszedł, tylko stanęła z boku, żeby go przepuścić, a potem zatrzasnęła za nim drzwi. Znowu zaciągnęła wszystkie zasuwę, zanim odwróciła się, żeby poprowadzić go wąskim korytarzem. Gdy znaleźli się w kuchni, Brunetti usiadł przy piecyku, a *signora Santina* zatrzymała się na chwilę, żeby podsunąć szmaty pod szparę pod drzwiami.

Szurając nogami, podeszła do swojego fotela, ciężko na nim usiadła i natychmiast opadły na nią koce i szale.

– Wrócił pan tutaj.

– Tak.

– Czego pan chce?

– Tego samego, po co przyszedłem poprzednio.

– Czegóż to? Jestem już stara i mało pamiętam. – Przeczyło temu jej rozumne spojrzenie.

– Potrzebne mi są informacje o pani siostrze.

Nie wdając się w ceregiele, od razu spytała:

– Co pan chce wiedzieć?

– Nie chcę odświeżać pani bólu, ale muszę więcej dowiedzieć się o Wel-lauerze, żeby zrozumieć, dlaczego umarł.

– A jeśli zasłużył na śmierć?

– Każdy zasłużył na śmierć, *signora*, ale nikt nie powinien za nas decydować, kiedy umrzemy.

– Ojej – roześmiała się sarkastycznie – z pana prawdziwy jezuita. A kto decydował, kiedy i jak umrze moja siostra? – Złość opadła w niej równie szybko, jak wezbrała. – Co pan chce wiedzieć? – powtórzyła.

– Dowiedziałem się o pani związku z nim. Wiem też, iż uważano, że jest ojcem dziecka pani siostry. I wiem, że pani siostra umarła w Rzymie w 1939 roku.

– Ona nie umarła ot tak. Wykrwawiła się na śmierć – odparła ponuro. – Wykrwawiła się na śmierć w pokoju hotelowym, gdzie umieścił ją po zabiegu i nawet nie chciał jej tam odwiedzić. – Fizyczny ból spowodowany starością łączył się w jej głosie z bólem przeżywanych ponownie wspomnień. – Gdy ją znaleziono, nie żyła już cały dzień, może dwa. A potem minął jeszcze jeden dzień, zanim ja się o tym dowiedziałam. Byłam w areszcie domowym, ale przyjaciele mnie zawiadomili. Wyszłam z domu, lecz najpierw musiałam uderzyć policjanta, powalić go na ziemię i kopnąć w twarz. Ale udało mi się uciec. Nikt, kto to widział, nie zatrzymał się, żeby mu pomóc. Razem z przyjaciółmi poszłam tam, dokąd ją przeniesiono. Wszystko było przygotowane i pochowaliśmy ją tego samego dnia. Umarła taką śmiercią, że nie chciał przyjsć żaden ksiądz, więc po prostu ją pogrzebaliśmy. Grób był bardzo mały. – Umilkła, pogrążona we wspomnieniach.

Brunetti wielokrotnie widział, jak ludzie popadają w taki stan, i miał dość rozsądku, żeby zachować milczenie. Skoro popłynęły już pierwsze słowa,

następnych nie da się zatrzymać, dopóki wszystko nie zostanie powiedziane i człowiek nie uwolni się od nich. Cierpliwie czekał, przenosząc się razem z nią w przeszłość.

– Ubraliśmy ją na białą. A potem pogrzebaliśmy w tym małym grobie. Ot, takim małym dołku. Po pogrzebie wróciłam do domu i zostałam aresztowana. Ale ponieważ i tak byłam już aresztowana, właściwie nic się nie zmieniło. Spytałam ich, jak się czuje policjant, i powiedziano mi, że nic mu się nie stało. Potem, kiedy się spotkaliśmy, przeprosiłam tego policjanta. Po wojnie, gdy alianci weszli do miasta, ukrywałam go w piwnicy przez miesiąc, dopóki nie przyszła po niego matka. Nie miałam powodu go nie lubić ani nie chciałam zrobić mu krzywdy.

– Jak to się stało?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, rzeczywiście nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Że pani siostra poznała Wellauera – wyjaśnił.

Oblizwała wargi i z uwagą przyglądała się zniekształconym dłoniom, le-
dwo widocznym pod szalami.

– Przedstawiłam ich sobie. Słyszał o początkach mojej kariery i kiedy Clara i mała Camilla przyjechały do Niemiec na moje występy, chciał, że-
bym go im przedstawiła.

– Czy wtedy była pani z nim związana?

– To znaczy czy był moim kochankiem?

– Tak.

– Był. To się zaczęło niemal natychmiast, kiedy przyjechałam tam śpie-
wać.

– A jego romans z pani siostrą? – spytał.

Odrzuciła głowę w tył tak raptownie, jakby ją uderzył, i zaraz pochyliła się do przodu. Brunetti przypuszczał, że chce wymierzyć cios, ale tylko splunęła na niego. Rzadka, rozwodniona ślina spadła na jego udo i szybko wsiąkła w materiał spodni. Zaskoczony Brunetti nawet nie wytarł nogawki.

– Niech was szlag trafi! Wszyscy jesteście tacy sami. Wciąż tacy sami! – zaczęła krzyczeć bez opamiętania. – Kiedy na coś patrzycie, widzicie tylko sprośności, które chcecie zobaczyć. – Uniosła głos i z sarkazmem powtórzyła jego słowa. – Romans z moją siostrą. Jego romans. – Pochyliła się bliżej w stronę Brunettiego i spojrzała na niego zwięzonymi z nienawiści oczami. – Moja siostra miała dwanaście lat – powiedziała szeptem. – Dwanaście lat. Pochowaliśmy ją w sukience od Pierwszej Komunii – jeszcze z niej nie wyrosła. Była małą dziewczynką. On ją zgwałcił, panie policjancie. On nie miał romansu z moją młodszą siostrą, tylko ją zgwałcił. Za pierwszym razem i potem też. Groził jej, groził, że mi o niej powie, powie, że jest złą dziewczynką. A potem, gdy zaszła w ciążę, odesłał i mnie, i ją do Rzymu. A ja o niczym nie wiedziałam. Przecież był moim kochankiem. Najpierw kochał się ze mną, a potem gwałcił moją małą siostrę. Teraz pan rozumie, panie policjancie, dlaczego cieszę się z jego śmierci i dlaczego uważam, że na nią zasłużył? – Jej twarz wykrzywiła wściekłość, którą nosiła w sobie przez pół wieku. – Chce pan wiedzieć wszystko, panie policjancie?

Kiwnął głową, widząc i rozumiejąc, co zaszło.

– Przyjechał do Rzymu, żeby dyrygować *Normę*, w której miałam wystąpić. Moja siostra powiedziała mu, że jest w ciąży. Była zbyt przerażona, żeby nam to powiedzieć, bała się, że uznamy ją za złą dziewczynkę. Załatwił przerwanie ciąży, zawiózł ją tam, a potem zabrał do hotelu. I zostawił. A ona wykrwawiła się na śmierć. Kiedy umarła, miała zaledwie dwanaście lat.

Brunetti zobaczył, że kobieta wysuwa rękę spod szali i koców i zamierza się na niego. Zdążył tylko cofnąć głowę, by uniknąć ciosu. To ją rozwścieczyło. Walnęła powykręcaną dłonią w drewniane oparcie fotela i krzyknęła z bólu.

Uniosła się z siedzenia, rozrzucając po podłodze koce i szale.

– Wynoś się z mojego domu, bydlaku! Ty nędzna świnio!

Brunetti odskoczył, potknął się o nogę krzesła i uciekł korytarzem. Krzychała z wściekłością, wygrażając mu uniesioną ręką. Zatrzymała się, z tru-

dem łapiąc dech, gdy on mocował się z zasuwami. Kiedy wydostał się na dziedziniec, wciąż słyszał, jak wrzeszczy na niego, na Wellauera, na cały świat. Zatrzasnęła drzwi i zaciągnęła zasuwę, wciąż wyładowując swoją złość. Rozdygotany Brunetti stał we mgle, wstrząśnięty gniewem, jaki w niej wzbudził. Zmusił się, by wziąć kilka głębokich oddechów i opanować strach, jaki po raz pierwszy odczuł przed kobietą, przed ogromną siłą wspomnień, które kazały jej podnieść się z fotela i rzucić na niego.

Rozdział 24

Brunetti czekał na przystanku prawie pół godziny i przemarzył do szpiku kości, zanim przyплыnęło *vaporetto* numer 5. Pogoda nie uległa zmianie i w drodze powrotnej przez lagunę do przystanku przy San Zaccaria schronił się w ledwo ogrzewanej kabinie i wyglądał przez zamglone okna na wilgotną biel za nimi. Gdy dotarł na komendę, poszedł prosto do swojego pokoju, nie zwracając uwagi na pozdrawiających go ludzi. Zamknął za sobą drzwi, ale nie zdjął płaszcza i czekał, aż minie uczucie przemarznięcia. Jego wyobraźnia wypełniła się obrazami. Zobaczył starą kobietę, która biegła za wilgoconym korytarzem i wrzeszczała jak furia; potem przypomniał sobie fotografię trzech sióstr wyrafinowanie upozowanych w literę „V”; na koniec ujrzał małą dziewczynkę, która leżała martwa, ubrana w sukienkę od Pierwszej Komunii. I zrozumiał wszystko, zobaczył wzorzec i pojął plan.

W końcu zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła. Podszedł do biurka i zaczął przeszukiwać stos leżących na nim papierów. Odłożył na bok akta i skoroszyty i grzebał dalej, aż znalazł raport z sekcji zwłok, włożony w zieloną okładkę.

Na drugiej stronie odszukał fragment, który utkwiał mu w pamięci: Rizzardi zauważył niewielkie sińce na ramieniu i na pośladkach, które określił jako „ślady wybroczyn o nieznanym pochodzeniu”.

Żaden z lekarzy, z którymi rozmawiał, nie wspomniał, że dawał mu zastrzyki. Ale człowiek ożeniony z lekarką nie musi z nikim się umawiać, by dostać zastrzyk. Ani nie musi umawiać się na wizytę, jeśli chce porozmawiać z lekarzem.

Brunetti znowu zajął się stosem papierów na biurku i odszukał raport niemieckiej policji. Zaczął go czytać i w końcu znalazł fragment, który kołatał

się mu po głowie. Pierwszy mąż Elizabeth Wellauer, ojciec Alexandry, nie tylko wykładał na uniwersytecie w Heidelbergu, ale był dziekanem wydziału farmakologii. Jadąc do Wenecji, pani Wellauer zatrzymała się tam, żeby się z nim zobaczyć.

– Słucham – powiedziała Elizabeth Wellauer, gdy otworzyła Brunettiemu drzwi.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale uzyskałem nowe informacje i chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań.

– Na jaki temat? – zapytała, nie czyniąc ruchu, by otworzyć szerzej drzwi.

– Wyników sekcji zwłok pani męża – odparł, przekonany, że takie wyjaśnienie wystarczy, żeby go wpuściła do środka. Sztywnym, ostrym ruchem pociągnęła ku sobie drzwi i stanęła z boku. Bez słowa wprowadziła go do pokoju, gdzie odbyli dwie poprzednie rozmowy, i wskazała mu krzesło, które w myślach nazwał już swoim krzesłem. Począł, aż zapali papierosa, tak przyzwyczajony do jej nawyku, że niemal przestał zwracać na niego uwagę.

– Po przeprowadzeniu sekcji zwłok – od razu przeszedł do rzeczy – lekarz sądowy powiedział, że znalazł ślady sińców na ciele pani męża, które mogły powstać po zastrzykach. To samo powtórzył w swoim raporcie. – Przerwał, chcąc dać jej możliwość, by sama udzieliła mu wyjaśnień. Milczała, więc mówił dalej: – Doktor Rizzardi uważa, że te ślady mogły powstać po wstrzyknięciu narkotyków, witamin, antybiotyków – w zasadzie czegokolwiek. Zważywszy na położenie tych sińców, twierdzi, że pani mąż nie mógł sam ich spowodować, gdyż był praworęczny – zgadza się?

– Tak.

– Sińce znajdowały się na prawym ramieniu, więc nie mógł sam robić sobie zastrzyków. – Przerwał na chwilę. – Zakładając oczywiście, że powstały po zastrzykach. – Znowu przerwał. – Czy pani dawała mężowi zastrzyki?

Widząc, że puściła mimo uszu jego pytanie, spytał jeszcze raz:

– Czy pani dawała mężowi zastrzyki? – Nie otrzymał odpowiedzi. – Czy pani rozumie moje pytanie? Chcę wiedzieć, czy pani dawała mężowi zastrzyki.

– To były witaminy – odparła w końcu.

– Jakie?

– B₁₂.

– Skąd pani je miała? Od byłego męża?

To pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło. Zdecydowanie zaprzeczyła, potrząsając głową.

– Nie. On nie miał z tym nic wspólnego. Sama wypisałam receptę, jeszcze w Berlinie. Helmut skarżył się, że jest zmęczony, i poradziłam mu, żeby wziął serię zastrzyków z witaminy B₁₂. Przechodził już taką kurację z dobrym skutkiem.

– Kiedy zaczęła pani dawać mu te zastrzyki?

– Dokładnie nie pamiętam. Jakies sześć tygodni temu.

– Czy nastąpiła poprawa?

– Słucham?

– U pani męża. Czy stan jego zdrowia poprawił się po tych zastrzykach? Czy odniosły pożądany skutek?

Gdy zadał to pytanie, obrzuciła go ostrym spojrzeniem, ale odpowiedziała ze spokojem:

– Nie, nie poskutkowały. Po szóstym czy siódmym przerwałam kurację.

– Kto podjął tę decyzję: pani czy mąż?

– Co to za różnica? Nie działały, więc przestał je brać.

– Moim zdaniem to bardzo istotne, które z państwa podjęło decyzję. Sądzę, że zna pani odpowiedź na to pytanie.

– Chyba mąż.

– Gdzie zrealizowała pani receptę? Tu, we Włoszech?

– Nie. Nie mam pozwolenia na wykonywanie zawodu we Włoszech. To było w Berlinie, przed naszym przyjazdem tutaj.

– Rozumiem. W takim razie ta recepta niewątpliwie znajduje się w rejestrze apteki.

– Chyba tak, ale już nie pamiętam, gdzie ją zrealizowałam.

– Chce pani powiedzieć, że wypisała pani receptę i wykupiła lekarstwo w pierwszej lepszej aptece?

– Tak było.

– Jak długo mieszka pani w Berlinie?

– Dziesięć lat. Nie rozumiem, dlaczego przykłada pan do tego taką wagę.

– Ponieważ wydaje mi się dziwne, że lekarz, który mieszka w mieście od dziesięciu lat, nie ma swojej stałej apteki. I że maestro nie miał zwyczaju chodzić do tej samej apteki.

Odnosił wrażenie, że zwleka z odpowiedzią odrobinę za długo.

– Zwykle tak robił. Oboje tak robiliśmy. Ale nie wypisałam tej recepty w domu i weszłam do pierwszej apteki, którą zauważyłam.

– Ale zapewne pani pamięta, gdzie ona się mieściła. To nie było tak dawno temu.

Spojrzała w okno, chcąc się skupić i przypomnieć sobie. Odwróciła ku niemu głowę i powiedziała:

– Niestety, nie pamiętam.

– Nic nie szkodzi – odparł lekkim tonem. – Berlińska policja na pewno nam w tym pomoże. – Uniosła wzrok i w jej spojrzeniu widać było zdziwienie, choć może i coś więcej. – Jestem też przekonany, że dowiedzą się, co było napisane na tej receptce, jakiego rodzaju... – Na moment zawiesił głos, nim dokończył: – witaminy.

Choć w popielniczce wciąż palił się papieros, wyciągnęła rękę po następnego, ale rozmyśliła się i zaczęła obracać palcem paczkę, za każdym ruchem zmieniając jej położenie o czterdzieści pięć stopni.

– Czy moglibyśmy z tym skończyć? Nie lubię takich gier, a pan też nie jest w tym dobry – powiedziała.

W swej wieloletniej pracy zaobserwował coś takiego niezliczoną ilość razy – ludzie dochodzili do granic swej wytrzymałości, nie mogli dłużej znieść sytuacji i w końcu, aczkolwiek niechętnie, wyjawiali prawdę. Jak podczas oblężenia miasta, najpierw poddawały się linie obrony zewnętrznej, a następnie rejterowały pierwsze oddziały, ustępując pola nadciągającemu wrogowi. Potem już tylko od broniących się zależało to, czy dalsza walka potoczy się szybko, czy będzie się przeciągać, czy opór wzmoże się na tym czy na kolejnym obwałowaniu, czy nastąpi kontratak lub całkowite poddanie się. Ale pierwsza reakcja jest zawsze taka sama: niemal z uczuciem ulgi człowiek rezygnuje z dalszych kłamstw i tym samym wkracza na drogę prowadzącą do wyjawienia prawdy.

– Pan wie, że to nie były witaminy? – powiedziała.

Brunetti kiwnął głową.

– A wie pan co?

– Nie. Nie jestem pewny, ale sądzę, że antybiotyki. Nie wiem jakiego rodzaju, choć nie przypuszczam, by to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Tak, to nieistotne. – Uniosła ku niemu wzrok, lekko się uśmiechnęła i w jej oczach pojawił się smutek. – Netylmycyna. Chyba taką nazwę ma ten antybiotyk we Włoszech. Recepta została zrealizowana w aptece Rittera, oddalonej o jakieś trzy przecznice od wejścia do zoo. Znajdzie ją pan bez kłopotu.

– Co powiedziała pani mężowi? Że co mu pani wstrzykuje?

– To samo co panu. B₁₂.

– Ile zastrzyków mu pani zrobiła?

– Sześć, w odstępach sześciodniowych.

– Kiedy zauważył ich oddziaływanie?

– Po kilku tygodniach. Wtedy prawie już ze sobą nie rozmawialiśmy, ale wciąż uważał mnie za swego lekarza. Najpierw skarżył się, że odczuwa zmęczenie, a potem, że traci słuch.

– Co pani mu na to odpowiedziała?

– Zwróciłam mu uwagę, ile ma lat, a potem powiedziałam, że to mogą być przejściowe skutki uboczne zażywania witamin. Głupio postąpiłam. Trzymam w domu podręczniki medyczne i łatwo mógł to sprawdzić.

– Zrobił to?

– Nie. Ufał mi. Przecież byłam jego lekarzem.

– Więc jak się dowiedział? A raczej jak zrodziły się w nim podejrzenia?

– Umówił się na wizytę z Erichem. Pan już to wie, w przeciwnym razie nie przyszedłby pan tutaj i nie zadawał tych pytań. A po przyjeździe tu zaczął nosić okulary z aparatem słuchowym. Więc zorientowałam się, że poszedł do drugiego lekarza. Gdy zaproponowałam mu inne zastrzyki, nie zgodził się. Wtedy już się domyślił, ale nie wiem, kto mu to zasugerował. Ten drugi lekarz?

Brunetti ponownie kiwnął głową.

Obdarzyła go tym samym smutnym uśmiechem.

– Co działo się potem?

– Przyjechaliśmy tu w połowie kuracji. Ostatni zastrzyk zrobiłam mu w tym pokoju. Już wtedy mógł być się domyślić, ale nie chciał dać temu wiary. – Zamknęła oczy i potarła je dłońmi. – To zbyt skomplikowane, żeby określić, kiedy się o wszystkim dowiedział.

– A kiedy zdała sobie pani sprawę, że on już wie?

– Chyba ze dwa tygodnie temu. Trochę się dziwię, że zabrało mu to tyle czasu, ale byliśmy w sobie tacy zakochani. – Mówiąc to, spojrzała prosto na niego. – Wiedział, jak bardzo go kocham, i nie mógł uwierzyć, że mogłam mu to zrobić. – Uśmiechnęła się z goryczą. – Jak już zaczęłam dawać mu te zastrzyki, zdarzało się, że sama nie mogłam w to uwierzyć, gdy przypominałam sobie, jak bardzo go kochałam.

– Kiedy zorientowała się pani, że on wie, co zawierają te zastrzyki?

– Któregoś wieczoru byłam w domu i czytałam. Tego dnia nie poszłam na próbę, tak jak to zwykle robiłam. Wpadałam w ogromne przygnębienie, gdy słuchałam tej muzyki, złych akordów, wejść, które następowały za wcześniej albo za późno, a przy tym wiedziałam, że sama do tego doprowa-

dziłam – z takim samym skutkiem mogłabym wyjąć mu pałeczkę z ręki i wymachiwać nią jak szalona w powietrzu. – Przestała mówić i sprawiała wrażenie, jakby słuchała niewspółbrzmiających ze sobą dźwięków z tamtych prób.

– Siedziałam tu i czytałam, albo usiłowałam czytać, i usłyszałam... – Gdy wymówiła to słowo, spojrzała na niego i powiedziała jak aktorka, która wypowiada na scenie kwestię skierowaną do pełnej widowni: – Boże, jakże trudno uniknąć tego słowa, prawda? – i zaraz znowu wpadła w swoją rolę. – Przyszedł wcześniej, niż się spodziewałam. Wcześniej wrócił z teatru. Słyszałam, że idzie korytarzem, a potem otwiera drzwi. Wciąż miał na sobie płaszcz i trzymał w ręce partyturę *Traviaty*. Należała do jego ulubionych oper. Uwielbiał ją dyrygować. Wszedł do pokoju i stanął tam, o tam. – Wskazała ręką miejsce, gdzie nikogo nie było. – Spojrzał na mnie i powiedział: „To przez ciebie, prawda?” – Nie odrywała wzroku od drzwi, jakby czekała, aż znowu padną te słowa.

– I powiedziała mu pani?

– Przynajmniej tyle należało mu się ode mnie – odparła sensownie, ze spokojem. – Tak, przyznałam się.

– Jak się zachował?

– Wszedł. Nie z mieszkania, tylko z pokoju. Od tamtej pory unikaliśmy się nawzajem. Zobaczyliśmy się dopiero w dniu premiery.

– Czy on pani groził? Powiedział, że pójdzie na policję albo panią ukarze?

Wyglądała na szczerze zaskoczoną tym pytaniem.

– A co by to dało? Skoro pan rozmawiał z lekarzem, to wie pan, że uszkodzenie było trwałe. Policja nic by nie mogła zrobić, nikt nie mógłby nic zrobić, żeby przywrócić mu słuch. A on nie mógł mnie ukarać w żaden inny sposób... – Przerwała. Jej milczenie trwało tyle czasu, ile potrzeba na zapalenie papierosa. – Jak tylko robiąc to, co zrobił.

– A co zrobił? – spytał Brunetti.

– Sprawia pan wrażenie, że tyle wie, więc i to powinien pan wiedzieć – docięła mu.

Spojrzał jej prosto w oczy, zachowując kamienną twarz.

– Mam jeszcze dwa pytania – powiedział. – Pierwsze jest zupełnie szczerze i wynika z mojej niewiedzy. Drugie jest prostsze i wydaje mi się, że znam już na nie odpowiedź.

– To niech pan zacznie od drugiego.

– Dotyczy pani męża. Dlaczego chciał ukarać panią w ten sposób?

– Określenie „w ten sposób” oznacza, jak rozumiem, iż chciał upozorować, że to ja go zamordowałam.

– Tak.

Widział, że chce wydobyć z siebie słowa, które już nabierały kształtu, ale zaraz umykały i popadały w niepamięć. W końcu odezwała się cicho:

– On uważał, że stoi ponad prawem – prawem, którego my wszyscy musimy przestrzegać. Sądzę, że w jego wyobrażeniu upoważniał go do tego jego geniusz. I Bóg świadkiem, że wszyscy utwierdzaliśmy go w tym przekonaniu. Uznawaliśmy go za boga muzyki, padaliśmy przed nim na kolana i czciliśmy go. – Przerwała i spojrzała na Brunettiego. – Przepraszam. To nie jest odpowiedź na pańskie pytanie. Pan chciał wiedzieć, czy on był w stanie stworzyć takie pozory, aby odpowiedzialność spadła na mnie. Ale widzi pan – powiedziała, wyciągając ku niemu ręce, jakby chciała wydobyć z niego zrozumienie całej sytuacji – ja rzeczywiście byłam za to odpowiedzialna, a on miał prawo mi to zrobić. Gdybym go zabiła, sprawa nie wyglądałaby tak okropnie – jego boskość pozostałaby nienaruszona. – Urwała, ale Brunetti się nie wtrącił. – Staram się panu pokazać, jak to wyglądało z jego punktu widzenia. Znałam go bardzo dobrze, wiedziałam, co czuje i co myśli. – Znowu umilkła, ale po chwili podjęła wysiłki, aby zrozumiał, co chce mu przekazać. – Po jego śmierci działo się ze mną coś dziwnego. Zaczęłam sobie uprzytamniać, jak rozmyślnie było jego postępowanie: zaprosił mnie za kulisy, potem wpuścił do garderoby. Tak wtedy, jak i teraz uważam, że miał prawo tak postąpić, żeby mnie ukarać. W pewnym sensie on był swoją muzyką. A ja zabiłam tę muzykę, nie człowieka. On był mar-

twy. Zanim umarł, już był martwy. Zabiłam w nim ducha. Widziałam to podczas prób, gdy zerkał zza okularów i starał się usłyszeć przez ten nieskuteczny aparat słuchowy, co się dzieje z muzyką. I nie był w stanie usłyszeć. Po prostu nie był w stanie. – Pokręciła głową, jakby czegoś nie rozumiała. – On nie musiał mnie karać, panie Brunetti. Już byłam ukarana. Żyłam w piekle.

Splotła ręce na kolanach i ciągnęła:

– A potem, w dzień premiery, powiedział mi, co zamierza zrobić. – Widząc zdziwienie Brunettiego, dodała: – Nie, nie powiedział tego jasno i wyraźnie. Wtedy nawet sobie tego nie uprzytomniłam.

– Czy to miało miejsce wówczas, gdy poszła pani za kulisy? – spytał Brunetti.

– Tak.

– Co się tam wydarzyło?

– Gdy zobaczył mnie w drzwiach, początkowo nic nie powiedział, tylko na mnie spojrzał. Ale chyba zauważył kogoś za mną, w korytarzu. Może przypuszczał, że jacyś ludzie idą w stronę garderoby. – Wyczerpana, opuściła głowę. – Nie wiem. Powiedział tylko coś, co zabrzmiało tak, jakby miał to zawczasu przygotowane: słowa Toski nad ciałem Cavaradossiego – *Finire così, finire così*. Wtedy tego nie pojęłam – „żeby tak skończyć, żeby tak skończyć” – a powinnam była. Ona mówi to tuż przed tym, zanim odbiera sobie życie. Ale wtedy tego nie pojęłam. – Brunetti zauważył ze zdziwieniem, że po jej twarzy przemknął szeroki uśmiech rozbawienia. – To było w jego stylu: koniec musi być dramatyczny. A właściwie melodramatyczny. Potem dziwiłam się, że wziął swe ostatnie słowa z opery Pucciniego. – Z powagą spojrzała na Brunettiego. – Nie chcę, by to zabrzmiało dziwacznie. Sądziłam jednak, że będzie chciał, by pamiętano go jako człowieka, którego ostatnie słowa były cytatem z Mozarta. Albo z Wagnera. – Brunetti patrzył, jak usiłuje opanować narastającą histerię. Wstał i podszedł do barku stojącego między oknami. Wyjął kieliszek i wlał do niego trochę brandy. Przez chwilę stał z kieliszkiem w ręce i spoglądał na rysującą się

w oddali dzwonnice San Marco. Potem podszedł do pani Wellauer i podał jej kieliszek.

Nie wiedziała za bardzo, co jej podaje, ale wzięła kieliszek i upiła łyk. Brunetti poszedł z powrotem do okna i znowu zaczął się przyglądać dzwownicy. Gdy już był pewny, że ani trochę się nie zmieniła, wrócił na swoje miejsce naprzeciw pani Wellauer.

– Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego pani to zrobiła? – zapytał.

Była szczerze zaskoczona.

– Skoro był pan taki sprytny, by się domyślić, jak to zrobiłam, z pewnością zna pan odpowiedź na moje pytanie.

Potrząsnął przecząco głową.

– Wolałbym nie wyjawiać moich domysłów, bo gdybym był w błędzie, uwłaczyłbym godności tego człowieka. – Wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, że sam mówi jak postać z opery Pucciniego.

– To znaczy, że jednak się pan domyślił. Mam rację? – powiedziała, pochylając się w przód i stawiając niemal pełny kieliszek obok paczki papierosów.

– Chodziło o pani córkę?

Przygryzła górną wargę i prawie niewidocznie kiwnęła głową. Gdy puściła wargę, zobaczył na niej białe ślady. Sięgnęła po papierosa, cofnęła rękę, a potem chwyciła go drugą ręką i powiedziała tak cicho, że Brunetti musiał pochylić się w przód, żeby ją usłyszeć:

– Nie miałam pojęcia. – Potrząsnęła głową, odczuwając wstręt na samą myśl. – Alex nie jest muzykalnym dzieckiem. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, nawet nie wiedziała, kim on jest. Gdy powiedziałam jej, że zamierzam wyjść za niego za mąż, okazała pewne zainteresowanie. A gdy dodałam, że ma posiadłość na wsi i konie, jej zainteresowanie znacznie wzrosło. Zawsze obchodziły ją tylko konie – przypominała bohaterkę angielskich książek dla dzieci. Konie i książki o koniach. Miała jedenaście lat, gdy się pobraliśmy. Nawiązali ze sobą kontakt. Kiedy dowiedziała się, kim on jest – chyba poinformowały ją dzieci z klasy – zaczęła się go trochę bać, ale to minęło.

Helmut umiał zjednywać sobie dzieci. – Umilkła i skrzywiła się, słysząc, jak ironicznie zabrzmiały te słowa.

– A potem... a potem... a potem... – powtarzała, nie mogąc uwolnić się z pęt wspomnień. – Tego lata musiałam pojechać do Budapesztu. Moja matka jest chora i chciałam ją odwiedzić. Helmut powiedział, że zajmie się wszystkim podczas mojej nieobecności. Wzięłam taksówkę i pojechałam na lotnisko. Ale było zamknięte. Już nie pamiętam dlaczego – chyba z powodu strajku albo konfliktu z celnikami. – Podniosła wzrok na Brunettiego. – To chyba nieistotne, dlaczego było zamknięte, prawda?

– Tak, to nieważne.

– Odloty były opóźnione co najmniej o godzinę, a potem ogłoszono, że wszystkie loty są odwołane aż do następnego dnia rano. Więc pojechałam do domu taksówką. Pora nie była jeszcze taka późna, nawet nie minęła północ, więc uważałam, że nie ma potrzeby dzwonić i zawiadamiać go o moim powrocie. Wróciłam do domu i otworzyłam kluczem drzwi. Światła były zgaszone, więc poszłam na górę. Alex zawsze spała niespokojnie i dlatego poszłam prosto do jej pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Czy wszystko jest w porządku. – Spojrzała na niego z kamienną twarzą. – Gdy weszłam na szczyt schodów, usłyszałam jej głos. Myślałam, że ma koszmar. Ona nie krzyczała, tylko wydawała jakieś dźwięki. Jak zwierzę. Nic więcej, tylko te dźwięki. Weszłam do pokoju. On tam był. Z nią. A potem stało się coś dziwnego – powiedziała ze spokojem, jakby relacjonowała zagadkową historię i chciała usłyszeć, co on myśli na ten temat. – Nie pamiętam, co się działo. To znaczy wiem, że wyszedł z pokoju, ale nie pamiętam, co do niego powiedziałam ani co on powiedział do mnie. Zostałam u Alex na całą noc. Kilka dni później powiedział, że Alex śniły się koszmary. – Wybuchnęła śmiechem pełnym odrazy i niewiary. – Tyle tylko powiedział. Nigdy nie poruszyliśmy tej sprawy. Odesłałam Alex do dziadków, żeby tam chodziła do szkoły. A my nigdy nie poruszyliśmy tej sprawy. Byliśmy tacy nowocześni, tacy kulturalni. Oczywiście, przestaliśmy ze sobą sypiać i przestaliśmy być razem. A Alex wyjechała.

– Czy jej dziadkowie wiedzą, co się stało?

Natychmiast potrząsnęła głową.

– Nie. Powiedziałam im to samo, co wszystkim innym: że nie chcę, by przerywała naukę, kiedy wyjeżdżamy do Wenecji.

– Kiedy postanowiła pani zrobić to, co pani zrobiła? – spytał Brunetti.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnego dnia ta myśl przyszła sama. Jedyne, co było dla niego rzeczywiście ważne i co naprawdę kochał, to muzyka. Więc doszłam do wniosku, że właśnie ją mu zabiorę. Wtedy uważałam, że tak jest sprawiedliwie.

– A teraz?

Odpowiedziała po dłuższym zastanowieniu.

– Teraz też tak uważam. Wszystko, co się stało, jest sprawiedliwe. Ale nie to ma tu znaczenie, prawda?

Dla Brunettiego nic w tej sprawie nie miało znaczenia – była bezsensowna, nic z niej nie wynikało i nie płynęła z niej żadna nauka. Obrazowała jedynie tkwiące w człowieku zło i potworne spustoszenie, jakie ono powoduje.

– Co teraz będzie? – spytała. Nagle w jej głosie odezwało się zmęczenie.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Czy wie pani, skąd on wziął cyjanek?

Wzruszyła ramionami, jakby ta kwestia była zupełnie nieistotna.

– Skądkolwiek bądź – odparła. – Jeden z jego przyjaciół jest chemikiem. Poza tym mógł go mieć od któregoś z dawnych znajomych. – Widząc jego pytające spojrzenie, wyjaśniła: – Z czasów wojny. Miał wtedy sporo wpływowych znajomych, a dzisiaj wielu z nich to ważni ludzie.

– A więc plotki, które o nim krążyły, są prawdziwe?

– Nie wiem. Zanim się pobraliśmy, powiedział mi, że to wszystko kłamstwa, a ja mu uwierzyłam. Teraz już w to nie wierzę. – Powiedziała to z goryczą, lecz zaraz przemogła się i wróciła do poprzedniego tematu. – Nie wiem, skąd wziął cyjanek, ale na pewno nie sprawiło mu to kłopotu. –

Znowu uśmiechnęła się ze smutkiem. – Oczywiście ja też miałam do niego dostęp. Helmut o tym wiedział.

– Dostęp? Jaki?

– Przyjechaliśmy tutaj osobno. Nie chcieliśmy podróżować razem. Po drodze zatrzymałam się na dwa dni w Heidelbergu, żeby spotkać się z byłym mężem. – Który, jak Brunetti sobie przypomniał, wykłada farmakologię.

– Czy maestro wiedział, że pani tam pojechała?

Kiwnęła głową.

– Pozostaję w przyjaźni z moim pierwszym mężem. Mamy wspólny majątek.

– Powiedziała mu pani, co się wydarzyło?

– Skądże! – Po raz pierwszy uniosła głos.

– Gdzie państwo się spotkali?

– Na uniwersytecie. Poszłam do jego laboratorium. Pracuje nad nowym środkiem, który ma złagodzić skutki choroby Parkinsona. Pokazał mi laboratorium, a potem zjedliśmy razem lunch.

– Czy maestro wiedział o tym?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może mu o tym mówiłam. Pewnie tak. Mieliśmy coraz mniej tematów do rozmowy. Ten był neutralny, więc chętnie go podjęliśmy.

– Czy pani kiedykolwiek rozmawiała z mężem o tym, co się wydarzyło?

Nie była w stanie udąć, że nie wie, o co mu chodzi. Odparła krótko:

– Nie.

– Czy kiedykolwiek rozmawiali państwo o przyszłości, o waszych zamiarach?

– Nie rozmawialiśmy o tym wprost.

– Co to znaczy?

– Któregoś dnia, gdy wróciłam do domu, a on właśnie wychodził na próbę, powiedział: „Poczekaj, aż skończy się *Traviata*”. Sądziłam, że

chciał, byśmy po ostatnim przedstawieniu postanowili, co dalej. Ale ja już podjęłam decyzję, że go zostawię. Już napisałam do dwóch szpitali, w Budapeszcie i w Augsburgu, i zwróciłam się do mojego byłego męża z prośbą, by pomógł mi znaleźć pracę w szpitalu.

Tak czy inaczej, uprzytomnił sobie Brunetti, ta kobieta znalazła się w pułapce. Były dowody, że planowała samodzielną przyszłość jeszcze przed jego śmiercią. A teraz jest wdową – co więcej, bardzo bogatą. Nawet jeśli ujawniono by sprawę jej córki, były dowody na to, że przerwała podróż do Wenecji, żeby spotkać się z ojcem dziecka, który niewątpliwie miał możliwość zdobycia trucizny, będącej przyczyną śmierci maestra.

Żaden włoski sędzia nie skazałby kobiety za taki czyn, dowiedziawszy się, czego doświadczyła jej córka. W świetle dowodów zebranych przez Brunettiego – zeznań *signory* Santiny na temat jej siostry, rozmów z lekarzami, nawet samobójstwa drugiej żony Wellauera, gdy ich córka miała dwanaście lat – żaden sąd we Włoszech nie uznałby zasadności oskarżenia jej o morderstwo. Taki przebieg sprawy był jednak uzależniony od zeznań Alex, tej wysokiej dziewczynki, która uwielbiała konie i była jeszcze dzieckiem.

Brunetti wiedział, że pani Wellauer nigdy nie zgodzi się, aby córka zeznawała przed sądem, niezależnie od konsekwencji, jakie mogłyby dla niej z tego wyniknąć. Co więcej, i on nie pozwoliłby, żeby do tego doszło.

A zatem jak przedstawiałaby się sprawa, gdyby Alex nie złożyła zeznań? Wiadomo, że Wellauerowie pozostawali ze sobą w chłodnych stosunkach, i wiadomo też, że pani Wellauer bez trudu mogła zdobyć truciznę i że tego wieczoru przyszła do garderoby, co przedtem należało do rzadkości. Te fakty mogły wskazywać na prawdziwy przebieg wydarzeń. Gdyby ją oskarżono wyłącznie o podawanie mu zastrzyków, które, jak wiedziała, spowodują głuchotę, zostałaby zwolniona z zarzutu morderstwa, ale taki scenariusz byłby realny tylko pod warunkiem, że wmieszano by do tego Alex. Brunetti zdawał sobie sprawę, że to jest wykluczone.

– Zanim pani mąż umarł, zanim to wszystko się stało – powiedział Brunetti, pozostawiając jej dowolność interpretacji słowa „to” – czy wspominał

o swoim wieku, czy obawiał się fizycznej niedyspozycji?

Przez dłuższy czas milczała, nie widząc, jaki to może mieć związek ze sprawą.

– Tak – odparła – rozmawialiśmy o tym. Ale rzadko, może raz czy dwa razy. Kiedyś, gdy wszyscy trochę za dużo wypiliśmy, rozmawialiśmy na ten temat z Erichem i Hedwig.

– Co wtedy powiedział?

– Jeśli dobrze pamiętam, to chyba Erich stwierdził, że gdyby nie był w stanie pracować – nie tylko robić operacji, ale być po prostu sobą, gdyby nie mógł wykonywać swego zawodu – to jako lekarz wiedziałby, jak sobie z tym poradzić. Było już późno i wszyscy czuliśmy się zmęczeni, więc może dlatego rozmowa przybrała poważny ton. Helmut odparł wtedy, że doskonale go rozumie i postąpiłby tak samo.

– Czy doktor Steinbrunner może pamiętać tę rozmowę?

– Tak sądzę. Miała miejsce tego lata. W rocznicę naszego ślubu.

– Czy pani mąż kiedykolwiek wypowiadał się szerzej na ten temat? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, Brunetti dodał: – W obecności innych ludzi.

– Przy świadkach?

– Tak.

– Nie przypominam sobie. Ale tamtego wieczoru rozmawialiśmy tak poważnie, że jasne było, co każdy z nas ma na myśli.

– Czy Steinbrunnerowie pamiętaliby sens tej rozmowy, tak jak pani go przedstawiła?

– Tak sądzę. Wydaje mi się, że nie mają najlepszego zdania na mój temat, jako o żonie Helmuta. – Gdy to powiedziała, raptownie spojrzała na Brunettiego z przerażeniem w oczach. – Czy pan sądzi, że oni o tym wiedzą?

Brunetti pokręcił głową, chcąc ją zapewnić, że nic nie wiedzą, nie mogą wiedzieć czegoś takiego o Wellauerze. Nic jednak nie powiedział, bo sam nie miał podstaw, aby tak sądzić. Wykręcił się od odpowiedzi pytaniem:

– Czy przypomina sobie pani inne sytuacje, gdy mąż poruszył ten temat?

– Wspominał o tym w listach do mnie, które pisał przed naszym ślubem.

– Co w nich mówił?

– Żartował sobie, chcąc zbagatelizować dzielącą nas różnicę wieku. Pisał, że nigdy nie obarczy mnie ciężarem opieki nad się słabowitym, bezradnym i starym mężem, że sam zatroszczy się o to, by tak się nie stało.

– Czy przechowuje pani te listy?

Pochyliła głowę i cicho odparła:

– Tak. Mam wszystkie listy, które od niego dostałam.

– Wciąż nie rozumiem, jak pani mogła to zrobić – powiedział Brunetti. Jego głos nie wyrażał zgorszenia czy oburzenia, lecz zwykłą dociekliwość.

– Też już nie wiem. Tyle o tym myślałam, że sama mogłam wymyślić różne powody i wytłumaczenia. Żeby go ukarać? A może tak nadszarpnąć jego zdrowie, żeby był całkowicie i pod każdym względem ode mnie uzależniony. A może wiedziałam, że to zmusi go do zrobienia tego, co zrobił. Po prostu nie wiem i nie przypuszczam, że kiedykolwiek to zrozumie. – Brunetti sądził, że na tym skończyła, ale ona dodała lodowatym głosem: – Mimo to cieszę się, że to zrobiłam. I tak samo postąpiłabym jeszcze raz.

Wtedy Brunetti odwrócił od niej wzrok. Nie był prawnikiem i nie wiedział, jak zakwalifikować to przestępstwo. Jako naruszenie nietykalności osobistej? Kradzież? Jeśli jeden człowiek zabiera drugiemu słuch, to co jest przedmiotem kradzieży? Czy przestępstwo jest tym cięższe, gdy dla ofiary słuch jest ważniejszy niż dla innych ludzi?

– Czy pani uważa, że on zaprosił panią za kulisy, żeby rzucić na panią podejrzenie, iż to pani go zabiła?

– Nie wiem, może tak. On wierzył w sprawiedliwość. Ale gdyby rzeczywiście miał takie zamiary, mógł tak to zaplanować, że znalazłabym się w dużo gorszej sytuacji niż teraz. Wiele o tym myślałam od tamtego wieczoru. Może chciał, żeby ta sytuacja pozostała niejasna, a wtedy ja nigdy nie miałabym pewności, jakie były jego zamierzenia. W rezultacie nie ponosiłby odpowiedzialności za to, co mnie spotka. – Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. – On był bardzo skomplikowanym człowiekiem.

Brunetti pochylił się ku niej i położył rękę na jej ramieniu.

– *Signora*, chciałbym, żeby pani uważnie słuchała, gdy teraz opowiem pani, jak przebiegała nasza rozmowa – powiedział, myśląc o Chiarze i podejmując decyzję. – Rozmawialiśmy o tym, że mąż podzielił się z panią swym niepokojem, że jego głuchota się pogłębia.

– Ale... – próbowała protestować, zaskoczona jego słowami.

Przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

– Powiedział pani, że traci słuch i że bardzo się tym martwi. Mówił, że konsultował się ze swoim przyjacielem Erichem w Niemczech i jeszcze jednym lekarzem w Padwie i że obaj stwierdzili powiększającą się utratę słuchu. To było powodem zmiany w jego zachowaniu tutaj i widocznego przygnębienia. Potem pani wyraziła obawy, że mąż popełnił samobójstwo, wiedząc, że jego kariera jest skończona i że jako muzyk nie ma przed sobą przyszłości. – Brunetti odczuwał ogromne zmęczenie, które dało się słyszeć w jego głosie.

Gdy chciała zaproponować, powiedział tylko:

– Proszę pani, jeśli prawda wyjdzie na jaw, ucierpi na tym tylko jedna osoba, jedyna niewinna osoba.

Umilkła, uderzona słuszością jego słów.

– Jak mam to zrobić? – spytała.

Nie wiedział, co jej poradzić – jeszcze nigdy nie pomagał przestępcy w wymyślaniu alibi czy w zacieraniu dowodów zbrodni.

– Ważne jest to, że pani powiedziała mi o jego głuchocie. Reszta będzie konsekwencją tego faktu. – Gdy spojrzała na niego, wciąż zaskoczona jego słowami, odezwał się do niej jak do małego pojętnego dziecka, które nie rozumie wyjaśnień nauczyciela. – Powiedziała mi pani o tym podczas naszej drugiej rozmowy, tego ranka, kiedy przyszedłem do pani do domu. Wspomniała pani, że mąż miał poważne kłopoty ze słuchem i radził się w tej sprawie swego przyjaciela Ericha. – Gdy znowu zaczęła się sprzeciwiać, Brunetti miał ochotę nią potrząsnąć, tak był zirytowany jej tępotą. – Powie-

dział pani, że widział się z jeszcze jednym lekarzem. To wszystko znajdzie się w raporcie z naszego spotkania.

– Dlaczego pan to robi? – spytała wreszcie.

Zbagatelizował pytanie i machnął ręką.

– Dlaczego pan to robi? – powtórzyła.

– Ponieważ pani go nie zabiła.

– A wszystko inne? Krzywda, którą mu wyrzuciłam?

– Gdyby pani miała za to odcierpieć, pani córka musiałaby wycierpieć jeszcze więcej.

Skrzywiła się, widząc słuszność jego stwierdzenia.

– Co jeszcze mam zrobić? – spytała, dopiero teraz godząc się na jego plan.

– W tej chwili trudno mi przewidzieć. Tylko proszę pamiętać, że rozmawialiśmy o tym tego ranka, gdy pierwszy raz przyszedłem porozmawiać z panią.

Zaczęła mówić, ale zaraz urwała.

– Słucham? – spytał Brunetti.

– Nic, nic – odparła.

Nagle zerwał się na nogi. Czuł się niezręcznie, siedząc tu i zmawiając się z nią.

– To wszystko – powiedział. – Przypuszczam, że za jakiś czas poproszą panią o złożenie zeznań przed sądem.

– Będzie pan tam?

– Tak. Do tego czasu sporządzę raport i przedstawię swoje wnioski.

– Co pan w nim napisze?

– Prawdę, proszę pani.

– Już nie wiem, jaka jest prawda – powiedziała ze spokojem.

– Powiem prokuratorowi, że śledztwo wykazało, iż pani mąż popełnił samobójstwo, gdy zdał sobie sprawę, że traci słuch. Dokładnie tak, jak było.

– Tak – powtórzyła za nim. – Dokładnie tak, jak było.

Wyszedł, zostawiając ją w pokoju, gdzie dała mężowi ostatni zastrzyk.

Rozdział 25

O ósmej rano następnego dnia, zgodnie z poleceniem, na biurku Patty, zastępcy komendanta, Brunetti położył swój raport, który leżał tam do przybycia zwierzchnika, co nastąpiło tuż po jedenastej. Patta odpowiedział najpierw na kilka osobistych telefonów, przeczytał całą gazetę finansową, a potem zmusił się do przeczytania raportu, który wydał mu się ciekawy i pouczający:

Wyniki prowadzonego przeze mnie śledztwa pozwalają mi wyciągnąć wnioski, że maestro Helmut Wellauer popełnił samobójstwo w wyniku postępującej głuchoty.

1. W ciągu ostatnich miesięcy jego głuchota pogorszyła się do tego stopnia, że stwierdzono 60 procent utraty słuchu. (W załączeniu relacje z rozmów z dr. Steinbrunnerem i dr. Trepontim oraz kopia karty choroby).

2. Tak znaczna utrata słuchu coraz bardziej utrudniała mu wykonywanie zawodu dyrygenta. (W załączeniu relacje z rozmów z profesorem Rezzonikiem oraz panem Traversem).

3. Maestro popadł w stan przygnębienia. (W załączeniu relacje z rozmów z panią Wellauer i panią Breddes).

4. Maestro miał możliwość zdobycia trucizny. (W załączeniu relacje z rozmów z panią Wellauer i dr. Steinbrunnerem).

5. Wiadomym jest, że maestro skłaniał się ku myśli o samobójstwie, gdyby doszło do tego, że nie może pracować jako muzyk. (W załączeniu relacja z rozmowy przeprowadzonej przez telefon z dr. Steinbrunnerem. Prywatna korespondencja ma wkrótce nadejść z Niemiec).

Zważywszy na niepomierne znaczenie tych informacji oraz po dokonaniu logicznej analizy wykluczającej podejrzanych, którzy mogli mieć motyw lub sposobność do popełnienia zbrodni, dochodzę do jedynego możliwego wniosku, że maestro wolał popełnić samobójstwo, niż cierpieć na głuchotę.

Guido Brunetti

Komisarz policji

– Od początku to podejrzewałem – powiedział Patta do Brunettiego, który został wezwany do gabinetu zwierzchnika, aby omówić sprawę. – Nie chciałem jednak nic mówić, żeby nie zaszkodzić śledztwu.

– Postąpił pan bardzo wielkodusznie, *comandante* – odparł Brunetti – i bardzo mądrze. – Mówiąc to, przyglądał się fasadzie kościoła San Lorenzo, częściowo widocznego w oknie, za plecami przełożonego.

– To nie do pomyślenia, by ktoś, kto kocha muzykę, mógł zrobić coś takiego. – Patta najwyraźniej zaliczył siebie do tego grona. – Jego żona mówi... – Zerknął do raportu, a Brunetti przyglądał się w tym czasie małej diamentowej szpilce w kształcie róży, wetkniętej w czerwony krawat zwierzchnika. – Że mąż „okazywał wyraźne zaniepokojenie”. – Powołanie się na raport przekonało Brunettiego, że Patta rzeczywiście go przeczytał, co było zdarzeniem wyjątkowo rzadkim. – Choć postępowanie tych dwóch kobiet jest odrażające – ciągnął Patta, reagując lekkim wyduchem warg na myśl o czymś, co nie znalazło odzwierciedlenia w raporcie – żadna z nich nie ma profilu osobowości charakterystycznego dla mordercy.

Cóż to może znaczyć? – pomyślał Brunetti.

– Z kolei wdowa? To wykluczone. Choć jest cudzozięką. – Nieproszony o wyjaśnienie tego stwierdzenia, Patta sam rozwinął swą myśl. – Żadna kobieta, która jest matką, nie popełniłaby tak okrutnego czynu. Mają instynkt, który je od tego odwodzi. – Uśmiechnął się, ucieszony błyskotliwością swego rozumowania, a Brunetti również odpowiedział uśmiechem, rozba-
wiony tym, co usłyszał.

– Jestem dzisiaj umówiony na lunch z burmistrzem – oznajmił Patta zdawkowym tonem, który zdążył sobie wyćwiczyć, sugerując tym samym, że tego rodzaju zdarzenia składają się na jego codzienne życie. – Przekażę mu wyniki naszego śledztwa. – Brunetti nie miał wątpliwości, że w porze lunchu zaimek występujący w tym zdaniu zostanie użyty w liczbie pojedynczej, ale z pewnością nie w trzeciej osobie.

– Czy to wszystko, *comandante*? – zapytał uprzejmie Brunetti.

Patta uniósł wzrok znad raportu, który starał się jak najlepiej zapamiętać, i powiedział:

– Tak. To już wszystko.

– Pozostaje zawiadomić prokuratora. Czy pan komendant zamierza osobiście go o tym poinformować? – spytał Brunetti, licząc na to, że Patta będzie chciał spotkać się z prokuratorem, dzięki czemu powaga jego urzędu umocni wniosek o niewszczynanie dochodzenia, który zostanie przedstawiony sędziemu głównemu.

– Zajmę się tym – odparł Patta. Brunetti przyglądał się Patcie, który rozważał pomysł zaproszenia sędziego głównego na lunch z burmistrzem i po chwili go odrzucił. – Załatwię to, gdy wrócę z lunchu z panem burmistrzem. – Dzięki temu, pomyślał Brunetti, będzie miał aż dwie okazje do odegrania swej roli.

– Wobec tego wracam do mojego pokoju – powiedział Brunetti i wstał.

– Tak, tak – mruknął komendant z roztargnieniem, zajęty czytaniem leżącego przed nim dokumentu. – Aha, jeszcze jedno, *commissario* – usłyszał Brunetti za plecami.

– Słucham, *comandante*. – Brunetti odwrócił się i uśmiechnął, ustalając w myślach, o co tym razem założy się ze sobą.

– Dziękuję panu za pomoc.

– To drobnostka – odparł Brunetti, decydując się na kupno tuzina purpurowych róż.

Siedem miesięcy później na komendę przyszedł list adresowany do Brunettiego. Jego uwagę przykuły znaczki – dwa liliowe prostokąty z delikatną kaligrafią wzdłuż boków. Pod każdym prostokątem był napis: Chińska Republika Ludowa. Brunetti nie miał znajomych w Chinach.

Na odwrocie koperty nie było zwrotnego adresu. Otworzył list i wyjął fotografię zrobioną polaroidem, która przedstawiała wysadzaną klejnotami koronę. Zdjęcie nie oddawało skali, ale jeśli korona miała pasować na głowę człowieka, to kamienie wokół osadzonego w środku klejnotu musiały być wielkości gołębiego jaja. Czy były to rubiny? Brunettiemu nie przyszedł na myśl inny kamień, którego barwa tak bardzo przypomina krew. Środkowy klejnot, o potężnych rozmiarach i kanciastym szlifie, mógł być tylko diamentem.

Odwrócił zdjęcie i przeczytał na odwrocie: „Do takiego piękna powróciłam”. W podpisie: „B. Lynch”. Innych wiadomości nie było. Koperta zawierała tylko zdjęcie.

Przypisy

- [1](#) Tłum. Włodzimierz Ormicki.
- [2](#) Tłum. Stanisław Barańczak.
- [3](#) Tłum. Krystyna Chudowolska.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się
następujące powieści Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE

1998

2006 (*seria kieszonkowa*)

ŚMIERĆ NA OBCZYŹNIE

1999

STRÓJ NA ŚMIERĆ

1999

ŚMIERĆ I SĄD

1999

ACQUA ALTA

1999

2011 (*seria kieszonkowa*)

CICHO, WE ŚNIE

2001

2009 (*seria kieszonkowa*)

SZLACHETNY BLASK

2002

ZGUBNE ŚRODKI

2003

2007 (*seria kieszonkowa*)

ZNAJOMI NA STANOWISKACH

2004

2008 (*seria kieszonkowa*)

MORZE NIESZCZĘŚĆ

2005

2007 (*seria kieszonkowa*)

PERFIDNA GRA

2006 (*seria kieszonkowa*)

SŁOWO OFICERA

2007 (*seria kieszonkowa*)

FAŁSZYWY DOWÓD

2008 (*seria kieszonkowa*)

KREW Z KAMIENIA

2009 (*seria kieszonkowa*)

MĘTNE SZKŁO

2010 (*seria kieszonkowa*)

OKROPNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

2010 (*seria kieszonkowa*)

DZIEWCZYNA Z JEGO SNÓW

2011 (*seria kieszonkowa*)

UKRYTE PIĘKNO

2012 (*seria kieszonkowa*)

KWESTIA WIARY

2013 (*seria kieszonkowa*)

PO NITCE DO KLĘBKA
2014 (*seria kieszonkowa*)

DZIKA ZACHŁANNOŚĆ
2015 (*seria kieszonkowa*)

ZŁOTE JAJO
2016 (*seria kieszonkowa*)

GRA POZORÓW
2017 (*seria kieszonkowa*)

WODA WIECZNEJ MŁODOŚCI
2018 (*seria kieszonkowa*)

ZAUROCZENIE
2019 (*seria kieszonkowa*)

DOCZESNE SZCZĄTKI
2020 (*seria kieszonkowa*)

POKUSA PRZEBACZENIA
2021 (*seria kieszonkowa*)

ADOPCJA
2022 (*seria kieszonkowa*)

PIERWIASTKI ŚLADOWE
2023 (*seria kieszonkowa*)

ULOTNE PRAGNIENIA
2024